

MARIA JANION:
W archiwum
mojego życia

OGRODZONA TOLERANCJA
Nadchodzi społeczna zmiana,
czas na spotkanie z obcym

DRUGI POGRZEB IDOLA
Sprawa Michaela Jacksona,
czyli zło przebrane za dobro

BĘDZIEMY GRAĆ W GRĘ
Mistrzostwa świata
w sporcie nie z tej ziemi

Co się stało z naszym Kościołem?

Kraków 24 marca 2019 nr 12 (3637)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

GNIEW LUDU, GNIEW BOGA



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

9 770041 480901



29 → 31.03.2019

www.nospr.org.pl

FESTIWAL PRAWYKONAŃ

Polska Muzyka Najnowsza

Organizator

NOSPR współfinansują

Sponsor NOSPR i projektu
akustyki sali koncertowej

Patroni medialni

Partner
motoryzacyjny



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
w ramach programu „Kolekcje” – priorytet „Zamówienia kompozytorskie”,
realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

instytut muzyki i tańca

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków
Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach
Programu Infrastruktura i Środowisko | www.pois.gov.pl

INFRASTRUKTURA
I ŚRODOWISKO

KATOWICE

UNIA EUROPEJSKA

KS. ADAM

Boniecki: Jeden, święty, powszechny i apostołski

24 GRUDNIA 1969 R. KS. PROF. JOSEPH RATZINGER NA zakończenie cyklu radiowych wykładów w Hessian Rundfunk mówił: „Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Stanie się nieliczny i będzie musiał rozpocząć na nowo, mniej więcej od początków. Nie będzie już więcej w stanie mieszkać w budynkach, które zbudował w czasach dostatku. Wraz ze zmniejszeniem się liczby swoich wiernych utraci także większą część przywilejów społecznych. Rozpocznie na nowo od małych grup, od ruchów i od mniejszości, która na nowo postawi Wiarę w centrum doświadczenia. Będzie Kościołem bardziej duchowym, który nie przypisze sobie mandatu politycznego, flirtując raz z lewicą, a raz z prawicą. Będzie ubogi i stanie się Kościołem ubogich. Wtedy ludzie zobaczą tę małą trzódkę wierzących jako coś kompletnie nowego: odkryją ją jako nadzieję dla nich, odpowiedź, której zawsze w tajemnicy szukali”.

Chociaż później autor tej wizji uznał ją za zbyt pesymistyczną, to po 50 latach trudno się oprzeć wrażeniu, że przewidywania przyszłego papieża miały w sobie coś z proroctwa przynajmniej w odniesieniu do Europy, a być może także do Polski.

Zauważmy, w 1989 r. Kościół w Polsce cieszył się zaufaniem blisko 90 proc. społeczeństwa. W 2018 r. zaufanie do Kościoła miało już tylko 54 proc. W czasach PRL Kościół był postrzegany jako stróż praw i godności człowieka. W epoce przemian ustrojowych ludzi Kościoła zapraszano do uczestniczenia w decydujących debatach, jako gwarantów uczciwości i powagi podejmowanych zobowiązań. Czy dziś komukolwiek by przyszło do głowy kierować do przedstawicieli Kościoła takie zaproszenie?

Miejsce Kościoła w świadomości społecznej i jego rola w życiu społeczności wyraźnie się zmieniły. Zapewne także pod wpływem działalności niechętnych Kościołowi środowisk i mediów, lecz chyba bardziej na skutek zachowań i wypowiedzi ludzi Kościoła, ich zaangażowań (także politycznych) oraz takiego, a nie innego funkcjonowania Kościoła-instytucji, nie mówiąc o roli docierających do nas informacji dotyczących nadużyć seksu-



alnych kleru i sposobu ich traktowania przez kościelne władze. Wydaje się, że bardziej zaszkodziło Kościołowi skrywane, a teraz ujawnione zło w jego łonie aniżeli zewnętrzni wrogowie.

Wprawdzie ci, którzy uczestniczą w niedzielnych mszach, wciąż jeszcze, czasem może z trudem, wyznają wiarę w „jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół”, lecz tych, którzy to czynią choćby nawet tylko werbalnie, jest coraz mniej, ponieważ liczba *dominantes* systematycznie spada, a coraz

liczniej nieobecni są ludzie młodego pokolenia.

Proces obniżania się społecznego autorytetu Kościoła i oddalania się od kościelnych praktyk nie jest spektakularny i postępuje powoli. Tylko czasem jakieś wydarzenie może wywołać wyraźne tąpnięcie, będąc przysłowiową kroplą, która przepełnia czarę goryczy.

Ujawnienie rozmiarów pedofilii duchownych i odkrycie, że w reakcjach Kościoła na te przestępstwa liczył się nie los ofiar, ale ochrona nieskażonego obrazu instytucji, było szokiem i zgorszeniem. Niestety, w wypowiedziach na konferencji prasowej prezentującej dane na temat skali nadużyć dał się słyszeć ten sam nieszczyśny ton apologii instytucji (piszemy o tym więcej w Temacie Tygodnika, wspomina o tym też Szymon Hołownia). I raz jeszcze niestety: dla wielu ludzi ta konferencja prasowa okazała się kroplą przepełniającą miarę ich rozgoryczenia.

My wszyscy, którzy poczuwamy się do bycia w Kościele, kardynałowie, biskupi, księża i świeccy, tworzymy historię drugiego tysiąclecia Kościoła w Polsce. Czy tworzymy ją dobrze, czy źle – osądzi Bóg i ocenią przyszłe pokolenia. Pamiętajmy jednak: obietnica Jezusa, że „bramy piekielne nie zwyciężą” Kościoła, odnosi się do Kościoła w ogóle, a niekoniecznie do Kościoła w Polsce.

Dokonany w dniu nieszczyśnej konferencji wybór nowego czy raczej nowy wybór dawnego kierownictwa Konferencji Episkopatu Polski skłania do refleksji nad tym, jak wiele w naszym Kościele zależy od biskupów oraz jak wiele towarzyszy im wciąż jeszcze naszych oczekiwań i nadziei.

©

podkast TP powszechny: weź, słuchaj!

powszech.net/podkast



Pół miliona. Przynajmniej tyle Polek pada rocznie ofiarą przemocy domowej. Ale realna liczba jest bez wątpienia znacznie wyższa, choć ukryta w strachu, przemilczeniach i bierności systemu. Czy z przemocą domową da się skończyć? Jak działa mechanizm przemocy w rodzinie? I skąd się bierze obojętność otoczenia – nasza obojętność? W Podkaście Powszechnym rozmawiamy o tym z Katarzyną Kubisiowską i Przemysławem Wilczyńskim, autorami bloku tekstów pt. „Twarze przemocy” w „TP” 11/2019.

Słuchaj w RSS | iTunes | Google Podcasts | Spotify

**22 Niech zakwitnie
tysiąc chwastów
Z ŁUKASZEM
MOLLEM, FILOZOFEM
I AKTYWISTĄ,
ROZMAWIA RAFAŁ
WOŚ:**

*Życie w społeczeństwie
polega na wyjściu
z groźzonego osiedla
tolerancji.*



**32 Międzypokoleniowa
wyrwa**

SEBASTIAN DUDA
*W Polsce odnotowujemy
najgwałtowniejszy
z wszystkich
rozwinętych krajów
świata spadek
religijności wśród
młodzieży.*



**42 Kochamy się
kochać
PAWEŁ PIENIAŻEK
Z KABULU**

*W Afganistanie
wyrosło pokolenie
ludzi, którzy wierzą,
że demokracja
i swobody
obywatelskie im się
należą. Nie chcą ich
oddawać i są gotowi
o nie walczyć.*



64 Pędźmy!

**Z IWONĄ BIELSKĄ, AKTORKĄ, ROZMAWIA KATARZYNA
KUBISIOWSKA:**

*Z życiem dobrze jest być pogodzonym. Nie oczekiwać, nie mieć
wiecznych pretensji do świata.*



**62 Archiwum
egzystencji
MARIA JANION**

*Ludzie wierzą,
że starcy mają
coś ważnego do
powiedzenia.
Tymczasem na ogół
jest to coś głęboko
pesymistycznego,
o czym lepiej milczeć.*



78 Będziemy grać w grę

TYMON POLESEK, MAREK RABJ
*Zbigniew Boniek napisał na Twitterze,
że e-sport to duża kasa, ale też
„świadectwo pewnej patologii”. Tylko
kim jest ten Boniek? W piekle nikt o nim
nie słyszał.*

■ TEMAT TYGODNIKA ■

6 Czarny Rycerz kontra wszyscy
MARCIN ŻYŁA o brexicie

6-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Niech zakwitnie
tysiąc chwastów
ROZMOWA Z ŁUKASZEM MOLLEM

26 Bagietmistrz w sieci
RAFAŁ ZYCHAŁ: *Policjant nagrywa*
na YouTube'a

28 Kręcą mnie dźwięki
MAREK RABJI: *Polak pracuje*
nad przełomem w muzyce hi-fi

■ ■ WIARA

32 Międzypokoleniowa wyrwa
SEBASTIAN DUDA

36 Nie siadam w pierwszej ławce
KATARZYNA URBAN: *Siostra Teodora*
Jadwiga Grudzińska od 32 lat
jest na misji w Afryce

39 Pytanie o cel
MONIKA I MARCIN GAJDOWIE:
Ćwiczenia wielkopostne (2)

■ ■ ŚWIAT

42 Kochamy się kochać
PAWEŁ PIENIAŻEK

46 Głosy wolności MARCIN ŻYŁA:
Niezależne dziennikarstwo na
Ukrainie to niepewność

47 My, chłopaki z ulicy
PAULINA MAŚLONA: *Do Hiszpanii*
przybyli nielegalnie. A potem
wykreowali nową miejską modę



MARCIN MAZUR / BP KEP

12 Gniew ludu, gniew Boga

ARTUR SPORNIĄK

Coś, co miało być krokiem naprzód, okazało się krokiem w tył. Zorganizowana w siedzibie Episkopatu prezentacja danych na temat wykorzystywania seksualnego osób małoletnich przez duchownych to zmarnowana szansa na oczyszczenie.

16 Kolejna krzywda

ROZMOWA Z PROF. MARIĄ BEISERT, PSYCHOLOGIEM:

Po tym, co usłyszały, ofiary molestowania przez księży czują się pominięte, bezsilne i tracą zaufanie do instytucji. A stąd blisko do myśli, że zostały opuszczone przez Boga.

■ ■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 40 SZYMON HOŁOWNIA**61 WOJCIECH BONOWICZ 76 JAN KLATA****77 PAWEŁ BRAVO 82 STANISŁAW MANCEWICZ****82 BARTOSZ MINKIEWICZ**

Okładka: MAREK ZALEJSKI

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

50 Kolos z Gudżaratu ROMAN
HUSARSKI o *posągu jednego*
z twórców niepodległości Indii

■ ■ HISTORIA

54 Wybory Daszyńskiego
MIKOŁAJ MIROWSKI: *Człowiek,*
który zadał śmiertelny cios
komunizmowi w Polsce

57 Promienne kobiety

PATRYCJA BUKALSKA: *100 lat temu*
w USA upomniaty się o swoje prawa

■ ■ NAUKA

58 Mozaika, bakterie i chimery
MARIUSZ GOGÓL: *Jesteśmy*
niejednorodni genetycznie

■ ■ OPINIE

62 Archiwum egzystencji
MARIA JANION

■ ■ KULTURA

64 Pędźmy!
ROZMOWA Z IWONĄ BIELSKĄ

68 Drugi pogrzeb idola
ANITA PIOTROWSKA o *sprawie*
Michaela Jacksona

70 Czekamy na wiosnę
DOROTA KOZIŃSKA: „*Tosca*”
w Operze Narodowej

72 Opowiem wam o bólu
PIOTR KOŚCIEWSKI o *wystawie*
„Do czysta” Mariny Abramović

76 Zbrodnia i tajemnica
LEKTOR o *książce „Głosy. Co się*
zdarzyło na wyspie Jersey”

■ ■ ZMYŚŁY

78 Będziemy grać w grę
TYMON POLESEK, MAREK RABJI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabi,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięćka (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięćka
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Janowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczmńska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski,
Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota
Kosińska, Ryszard Koziolek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-
Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam
Robiński, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek, Michał
Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran,
Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

S-NET zapewni wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad
Graphics

Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

A photograph of Theresa May, the Prime Minister of the United Kingdom, speaking in the House of Commons. She is wearing a bright orange blazer over a white top and a necklace with large, round, metallic links. She has her hands raised in a gesture while speaking. Two other men in suits are seated on either side of her, looking towards her. The background shows the ornate interior of the House of Commons with green leather benches.

OBRAZ
TYGODNIA

CZARNY RYCERZ KONTRA WSZYSCY

Niezależnie od tego, czy dojdzie do niego jeszcze w marcu, w czerwcu, później lub w ogóle, wiadomo już jedno: brexit Unii nie zabije.

MARCIN ŻYŁA

TO TYLKO DRAŚNIĘCIE”; „STRACIŁEŚ W WALCE obie ręce!”, „Bywało gorzej!”. Tak właśnie, do słynnego Czarnego Rycerza z filmu „Monty Python i Święty Graal”, który chce walczyć nawet po odcięciu rąk i nóg, porównał Theresę May premier Holandii. Szefowa brytyjskiego rządu ostatecznie utraciła w minionym tygodniu kontrolę nad brexitem, którego sprawne przeprowadzenie było jej najważniejszym zadaniem. Choć zaprezentowała wyjątkową wytrwałość i determinację, wszystko wskazuje na to, że nie dotrzyma obietnicy wyprowadzenia kraju z Unii 29 marca i Zjednoczone Królestwo pozostanie członkiem Wspólnoty jeszcze co najmniej przez trzy miesiące. Albo nieco dłu-

żej. Albo... kto wie, może nawet zostanie w niej na dobre.

Ostatnie dni – kiedy w Izbie Gmin głosowano, dzień po dniu, nad wynegocjowaną przez May „umową rozwodową” z Brukselą (powtórnie ją odrzucono), opuszczeniem Unii bez porozumienia (wykluczono taką możliwość, choć nie wskazano alternatywy) i przedłużeniem brexitu (na to parlament się zgodził) – pozostawiły kraj oraz sam rząd, którego troje ministrów głosowało przeciw propozycjom premier, podzielonym jak nigdy. Zwiększyły też liczbę możliwych scenariuszy; już po oddaniu tego numeru do druku parlament miał po raz trzeci głosować nad umową z Brukselą, a The-

Premier Theresa May w Izbie Gmin, Londyn, 12 marca 2019 r.

resa May prosić Unię o przedłużenie brexitu do końca czerwca. Wspólnota, mimo rosnących obiekcji Francji, na to się zgodzi – zapewne już podczas szczytu w Brukseli 21–22 marca.

Co jednak, jeśli po kolejnym przegrany głosowaniu Londyn będzie chciał dłuższego odroczenia? Tu sprawy się komplikują, bo 2 lipca rozpoczyna się nowa kadencja Parlamentu Europejskiego, a na Wyspach wyborów do niego już nie planowano. Obecność Wielkiej Brytanii w Unii, lecz bez delegacji w PE, byłaby niejako „nielegalna”. Z drugiej strony, im bardziej brexit będzie się opóźniał, tym większe jest – na razie wciąż teoretyczne – prawdopodobieństwo drugiego referendum. W miniony czwartek w Izbie Gmin dużą większością głosów odrzucono wprowadzenie poprawki w jego sprawie, ale sam fakt, że nad nią głosowano, jest znaczący. Rośnie presja: 23 marca w Londynie setki tysięcy ludzi ma wziąć udział w największej w historii Wielkiej Brytanii (tak przynajmniej zapowiadają organizatorzy) demonstracji – przeciwko brexitowi. Czas gra na ich korzyść.

Wiedzą o tym zwolennicy tzw. twardego brexitu (wyjścia z Unii za wszelką cenę), którzy w ostatnich dniach lobbowali w Polsce, na Węgrzech i we Włoszech za tym, aby przynajmniej jedno z tych państw zawetowało przedłużenie procedury – i Wielka Brytania mogła wyjść z Unii bez umowy już za kilka dni. Jednak podzielona w wielu innych sprawach Wspólnota w kwestii brexitu od miesięcy prezentuje wspólny front. W nocy do ambasadorów 27 państw członkowskich Martin Selmayr, sekretarz generalny Komisji Europejskiej i cichy autor unijnej strategii wobec Londynu, zasugerował wręcz, aby brexitu nie odwlekać dłużej niż o kilka tygodni, nawet gdyby skutek pogłębiających się podziałów w Izbie Gmin w Wielkiej Brytanii doszło w najbliższym czasie do zmiany rządu (choć po słowie opozycyjnej Partii Pracy nie są jednomyślni, jej przewodniczący, Jeremy Corbyn, zapowiada kolejny wniosek o wotum nieufności dla rządu). Selmayr jest pewny siebie – wie, że Bruksela może w tych dniach dyktować warunki sparaliżowanemu i zmęczonemu klótniami Londynowi. Niezależnie od tego, czy Brytyjczycy wyjdą z Unii jeszcze w marcu, w czerwcu, później lub w ogóle, po ostatnich głosowaniach w Westminsterze wiadomo już jedno: brexit Unii nie zabije. ©P

SAM SACHDEVA, NOWOZELANDZKI DZIENNIKARZ

Christchurch: Patrzyliśmy w złą stronę

MARCIN ŻYŁA: 15 marca zamachowiec otworzył ogień do modlących się w meczecie na przedmieściach Christchurch, potem – w niedalekim centrum mużułmańskim. Zginęło 50 osób. Jak zareagowali Nowozelandczycy?



SAM SACHDEVA: Zaskoczeniem, że terror dosięgnął też nas. Dotąd panowało poczucie, że tu takie rzeczy się nie zdarzają. Potem przyszła złość – że służby nie dostrzegły zagrożenia. 28-letni Australijczyk, sprawca ataku, publikował na Facebooku zdjęcia broni, nie krył się z ksenofobicznymi, neonazistowskimi poglądami.

W Europie utrzymuje się raczej idylliczny obraz Nowej Zelandii – dalekiego, małego narodu, wolnego od kłopotów, jakby na uboczu historii.

Wie pan, my ten obraz w dużej mierze podzielimy. Jesteśmy dalej od świata niż wszyscy inni. Klótnie o brexit, spory wokół Trumpa dotąd jakby nas mniej dotyczyły. Za wcześniej, by stwierdzić, czy Christchurch to zmieni. Czujemy dziś utratę i niepewność. Dla nas to nowość, że policjanci chodzą z bronią maszynową.

Morderca był pod wpływem poglądów skrajnie nacjonalistycznych. Co mogło wpłynąć na jego radykalizację?

Sam wyjazd do Francji w 2017 r. to mało. Podobne ataki dokonane w innych miejscach pokazują szkodliwy wpływ me-

diów społecznościowych. Czekają nas dyskusja o tym, jak powstrzymać hejt w sieci. To nie tylko kwestia „czystej” mowy nienawiści. Nawet wicepremier Winston Peters wspomina o zagrożeniach związanych z masową migracją używając retoryki, która u niektórych mogła wpłynąć na radykalizację.

Ostatnio nieznacznie wzrosła niechęć wobec mużułmanów. Nie chodzi o religię, lecz życie – gdzieś tam w związku z przybyciem imigrantów zmieniły się ceny nieruchomości, brakuje miejsc w szkołach itp. Mużułmanka w Christchurch powiedziała mi, że jej wspólnota czuje się teraz zagrożona, także z powodu antyimigranckiej retoryki polityków.

Premier Jacinda Ardern prezentuje się w tych dniach jako polityk, której nie brakuje ani empatii, ani stanowczości.

Ważne jest, aby w działania włączać mużułmanów – żeby to, co zmienimy, robić razem, a nie „dla nich” czy „w trosce o nich”. To właśnie robi Ardern: ubiera hidżab, odwieża wspólnoty islamskie – jest z nimi nie ukrywając emocji. Równocześnie zapowiada zmianę zasad dostępu do broni i dochodzenie w sprawie zaniedbań. Służby patrzyły w złą stronę – obserwowały fundamentalistów islamskich, zapominały o tzw. białych suprematystach. ©P

SAM SACHDEVA jest dziennikarzem portalu *Newsroom.co.nz*.

Čaputová prezydentką?

PRAWNICZKA I DZIAŁACZKA SPOŁECZNA Zuzana Čaputová zgodnie z przewidywaniami wygrała pierwszą turę wyborów prezydenckich na Słowacji. Zdobyła ponad 40 proc. głosów. Jej rywalką, dyplomatę Maroša Šefčoviča, wspieranego przez rządzącą partię Smer-Sociálna Demokracia, poparło tylko 19 proc. głosujących. Rozstrzygająca druga tura wyborów odbędzie się 30 marca.

Čaputová znana jest z zaangażowania obywatelskiego, a jako polityczka od niedawna działa w nowej proeuropejskiej partii Postępowa Słowacja (Progresívne Slovensko). Liberalne poglądy nie przeszkod-

ziły jej w zdobyciu części wyborców konserwatywnych i wierzących. Można się jednak spodziewać, że kampanię wyborczą zdominują teraz takie kwestie jak praca mniejszości seksualnych czy stosunek do uchodźców.

Tuż przed wyborami zarzuty zlecenia zabójstwa dziennikarza śledczego Jána Kuciaka usłyszał bliski wielu politykom kontrowersyjny biznesmen Marián Kočner. Powodem zabójstwa miała być działalność dziennikarza. Śmierć Kuciaka i jego narzeczonej Marty Kušnírovej rok temu była wstrząsem dla Słowaków. Ludzie wyszli na ulice, by domagać się sprawiedliwości i politycznej zmiany. Sukces Čaputovej, osoby spoza politycznych układów, wynika również i z tej potrzeby. ©P PB

Wybory do PE: mit wielkiego miasta

WYDAWAŁO SIĘ, że wyniki wyborów samorządowych będą impulsem do złapania przez polityków kontaktu z rzeczywistością. Rzecz w tym, że znacząca część Polaków nie jest wciągnięta w emocjonalną eskalację i raczej jest skłonna karać tych, którzy się do niej przyczyniają.

Niemniej pojawiają się coraz to nowe złudzenia, nowe polaryzacje. W ramach szykowania się do wyborów do Parlamentu Europejskiego przez media przebiega opowieść: „w wyborach tych głosują głównie miasta, dlatego PiS-owi będzie pod górę”. Za politykami obu stron powtarzają ją dziennikarze i komentatorzy.

A przecież dane dostępne na stronach PKW pokazują, że choć są tu jakieś przesunięcia, to mają one charakter drugorzędny. Z miast-powiatów (czyli mniej więcej od Skierniewic w górę), gdzie mieszka trochę mniej niż jedna trzecia Polaków, pochodziło 37 proc. głosów oddanych w ostatnich wyborach sejmowych i „aż” 42 proc. w ostatnich eurowyborach. Niby trochę więcej, lecz ciągle sporo do połowy, o jakiejś wyraźnej dominacji wielkomiejskiego elektoratu już nie mówiąc.

Polska polityka jest zdominowana przez największe metropolie chyba tylko w umysłach stołecznych elit, dla których już wyjazd do Łodzi zdaje się poświęceniem. W przyjętej na bazie takich uproszczeń optyce widzi się wszędzie wokoło przepaście, oddzielające wierzchołek od tych „na dole”. Różnice pomiędzy wielkimi miastami a wsią są oczywistością, lecz pomiędzy nimi są równo nachylone stoki. Polski pejzaż społeczny przypomina raczej łagodne zbocza Fudzi, niż poszarpane Góry Stołowe. Na szczycie, jak w kraterze, schował się warszawski grajdołek, z którego najwyraźniej mało komu chce się wyglądać i sprawdzać, jakie są realia na zewnątrz.

Politykom, którzy przyjmują takie mniemania np. o strukturze elektoratu, grozi nie tylko oderwanie od rzeczywistości. Swoją aktywnością mogą pogłębiać różnice wśród wyborców. Wyraźne – nawet jeśli początkowo sztuczne – podziały na „my” i „oni” mogą dalej zadziać na zasadzie samospełniającej się przepowiedni.

© JAROSŁAW FLIS



Demonstracja na Rynku Głównym w Krakowie, 15 marca 2019 r.

Klimat – ich sprawa

BARDZO SIĘ UCIESZYŁAM, ŻE IDĄ – mówi o swoich dzieciach, uczniach krakowskich liceów (Antek w klasie maturalnej, Urszula w drugiej) Cecylia Malik, artystka i aktywistka. – Od lat nie chodzą ze mną na protesty. Sprawy kobiet, demokracji nie uważają za „swoje”, ale dorosłych. Klimat nie tylko uznali za swój, ale poczuli się grupą.

– To wspaniale, że młodzi połączyli się wokół jednoznacznie dobrej idei, zwłaszcza w czasie, gdy mamy tendencję do dzielenia się na obozy – dodaje Katarzyna Cieplińska, nauczycielka Waldorfskiej Szkoły Podstawowej im. J. Korczaka w Krakowie.

Malik i Cieplińska (wraz z ok. 40 uczniami klas szóstych) przyszły 15 marca na Rynek Główny, by wziąć udział w Młodzieżowym Strajku dla Klimatu. Demonstrowano też w innych miastach. Czasami wbrew szkołom. Malik: – Nauczycielka jednego z moich dzieci powiedziała, że zmiany klimatyczne to mit. Zmarnowano szansę, by porozmawiać z uczniami o czymś ważnym, czego szkoła nie uczy.

– Młodzi żyją w realnym świecie i przychodzą do szkoły z pytaniami – dodaje Cieplińska. – Albo zamknijmy się w „świecie podstaw programowych”, albo spróbujemy na te pytania odpowiedzieć. Strajk Klimatyczny był doskonałą ku temu okazją.

© PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ginekolog: Takich jak pani nie badam



EWELINA BURDA

LEKARZ KIEDYŚ POWIEDZIAŁ: „A CO TAM pani może być? Nie rodzi pani, nie ma chłopaka” – opowiada kobieta z niepełnosprawnością intelektualną.

„Zapytałam go [lekarza] o możliwość zajścia w ciążę, jakby to wyglądało, żeby ocenił realne szanse i tak dalej. On jak wybuchnął, że chyba oszalałam i w ogóle, że w moim przypadku to jest absurdalne, że bym była w ciąży, miała dziecko, bo jeszcze na wózku inwalidzkim, a trzeba robić ciągle USG i w ogóle tak na mnie nakrzyczał...” – to historia kobiety z niepełnosprawnością ruchu.

„Jeden raz lekarz powiedział mamie, że on takich jak ja nie bada” – mówi kobieta z niepełnosprawnością intelektualną.

Fundacja Kulawa Warszawa zebrała historię pacjentek z województwa mazowieckiego i stworzyła raport „Przychodzi baba do lekarza” o dostępności usług ginekologicznych dla kobiet z niepełnosprawnościami. Punktuje w nim bariery, które muszą pokonać (umówienie się i dotarcie na wizytę, skorzystanie z usług osoby asystującej, niewystarczające kompetencje personelu), i pokazuje, jak można je systemowo zlikwidować.

Ale zdecydowanie najtrudniejsze do zmiany będzie to, by lekarz w gabinecie przestał widzieć kogoś gorszej kategorii, kto nie ma prawa decydować o swoim ciele, a zobaczył w kobiecie z niepełnosprawnością pełnoprawną pacjentkę.

©

Instytut Pisania Nedorzeczných Komunikatów

MICHAŁ OKOŃSKI



GDYBY NIE BYŁO TO TAKIE STRASZNE I GDYBY nie dotyczyło strasznej historii, mogłoby nawet być śmieszne. Oto na stronie IPN ukazał się „Komunikat dotyczący informacji zawartych w ustaleniach końcowych śledztwa S 28/02/Zi w sprawie pozbawienia życia 79 osób – mieszkańców powiatu Bielsk Podlaski, w tym 30 osób tzw. furmanów w lesie koło Puchał Starych, dokonanych w okresie od dnia 29 stycznia 1946 r. do dnia 2 lutego 1946 r.”.

Z anonimowego dokumentu wynika, że „w świetle najnowszych badań naukowych” można Romualda Rajsa „Burego”, przywódcę powojennego podziemia antykomunistycznego na Białostocczyźnie, zwolnić od odpowiedzialności za ludobójstwo. Wśród autorów „najnowszych badań” jest kilku historyków zatrudnionych w IPN i jeden mecenas, a poziom ich publikacji streszcza zda-

nie: „Miał przecież możliwości, by puścić z dymem nie pięć, ale znacznie więcej wiosek białoruskich”. Nowych faktów tu nie ma – są jedynie odmienne niż obowiązujące dotąd interpretacje (ludzie „Burego” zabijali białoruskich cywilów, w tym kobiety i dzieci, bo uważali ich za komunistycznych kolaborantów – czytamy). Nowa jest próba obejścia orzeczeń wymiaru sprawiedliwości: według ustaleń prokuratora (pracującego zresztą w pionie śledczym IPN i komunikatem zaskoczonego), następnie podtrzymanych przez sąd, w wioskach pod Białymstokiem doszło jednak do ludobójstwa.

„Nie nam żałować – gryzi piórkom” – pisał Herbert w „Wilkach”. Naprawdę lepiej czytać wiersze, niż kompromitować instytucje państwa publicystyką, która chce obejść prawo.

© ©

PROF. MACIEJ PILECKI, PSYCHIATRA DZIECIĘCY

Kiedy dziecko chce się zabić

MACIEJ MÜLLER: Według danych Komendy Głównej Policji w 2018 r. próbę samobójczą podjęło 746 osób w wieku 13-18 lat. To o 44 więcej niż rok wcześniej.

PROF. MACIEJ PILECKI: Od kilkunastu lat rośnie liczba właściwie wszystkich zaburzeń psychicznych obserwowanych u dzieci i młodzieży, nie tylko prób samobójczych, ale też samouszkodzeń, zaburzeń lękowych i odżywiania, depresji, uzależnień. Nie mówimy o problemie izolowanym.

Jakie są tego przyczyny?

Wiąże się to z zachodzącą w Polsce transformacją ekonomiczną i socjokulturą. Kluczowy jest kryzys rodziny: niechciane samotne rodzicielstwo, emigracja zarobkowa jednego rodzica, rozpady związków, brak stabilności relacyjnej, ekonomicznej, katorżnicza praca rodziców, którzy odnieśli sukces. Kolejny czynnik to wzrastające edukacyjne oczekiwania wobec młodych ludzi. Jednocześnie obserwujemy słabość państwowych struktur pomocowych.

Na próby samobójcze decydują się coraz młodszy ludzie.

Znaczenie ma rozwój internetu i łatwy dostęp do informacji dotyczących samobójstw.



MEDYCINA PRAKTYCZNA

Lektura każdej publikacji na ten temat (nawet tej rozmowy) może nasilać ryzyko prób samobójczych: to tzw. syndrom Wertera.

Decyzje są planowane czy spontaniczne?

Im młodszy pacjent, tym częściej próba wiąże się z jakimś trudnym wydarzeniem, np. kłótnią rodzinną.

Ale zazwyczaj bezpośrednia przyczyna to tylko jedna z nawarstwiających się trudności. Czasem chodzi o krzyk rozpacz, zwrócenie na siebie uwagi bliskich, ukaranie ich, ale motywem może być też realne pragnienie śmierci.

Czy rodzice są w stanie wyczuć, że z dzieckiem dzieje się coś złego?

W większości przypadków są zaskoczeni. Nie wolno lekceważyć żadnej wypowiedzi dziecka na temat niechęci do życia; w obliczu każdej znaczącej zmiany stanu emocjonalnego warto zwrócić się do specjalisty. Rozmawiając z młodymi ludźmi, którzy próbowali się zabić, często stwierdzam, że powinni byli otrzymać pomoc wiele lat wcześniej.

DR HAB. MACIEJ PILECKI jest kierownikiem Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży Collegium Medicum UJ.

KRAJ W SKRÓCIE

PIERWSZY ROLNIK. „Spędziłem mnóstwo czasu w dzieciństwie i młodości na wsi” – wyznał premier Morawiecki podczas obchodów Dnia Sołtysa w Łowiczu, a najciekawsze w jego wspomnieniach było przyznanie, że umie posługiwać się cepem.

PIERWSZY NAUCZYCIEL. Cepem (a właściwie, wedle jego słów, „potężnym orężem”) posłużył się również lider ZNP Sławomir Broniarz, grożąc w Radiu Zet, że w kompetencji protestujących związkowców leży m.in. promocja uczniów do następnej klasy.



PIOTR MOŁECKI / EAST NEWS

PIERWSZY NA DIECIE. Praca cepem posłużyłaby chyba również prezydentowi, który – jak donoszą tabloidy – rozpoczął tajną operację „Kampania”, a w jej ramach stosuje dietę ograniczoną do 1000 kalorii dziennie, rzuca palenie, pije dużo wody i (z rzadka) czerwone wino.

ZAWSZE PIERWSZY. Kompletnie bez związku z tymi doniesieniami Jarosław Kaczyński czytał w ławach sejmowych „Narodowy program trzeźwości”. Mówiąc „Wara od naszych dzieci” bezdietny skądinąd prezes PiS nawiązywał za to do słów wiceprezenta Warszawy Pawła Rąbki, który w wywiadzie dla „DGP” opowiedział się za „etapowaniem”: najpierw związki partnerskie, potem równość małżeńska, a na koniec adopcja dzieci przez pary homoseksualne. Od szczerości Rąbki odciął się chór polityków i publicystów związanych z liberalną opozycją.

OSTATNI. A tak w ogóle zamiast cepów mamy już nowoczesne narzędzia i maszyny rolnicze. Z jednej z nich próbował skorzystać mieszkaniec dolnośląskiego, który podjechał do bankomatu w Bolesławcu ciągnikiem i za pomocą pasów holowniczych usiłował wyrwać urządzenie z podłoża.

Zmarł kardynał Danneels, sojusznik papieża

„MIESZKAJĄC W BOGATEJ EUROPIE łatwo zapominały, czym jest bieda” – mawiał zmarły 14 marca kard. Godfried Danneels, prymas Belgii w latach 1979–2010. Dlatego z entuzjazmem komentował działania Franciszka: „on zmusi nas do nowego i bardziej uważnego spojrzenia na ubóstwo”. Zmarły purpurat był jednym z kościelnych progresistów: popierał decentralizację władzy kościelnej i diakonat kobiet, twierdził, że homoseksualizm jest „naturalną dyspozycją”, krytykował zapisy „Humanae vitae”, uważał, że w obliczu AIDS dopuszczalne jest stosowanie prezerwatyw. Podkreślał, że celem Kościoła jest ewangelizacja, ale bardziej przez obecność w świecie niż przez słowa. Papież na tyle cenił poglądy Danneelsa, że zaprosił go już jako emeryta na oba synody o rodzinie (2014-15).

© P MAM



JACEK SMOTER / AGENCJA GAZETA

Klezmer nie gra, opowiada

MÓWIONO O NIM: OSTATNI Z GALICJI. Leopold Kozłowski-Kleinman (na zdjęciu), muzyk i kompozytor, zmarł w Krakowie 12 marca. Miał ponad sto lat. Pochodził z Przemyślan, sztetla, który wspominał jak raj utracony, z klezmerskiego rodu Brandweinów. W Zagładzie zginęli jego bliscy, on trafił do obozu, po ucieczce walczył w partyzancie, a po wstąpieniu do wojska – na froncie. Po wojnie założył wojskowy Zespół Pieśni i Tańca i prowadził go do 1968 roku... Potem był Teatr Żydowski, Cygański Zespół Pieśni i Tańca Roma, muzyka filmowa (m.in. do „Austerii” Kawalerowicza), rola w „Liście Schindlera”. Ostatnie dekady okazały się szczególnie bogate: powrót do tradycji klezmerskiej, koncerty z własnym zespołem, płyta, Festiwal Kultury Żydowskiej. „Klezmer nie gra, klezmer opowiada na swoich skrzypcach, klarnecie czy cymbałach – tłumaczył Dorocie Swarcman w rozmowie dla pisma „Mi-drasz”. – Opowiada dzieje swojego losu, dzieje swojego narodu”. Szanowany i podziwiany, wziął jeszcze udział w jubileuszu własnego stulecia. Teraz jego stół w Klezmer Hois przy Szerokiej będzie pusty.

© P TOMASZ FIAŁKOWSKI

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KOŚCIÓŁ MA KŁOPOT Z DEMOKRACJĄ. „Po tym poznamy poziom demokratycznego państwa, kiedy widzimy, w jaki sposób traktowani są inni, niepełnosprawni, słabsi ekonomicznie, społecznie czy mentalnie, jakie grupy są wykluczane i czy są wykluczeni. (...) I taką demokrację powinien wspierać każdy, kto się nazywa chrześcijaninem” – mówiła pastor z Kościoła ewangelickiego Halina Radacz podczas zorganizowanej przez TVN24 w ramach „Areny idei” w Europejskim Centrum Solidarności debaty „Czy Kościół wspiera demokrację?”. W sondażu w trakcie programu negatywnie na tytułowe pytanie odpowiedziało 96 proc. widzów.

KATECHECI NIE STRAJKUJĄ. „W tego typu akcjach strajkowych w żadnym wypadku nie powinni uczestniczyć katecheci, gdyż żadne względy ekonomiczne nie usprawiedliwiają rezygnacji z głoszenia Ewangelii” – odpowiedziała kuria gliwicka „w związku z powtarzającymi się pytaniami dotyczącymi udziału katechetów w strajku nauczycieli”. Łagodniej podeszła do problemu kuria szczecińsko-kamieńska: „nauczyciele religii nie powinni angażować się w tego rodzaju akcje strajkowe”. Z kolei kuria tarnowska przypomina, że katecheci są w szkole przedstawicielami Kościoła i „nie mogą angażować się w tego rodzaju akcje, które pozabawiałyby ich właściwej neutralności”.

KATOLICY ROZWAŻAJĄ. Aż 37 proc. amerykańskich katolików zastanawia się, czy pozostanie w Kościele – wynika z najnowszych badań Gallupa przeprowadzonych w styczniu i lutym. Jest to wyższy odsetek niż podczas pierwszego kryzysu w 2002 r. związanego z ujawnieniem wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych – wówczas odsetek ten wynosił 22 proc. Jednocześnie papieża Franciszka darzy w Stanach Zjednoczonych dużym lub bardzo dużym zaufaniem 58 proc. katolików, biskupów zaś tylko 30 proc.

Egzorcyzm to nie ósmy sakrament

KS. JACEK PRUSAK SJ



OSTATNIE OBRADY EPISKOPATU zdominowała kwestia raportu na temat pedofilii w polskim Kościele, ale w jego cieniu został przedstawiony ważny postulat dotyczący sprawowania egzorcyzmów oraz modlitwy o uwolnienie.

Komisja Nauki Wiary KEP przygotowuje notę dla egzorcystów, która szczegółowo będzie wskazywać, „co egzorcysty wolno, a czego nie wolno”. Niektórzy z nich dopuszczają się bowiem poważnych nadużyć, traktując ten obrzęd jak ósmy sakrament, a modlitwę uwolnienia jak zaklęcie. Nota będzie nakładać na każdego egzorcystę obowiązek wykluczenia najpierw zaburzeń psychicznych czy zaburzeń osobowości na podstawie diagnozy psychiatry i/lub psychologa, a więc nie pozwala egzorcystom na samodzielne działanie w imieniu Kościoła. Uściśleniu zostaną również poddane warunki prowadzenia modlitwy o uwolnienie, co w sumie powinno wyeliminować zjawisko „turystyki egzorcystycznej”. Powołany też zostanie w Katowicach ogólnopolski ośrodek formacji dla egzorcystów.

Ponadto Komisja proponuje, aby w każdej diecezji powstały zespoły psychiatrów i psychologów, które współpracowałyby z egzorcystami w celu przeprowadzenia diagnozy różnicującej i udzielenia właściwego wsparcia osobom szukającym pomocy, a niepotrafiącym zrozumieć natury swoich problemów.

© P



ROMAN HUSARSKI, autor korespondencji z Indii (s. 50), będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopoglądzie” Radia TOK FM w środę 20 marca o godz. 16.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin

94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

W Afryce, czyli nigdzie

NIE ZNAMY JESZCZE PRZYCZYN wypadku boeinga pod Addis Abebą, w którym 10 marca zginęło 157 osób. Ale możemy przypuszczać jedno: gdyby zdarzył się gdzie indziej, inaczej by o nim mówiono.

Zaczęło się od tweeta Associated Press, który, choć wśród ofiar było najwięcej obywateli Kenii (32), informował o „Kanadyjczykach, Chińczykach, Amerykanach, Włochach, Indusach, Francuzach, Brytyjczykach i Egipcjanach” (agencja tłumaczyła, że o Kenijczykach pisała we wcześniejszej, niepromowanej na Twitterze depeszy). Następnie telewizyjni eksperci zaczęli dywagować o tym, jak niebezpiecznie jest podróżować Ethiopian Airlines. Na koniec nawet znany prezenter CNN Richard Quest, broniąc reputacji linii, użył argumentu: „choć są afrykańskie, funkcjonują jak europejskie”. Tak jakby „afrykańskie” było z założenia gorsze, zawodne, śmiertelne.

Po styczniowym ataku terrorystów w Nairobi dziennik „New York Times”, jeszcze zanim powiadomiono ich rodziny, opublikował drastyczne zdjęcia ofiar (rzecz nie do pomyslenia np. po zamachu w Brukseli). Także wielu z nas niepotrzebnie egzotyzuje w języku potocznym: w Wielkopolsce mieszkają na „wsi”, w Angoli – w „wioskach”; w Europie osiągamy „sukcesy”, w Afryce – dzieją się „cuda”; Kaszubi są „grupą etniczną”, ale Fulanie już „plemieniem”; Francuzi posługują



MINASSE WONDIMU HAILU / ANADOLU AGENCY / AFP / EAST NEWS

Podczas uroczystości żałobnych w Etiopskim Związku Pilotów, 11 marca 2019 r.

się „językiem”, Kongijczycy – „narzeczami” itd. I choć Ethiopian Airlines mają flotę nowocześniejszą od LOT-u, w latach 2016-18 ani jedna osoba nie zginęła w Afryce w wypadku odrzutowca pasażerskiego, a przez ostatnią dekadę etiopska gospodarka rozwijała się w tempie 10 proc. rocznie – fakty te nie mają siły przebicia. Na Zachodzie, także w Polsce, dominuje – często nieświadomie, bez udziału złej woli – stereotyp, którego źródła tkwią w czasach minionych. © P MARCIN ŻYŁA

Koronczarka – między Polską a Indiami

ZANIM WEJDZIE NA ŚCIANĘ, kilka dni rysuje, potem ręcznie wycina. To benedyktyńska robotka. Jeden z jej szablonów miał 170 metrów kwadratowych – odbity od niego złoty ornament oplata dziś fasadę kamienicy w centrum Berlina. Ażurowe murale warszawskiej artystki NeSpoon znajdziemy w większości europejskich państw, od Szwecji po Portugalię. Każdy jest unikalny, musi komponować się z krajobrazem i charakterem miasta. W Polsce jak dotąd powstało kilka – w Gdańsku, Lublinie, na ścianie piekarni w Koniakowie. Ten ostatni ma szczególne znaczenie, bo NeSpoon od dziecięciu lat, na przekór streetartowemu trendom, inspirowała się koronczarstwem.

Dokładnie 8 marca, w Międzynarodowym Dniu Kobiet, swój koronkowy mural NeSpoon namalowała na jednej ze ścian w Delhi (zob. powszech.net/NeSpoon). Do stolicy Indii artystka pojechała na zaproszenie fundacji St+art, zajmującej się promocją sztuki

poza zamkniętą przestrzenią muzeów i galerii. Projekt powstał z grupą delhijskich koronczarek i nawiązuje do lokalnych motywów tej sztuki. Cel? Zaznaczenie obecności kobiet w przestrzeni publicznej.

Koronka przypomina mandalę – podkreślają indyjskie media. Odkąd NeSpoon porzuciła klasyczne malarstwo, odwołuje się w swojej sztuce do najbardziej pierwotnych i uniwersalnych symboli, rozpoznawalnych w każdej części świata, kojarzonych z tradycją, medytacją i harmonią. Potrzeba powrotu do tego, co najprostsze, przejawia się także w doborze materiałów – poza puszkami farby NeSpoon chętnie sięga po glinę. Odciskanie koronek w glinie to zresztą jedna z najpowszechniejszych metod zdobienia naczyń na całym świecie. Różnica polega na tym, że NeSpoon odciska swoje koronki w przestrzeni miasta.

To również prywatna forma buntu – NeSpoon przez wiele lat działała w organizacji pozarządowej walczącej z nielegalnym zajmowaniem przestrzeni publicznej przez wielkoformatowe reklamy. © P MONIKA OCHĘDOWSKA

KULTURA W SKRÓCIE

CZEKAMY. Najpopularniejszy w Polsce gatunek muzyczny doczekał się własnej nagrody. W przyszłym roku po raz pierwszy przyznane zostaną Polish Hip-Hop Music Awards. Raperzy będą wyróżniani w 14 kategoriach, a wyboru najlepszych dokonają związani ze środowiskiem hip-hopowym dziennikarze, blogerzy i youtuberzy.

PODJADAMY. Tymczasem – jak podaje Agencja Reutera – szwajcarscy naukowcy opracowali najbardziej obiektywny sposób wartościowania dzieła muzycznego. Otóż do oceny poszczególnych utworów zaproszono... kawałek sera. Zamiast głośników użyto nadajników do przewodzenia energii, dzięki czemu, jak mówią badacze, muzyka doskonale rezonowała wewnątrz żółtego, nomen omen, krążka. Wyniki? Ementaler, który „słuchał” hip-hopowego kawałka, miał najsilniejszy smak i aromat. Nieporównywalny z tym, który wywołał Mozarta.



IRIS NISHER

GRATULUJEMY. O ile na najsmaczniejsze polskie hip-hopowe kawałki musimy jeszcze poczekać, to już dziś wiemy, że laureatką tegorocznej Międzynarodowej Nagrody im. Zbigniewa Herberta została izraelska poetka Agi Miszol (na zdjęciu). O jej wierszach Amos Oz pisał, że „potrafią w tym samym czasie opowiadać historie, śpiewać oraz tańczyć”.

ŻEGNAMY. Wybór ten zbiegł się niestety z informacją o śmierci pierwszego laureata nagrody, Williama Stanleya Merwina, amerykańskiego poety, eseisty i tłumacza m.in. dzieł Dantego, Mandelsztama i Nerudy.

GNIEW LUDU, GNIEW BOGA

Coś, co miało być krokiem naprzód, okazało się krokiem w tył.
Zorganizowana w siedzibie Episkopatu prezentacja danych
na temat wykorzystywania seksualnego osób małoletnich przez duchownych
to zmarnowana szansa na oczyszczenie.

ARTUR SPORNIAK

OSOBY SKRZYWDZONE PRZEZ KSIĘŻY SĄ ZBULWERSOWANE. „Konferencja była wymierzeniem policzka dla ofiar. Rozmowa bardzo istotnej sprawy. Nie tędy droga” – mówił Mariusz Milewski w TVN. „Jesteśmy ignorowani. A my tak naprawdę chcemy tylko prawdy i sprawiedliwości. Konkretnych rozwiązań oraz traktowania nas jak osoby godne szacunku” – dodawał Marek Lisiński, prezes fundacji Nie Lękajcie Się. Tymczasem abp Stanisław Gądecki tak podsumowywał konferencję: „Z jednej strony ogromny przemysł, który pompuje seksualność. A z drugiej strony od razu pałą w głowę tych, którzy podają się temu przestępstwu”. To brzmiało jak usprawiedliwienie przestępców w sutannach.

Osoby pokrzywdzone, słuchając słów przewodniczącego Episkopatu i jego zastępcy abp. Marka Jędraszewskiego, poczuły, że to one, a nie ich oprawcy, stanowią główny problem Kościoła. Przesłanie konferencji okazało się zaskakujące: wykorzystujący dzieci zdegenerowany świat chce z Kościoła uczynić kozła ofiarnego. Wcześniej można było sądzić, że etap wyparcia mamy już za sobą. Okazuje się, że przywódcy polskiego Kościoła wciąż z niego nie wyszli.

Niech zadrżą serca

Ogłoszenie raportu, zapowiadane od września 2018 r., zamiast pokazać, że polscy biskupi kierują się dobrem ofiar, w rzeczywistości pokazało, że myślą przede wszystkim o – specyficznie pojmowanym – wizerunku instytucji. Że zajmuje ich nie to, jak przestrzeń kościelną uczynić bezpieczną i rozliczyć się z grzechów przeszłości, ale słownictwo używane do opisu nadużyć.

„Przyzwyczajiliśmy się do tego hasła ukutego ideologicznie: »pedofilia w Kościele« – mówił abp Gądecki. – To hasło, zręcznie dobrane, miało w sumie z jednej strony wskazać na problem, jaki istnieje, z drugiej zaś strony poderwać też autorytet Kościoła i doprowadzić do tego, żeby zaufanie wiernych do samej hierarchii czy zaufanie w ogóle do instytucji Kościoła zostało zniszczone”.

Przewodniczącemu wtórował zastępca, który również mówił o stygmatyzowaniu Kościoła. Jemu także nie podobają się powszechnie używane – także w samym Kościele – stwierdzenia. Krytykował zwrot „zero tolerancji”, ponieważ – jak ponoć zauważono na niedawnym watykańskim spotkaniu przewodniczących episkopatów z papieżem, na które abp Jędraszewski pojechał w zastępstwie chorego abp. Gądeckiego – ma charakter totalitarny („Kiedy nazizm hitlerowski walczył z Żydami, stosował wobec nich »zero tolerancji«, w wyniku czego powstał Holokaust. Kiedy w systemie bolszewickim stosowano »zero tolerancji« wobec »wrogów ludu«, doszło do kolejnej masakry w skali liczącej dziesiątki, a może nawet setki milionów ofiar”).

Kościół ma być nieskazitelnie sprawcom, a tak naprawdę „wszyscy jesteśmy ofiarami tych osób, które dopuściły się przestępstw względem dzieci i młodzieży” – mówił metropolita krakowski, powołując się na przemówienie Franciszka zamykające watykański szczyt. Zacytujmy i my papieża: „Gniew ludu jest gniewem Boga. Niech serca niegodziwych kapłanów, znieczulone obłudą i władzą, zadrżą od krzyku dzieci” (więcej o głosach przewodniczącego i wiceprzewodniczącego Episkopatu pisze Szymon Hołownia w dziale Wiara).

Działania

Nie można oczywiście twierdzić, że kościelne instytucje nic w sprawie pedofilii nie robią. A poznanie rzeczywistej skali ich działań jest rzeczą istotną – tylko mając świadomość, co robią w sprawie ochrony dzieci i młodzieży, można krytycznie wskazać, czego jeszcze powinny się podjąć.

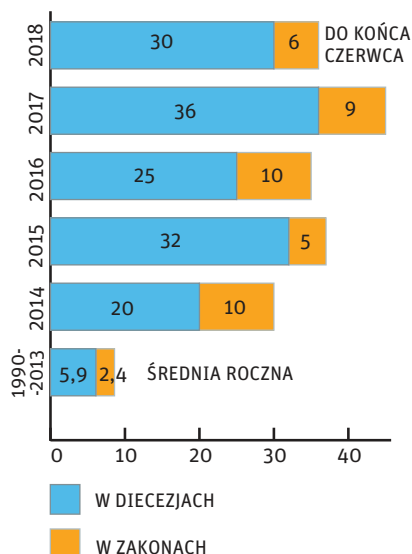
Episkopat pierwsze wytyczne co do postępowania w przypadkach zgłoszeń nadużyć wobec małoletnich opracował w 2009 r., jako jeden z pierwszych w Europie. Były jednak mało precyzyjne i nie można powiedzieć, że z determinacją wcielane w życie. Dopiero wydany w 2011 r. przez Benedykta XVI nakaz opracowania wytycznych odpowiadających watykańskiemu standardowi spowodował prace nad nowymi normami. Trwały długo, bo aż do ➔



FRANCISZEK CAŁUJE W RĘKĘ MARKA LISIŃSKIEGO, w dzieciństwie wykorzystanego seksualnie przez księdza. Przedstawiciele fundacji Nie Lękajcie Się, założonej przez Lisieńskiego, przyjechali do Watykanu, by przekazać papieżowi własny raport o pedofilii w polskim Kościele. Do spotkania doszło po audiencji generalnej, w środę, 20 lutego 2019 r.

PRZYPADKI ZGŁOSZONE WŁADZOM KOŚCIELNYM

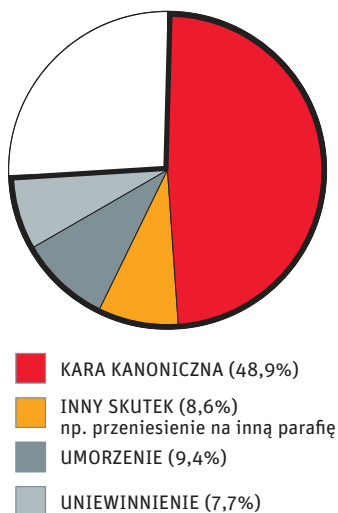
Łącznie: 382, w tym 198 przestępstw dotyczyło dzieci poniżej 15. roku życia



PROCESY KOŚCIELNE

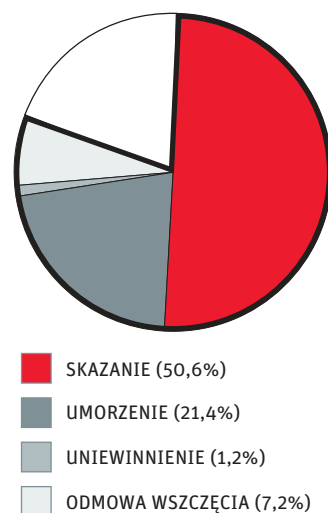
Grubą linią oddzielono procesy już zakończone od trwających.

Dane procentowe odnoszą się do ogólnej liczby procesów (zakończonych i nie).



Procesy kościelne prowadzono w 362 przypadkach, władze świeckie poinformowano o 168.

PROCESY PAŃSTWOWE



→ 2014 r. (jak się dowiedzieliśmy, pierwszy projekt został przez Watykan zwrócony do poprawy). Nowe wytyczne wymagały m.in. powołania przez biskupów delegatów, których zadaniem było nietraumatyzujące ofiar przyjmowanie od nich zgłoszeń nadużyć oraz troska o pomoc dla nich. W tej chwili wszystkie diecezje posiadają delegatów, choć jakość ich pracy – co sprawdziła nasza dziennikarka Anna Goc [zob. „TP” 21/2018] – zależy od zaangażowania danego biskupa. Wytyczne wymagają także opracowania szczegółowych procedur prewencji i kodeksów zachowań, tak by posiadała je każda jednostka kościelna mająca styczność z dziećmi i młodzieżą. Na razie wymóg ten spełniły nieliczne diecezje i zgromadzenia zakonne. Episkopat wciąż także pracuje nad nową podstawą formacyjną dla seminariów duchownych.

W czerwcu 2013 r. KEP powołała koordynatora ds. ochrony dzieci i młodzieży, którym został o. Adam Żak. Rok później przy krakowskim Ignatianum powstało Centrum Ochrony Dziecka, kierowane przez o. Żaka. Centrum zorganizowało wiele szkoleń dla delegatów, duszpasterzy, kanonistów, formatorów i wychowawców. Można je uznać za rzeczywiste centrum walki: diagnozuje sytuację, monituje biskupów i przełożonych zakonnych, wspomaga terapię ofiar i sprawców.

W czerwcu 2014 r. w krakowskiej bazylice jezuitów odbyła się pierwsza liturgia pokutna za grzechy i przestępstwa wykorzystywania seksualnego w Kościele. Od 2018 r. takie nabożeństwa mają się odbywać w całej Polsce w pierwszy piątek Wielkiego Postu. Ich celem jest nie tylko modlitwa, ale także pogłębianie świadomości problemu. Skrzywdzeni mówią jednak z goryczą: zamiast modlitw chcemy sprawiedliwości.

Medialna mizéria

Problemem Kościoła w Polsce jest nie tylko inercja struktur i uniki odpowiedzialnych, ale także nieporadność medialna. Dobitnie to pokazała konferencja prasowa.

Jeszcze przed watykańskim szczytem na stronach Episkopatu i Katolickiej Agencji Informacyjnej pojawiły się dwa anglojęzyczne opracowania, pokazujące działania instytucji kościelnych w Polsce w walce z pedofilią i w sprawie ochrony dzieci. Nie zatroszczono się jednak, by materiały te trafiły do komisji przygotowującej spotkanie z papieżem. Dlatego w watykańskim biuletynie – kilka dni temu uaktualnionym i rozesłanym akredytowanym dziennikarzom – działalność polskiego Kościoła wypadła blado. Znalazły się w nim tylko dwie informacje: na temat wytycznych oraz raportu fundacji Nie Lękajcie Sie.

Przypomnijmy: raport ten przygotowało stowarzyszenie ofiar pedofilii i ich bliskich, którzy – nie mogąc się doczekać skutecznej reakcji Kościoła – na własną rękę zebrali dane o przestępstwach osób duchownych oraz ukrywaniu prawdy przez ich przełożonych. W przeddzień watykańskiego szczytu Marek Lisiński zawiązał dokument do Watykanu i wręczył papieżowi. Wielu polskich biskupów skrytykowało go za nierzetelność i publikację niesprawdzonych, a nieraz nieprawdziwych danych. W watykańskim vademecum został umieszczony – o ironio – w rozdziale „Odpowiedzi Kościoła na poziomie centralnym i lokalnym”.

S. Bernadette Reis, asystentka dyrektora biura prasowego Watykanu, odpowiedzialna za przygotowanie informatora, zapewniła nas, że biuro wysyłało pytania do rzeczników prasowych Episkopatu oraz diecezji. Z kolei rzecznik KEP ks. Paweł Rytel-Andrianik tłumaczy, że mail od siostry co prawda dotarł do jego komputera, ale przez program pocztowy został przekierowany do niewidocznego dlań folderu „Ważne”. No właśnie...

Na temat mizerii medialnej biskupi dyskutowali na ostatnim zebraniu plenarnym. Lekarstwem ma być nowy urząd – delegat KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży. Został nim abp Wojciech Polak, od początku jeden z najbardziej kompetentnych i zaangażowanych w problem biskupów. To dobra wiadomość,

ale w beczce miodu jest łyżka dziegciu: Episkopatowi zapewne chodziło także o to, aby o. Żak – coraz bardziej ostatnio rozgoryczony na biskupów – przestał się wypowiadać w mediach.

Wiele głów smoka

„Nie mogę powiedzieć, że to są wszystkie ofiary” – mówił o zasięgu zaprezentowanej podczas konferencji kwerendy statystycznej abp Polak. „Wiemy, że wiemy mało” – wtórował mu o. Żak. Przedstawione badania zaledwie sygnalizują problem. Nie są dogłębnym studium przypadków. Są ilościowe i całkowicie zależne od dobrej woli administratorów danych – biskupów diecezjalnych i wyższych przełożonych zakonnych. Daleko im np. do badań niemieckich (obszernych, wieloaspektowych i przeprowadzonych przez niezależne instytucje badawcze).

Tyle że to pierwszy krok, bez którego nie można postawić następnych. Dawno powinien był zostać uczyniony. Nie można walczyć ze zjawiskiem, o którym nic się nie wie.

Opracowanie statystyczne zwraca zresztą uwagę konstrukcją obszernego tytułu, mającą zapewne sprawić, byśmy nie mieli wątpliwości, że rzecz dotyczy tylko nielicznych duchownych:

„Wykorzystywanie seksualne osób małoletnich przez niektórych inkardynowanych do diecezji polskich duchownych oraz niektórych profesów wieczystych męskich zgromadzeń zakonnych i stowarzyszeń życia apostolskiego w Polsce. Wyniki kwerendy”. Liczy tylko 17 stron – po pominięciu okładki, spisu treści i 6 wzorów ankiet (po trzy dla diecezji i zakonów), jakie rozsyłano biskupom i przełożonym zakonnym, zostaje 7 stron danych wraz z krótkim wstępem na temat metodologii badań i równie krótkim podsumowaniem. Jego autorem jest Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego (jedyna kościelna pracownia naukowa, założona w 1972 r., zajmująca się badaniami statystycznymi – znana choćby z corocznych badań frekwencji na mszach niedzielnych), choć kwerenda prowadzona była pod auspicjami Sekretariatu Episkopatu i we współpracy z o. Żakiem.

To właśnie krakowski jezuita zaczął, w 2014 r., gromadzić pierwsze dane na temat skali zjawiska w Polsce. Rozesłał do wszystkich diecezji i zakonów ankietę na temat przestępstw wykorzystania seksualnego nieletnich po 1990 r. Jak sam przyznał na konferencji prasowej, przyjął tę datę, kierując się przekonaniem, że informacje z czasu PRL będą niepełne – powszechną praktyką było wówczas ograniczanie liczby dokumentów archiwalnych na drażliwe tematy, w obawie choćby przed dostaniem się ich w ręce funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa.

Pozyskane przez o. Żaka informacje obejmowały okres 1990–2013 i były niepełne, ponieważ nie wszystkie instytucje, do których wysłał ankietę, odpowiedziały na jego apel. W październiku 2018 r., miesiąc po tym, jak papież zapowiedział watykański szczyt na temat pedofilii, Sekretariat Episkopatu zlecił uzupełnienie i uaktualnienie danych. Ich zbieranie trwało niemal do ostatnich dni przed ogłoszeniem dokumentu. Tak czy

inaczej, niektórzy biskupi i przełożeni zakonnici potrzebowali na wypełnienie trzech formularzy aż pięciu lat.

„Przekazywane przez diecezje oraz jurysdykcje zakonne dane w kilku przypadkach były niepełne oraz niespójne – piszą autorzy raportu – co wymagało dodatkowego monitowania oraz weryfikacji danych. Odpowiedzi na pytania otwarte w formularzach kart wskazywały na pewną ignorancję w zakresie możliwego oraz wymaganego w przepisach kościelnych podejścia do zgłaszanych przypadków”. To mocne zdanie, które stwierdza wprost, że wciąż – po latach nagłaśniania problemu przez media, po zdecydowanych wypowiedziach i działaniach papieża, po pięciu latach od przyjęcia „Wytucznych” przez polski Episkopat – są na decyzyjnych stanowiskach w Kościele osoby (biskupi i przełożeni zakonów), którzy bagatelizują problem i nie stosują się do przepisów.

Tymczasem nawet z danych zebranych w raporcie wynika, że przypadki seksualnego wykorzystania nieletnich przez osoby duchowne nie są odosobnione i nieliczne. Pisze się tu, że w latach 1990–2018 odnotowano w Polsce 382 przypadki przestępstw duchownych, których ofiarami było 625 nielet-

nich (w tym 345 dzieci poniżej 15. roku życia), co o. Żak nazwał „czubkiem góry lodowej”. W tak krytykowanym raporcie fundacji Nie Lękajcie Się pisano o 180 przypadkach nadużyć i 384 ofiarach. Ze wszystkich zgłaszanych władzom kościelnym spraw około jednej czwartej zostało umorzonych lub zakończonych uniewinnieniem, a mniej więcej tyle samo zakończyło się nałożeniem najcięższej kary kanonicznej – wydaleniem ze stanu kapłańskiego.

Z raportu dowiadujemy się też, że liczba zgłaszanych przestępstw z roku na rok rośnie (od pojedynczych przypadków w latach 90. do 36 zgłoszeń w roku 2017). Oraz że więcej jest ofiar wśród chłopców (58,4 proc.) niż dziewcząt (41,6 proc.).

Ten ostatni wynik skomentował o. Żak, zwracając uwagę, że wykorzystywania seksualnego małoletnich nie można łączyć z homoseksualizmem – to zjawisko, na które składa się wiele przyczyn, np. niedojrzałość emocjonalna sprawców, większa dostępność chłopców czy tzw. reminiscencja własnej traumy, jeśli sprawca sam był w dzieciństwie ofiarą nadużycia.

Niepokojące wnioski

Z wniosków, które mogą niepokoić, pierwszy dotyczy przypadków w ogóle nie procedowanych. Było ich aż 20 na 382, czyli 5,2 proc. Jeśli szukać spraw zatajanych, to właśnie w tej liczbie. Znaczyłoby to, że nawet z tak pobieżnej kwerendy wynika, iż co dwudziesta sprawa mogła być „zamieciona pod dywan”, albo co najmniej niezadowolona we właściwy sposób.

O. Żak wspominał również o innej niepokojącej tendencji. Opracowanie zawiera wykres przedstawiający liczbę zarzucanych czynów w zależności od roku ich popełnienia. Okazuje się, że ich gwałtowny wzrost notuje się od końca lat 90. (od lat 50. do początków lat 80. odnotowywano co najwyżej jeden czyn na rok). Znaczyłoby to, że w ostatnich latach coraz więcej duchownych ma kłopoty z własną seksualnością.

→ Zastanawia również obecna w opracowaniu kategoria „innych skutków procesów kanonicznych”. Znalazły się wśród nich: „nałożenie pokuty” – skutek, który wydaje się niewspółmierny do kategorii przestępstwa; oraz „przeniesienie na inną parafię” – co rodzi pytanie, czy w ten sposób nie narażono kolejnych dzieci. A kategoria ta obejmuje aż 11,5 proc. zakończonych spraw. Można sądzić, że świadomość możliwości stawiania takich właśnie pytań stoi za odruchem utrudniania dostępu do danych.

Z zestawienia wynika też zaskakująca różnica w odsetku uniewinnień we wszystkich, zakończonych i nie, procesach kościelnych i państwowych: 7,7 proc. i 1,2 proc. Odpowiada to aż 28 procesom kościelnym zakończonym wyrokiem uniewinniającym i tylko dwóm procesom państwowym. Nasuwa się podejrzenie, że albo sądownictwo kościelne stosuje łagodniejsze kryteria w porównaniu ze świeckim wymiarem sprawiedliwości, albo nie dysponuje tak skutecznymi narzędziami śledczymi. Na szczęście od 2017 r. każdą zgłoszoną w Kościele sprawę należy przekazać także państwowym organom ścigania. Od tego czasu nie powinno być zatem procesów kanonicznych nieoprowadzonych procesami państwowymi.

Ściana

Valentina Alazraki to meksykańska dziennikarka, którą na watykańskim szczycie papież poprosił o wygłoszenie prelekcji o jawności i transparentności. „Często słyszymy, że przestępstwa seksualne nie są popełniane tylko w Kościele katolickim – mówiła Alazraki przewodniczącym episkopatów. – Musicie zrozumieć, że wobec was będziemy bardziej surowi niż wobec innych”. Przekonywała, że nagłaśnianie przestępstw księży nie jest spiskiem mediów i atakiem na Kościół, ale dziennikarskim obowiązkiem.

„Chciałabym, żebyście wyszli z tej sali z przekonaniem, że to nie my, dziennikarze, wykorzystujemy dzieci i nie my ukrywamy przestępców” – mówiła. I tłumaczyła, jak mogła najprościej: kradzież, choć jest zawsze czynem nagannym, nie zawsze budzi zainteresowanie mediów; jednak gdy dopuści się jej policjant, sprawa na pewno zostanie nagłośniona. Przestępstwa księży przeczą ich misji, powołaniu i zasadom, jakie głoszą i wedle których każą innym żyć. Owszem, zdarzają się pedofile wśród nauczycieli, lekarzy czy kierowców autobusów. Nie zdarza się jednak, aby związek nauczycieli, dyrekcja szpitala lub jakikolwiek szef firmy bronił ich, ukrywał, przenosił na inne stanowisko, żeby uniknęli sprawiedliwości.

Słabością kościelnej struktury jest brak mechanizmów kontrolnych oraz niefunkcjonalność mechanizmów naprawczych. Zaanalizowanie osób pełnych dobrej woli rozbić się tu może o ścianę, którą jest świadomość, rozsądek i wola poszczególnych biskupów.

Jak dowiedzieliśmy się z dwóch niezależnych źródeł, Rada Stała Episkopatu (do której z urzędu należą Prezydium KEP – przewodniczący, jego zastępca i sekretarz – arcybiskup warszawski jako kardynał, prymas Polski oraz ośmiu wybranych biskupów) pod wpływem głosów katolików świeckich próbowała wyrzucić nacisk na metropolitę gdańskiego, by powołał komisję do zbadania zarzutów wobec ks. Henryka Jankowskiego. Abp Sławoj Leszek Głódź zignorował te głosy.

©© ARTUR SPORNIAK
współpraca EDWARD AUGUSTYN

Zobacz także specjalny serwis „TP”: powszech.net/pedofiliawkosciele

Kolejna krzywda

PROF. MARIA BEISERT:

Po tym, co usłyszały, ofiary molestowania przez księży czują się pominięte, bezsilne i tracą zaufanie do instytucji. A stąd blisko do myśli, że zostały opuszczone przez Boga.

ANNA GOC: Podczas prezentacji danych dotyczących wykorzystywania seksualnego osób małoletnich przez duchownych abp Marek Jędraszewski nazwał hasło „zero tolerancji dla pedofilii w Kościele” taktyką totalitarną i porównał do działań nazistowskich i bolszewickich. Jak takie wypowiedzi mogą przyjmować ofiary?

PROF. MARIA BEISERT: Mogą dojść do wniosku, że zabiegi, które mają na celu ich obronę, są czymś negatywnym.

„Kościół musi być nieskazitelnie stanowczy w piętnowaniu zła i w walce ze złem, ale musi także, zgodnie z tym, czego uczył nas Pan Jezus, wzywać do nawrócenia, pokuty i okazywać miłosierdzie sprawcom, jeśli oni rzeczywiście chcą podjąć nowe życie, szczerze żałują i dążą do wewnętrznego nawrócenia. To jest przesłanie Ewangelii, któremu Kościół musi być przede wszystkim wierny i stąd konieczność wewnętrznego, autentycznego oczyszczenia poprzez odnowione, nieustanne dążenie do świętości” – to dalszy fragment wypowiedzi.

Z tego cytatu wynika, że ważną ideę miłosierdzia i związanych z nią zjawisk, na podstawie których funkcjonuje Kościół, jego przedstawiciel omawia w tym miejscu z punktu widzenia sprawcy. Dla sprawcy niesie ona przesłanie związane z dbałością o jego osobę. Ofiary też to odbierają.

Co się dzieje w głowie ofiary, jeśli słyszy takie słowa?

Czuje się pominięta, bezsilna i traci zaufanie do bezstronności Kościoła. Bo skoro hierarchowie poświęcają tyle uwagi sprawcom, to może krzywda ofiar liczy się dla nich mniej.

Po takiej konferencji ofiary księży mogą czuć się opuszczone przez Kościół?

Tak, a stąd blisko do myśli, że zostały opuszczone przez Boga. U niektórych ten ciąg myślowy – skoro

opuścił mnie Kościół, to opuścił mnie też Bóg – występuje naprawdę. Bywa zresztą wykorzystywany: ofiarom zdarzało się słyszeć, że jeśli ujawnią swoją krzywdę albo zwrócą się do Kościoła po zadośćuczynienie, Bóg je opuści. Słyszały też, że ujawniając swoją krzywdę, szkodzą Kościołowi.

Za najgorszy uważam komunikat: jeśli ujawnisz wykorzystywanie seksualne, nie będziesz zbawiony. Takie słowa pozbawiają nie tylko perspektywy dobra na tym świecie, ale również przekreślają perspektywę doświadczenia sprawiedliwości i ulgi w przyszłości. I to z powodu doznanej wcześniej krzywdy.

A opuszczenie przez wspólnotę?

Po takich wypowiedziach hierarchów może wyłonić się grupa wiernych, która uzna, że Kościół jest obiektem ataków, mówienie o wykorzystywaniu seksualnym nieletnich przez księży jest krzywdą dla Kościoła, a sprawcy są traktowani niesprawiedliwie. To kolejna krzywda dla ofiar: nie będą mogli liczyć na oparcie nie tylko w przedstawicielach Kościoła, ale też we wspólnocie.

Niemожność szukania wsparcia w grupie czyni ofiarę samotną i pogarsza jej sytuację. Widać to zwłaszcza wśród dzieci, które nie mogąc zwierzyć się rodzicom, opowiadają o krzywdzie koleżankom czy kolegom, ufając, że chociaż oni staną po ich stronie. Niezrozumienie i odmowa powodują, że poczucie skrzywdzenia rośnie.

Znamy przebieg całej konferencji, ale wybieramy te fragmenty, które są szczególnie bolesne dla ofiar. Abp Stanisław Gądecki, przewodniczący KEP, mówił, że pedofilia „to nie jest problem samego Kościoła, to jest problem całego świata. Bo jeżeli w Europie dotyczy on 18 mln wykorzystywanych dzieci, to znaczy, że to nie są wszystkie 18 milionów w Kościele”.

Rzeczywiście: pedofilia dotyczy każdej grupy społecznej. Kościoła też. Arcybiskup zaprezentował strategię minimalizowania problemu, zaprzeczania mu i przesuwania ciężaru problemu ze spraw głównych na peryferyjne. Student trzeciego roku psychologii już wie, że to strategia typowa dla osób, które stoją po stronie sprawców albo są sprawcami. Osoby bez profesjonalnego przygotowania reagują na takie wypowiedzi dwojako: albo się dziwią, jak można coś takiego mówić,

albo, niestety, przyłączają się do tej narracji, krzywdząc jeszcze bardziej ofiary.

Ważne, żeby ofiary czuły, że Kościół przede wszystkim ujmuje się za ich krzywdą i że jest przeciwny czemuś takiemu jak niszczenie seksualności człowieka. Bo krzywda seksualna dziecka jest niszczeniem jego seksualności.

Warto tu rozróżnić wykorzystanie seksualne dziecka od zjawiska pedofilii. Pedofilia dotyczy seksualności sprawcy i jego stanów, które mają charakter intrapsychiczny, wewnętrzny. A wykorzystanie seksualne dziecka oznacza pewien czyn, który miał miejsce między sprawcą a ofiarą. Kościół ma dwa problemy: z pedofilami, którzy faktycznie występują tu jak w każdej grupie społecznej, oraz z tym, co te osoby robią. Kościół powinien być zainteresowany ustaleniem, jaki procent pedofilów w Kościele rzeczywiście istnieje i kim są te osoby oraz w jaki sposób wewnętrzne stany tych osób, czyli ich seksualne podniecenie ujawniane w odpowiedzi na osobę dziecka, skutkuje negatywnymi zachowaniami.

„Trzeba towarzyszyć osobom pokrzywdzonym, trzeba ich słuchać, trzeba także zwrócić uwagę na wielkie niebezpieczeństwo, jakim jest świat cyfrowy, internet, który staje się także, zwłaszcza poprzez pornografię, narzędziem niszczenia godności człowieka, kobiety, mężczyzny, także dziecka” – mówił abp Marek Jędraszewski.

Taki sposób narracji pokazuje, że jeśli ofiara jest ofiarą, to kto wie, czy inne czynniki – w tym jej działanie – się do tego nie przyczyniły. Bo to może ofiara korzystała i z internetu, i z pornografii.

Tymczasem omawiając wykorzystanie dzieci dobrze jest przede wszystkim i w pierwszej kolejności przyjąć, że zjawisko wykorzystania jest obecne w Kościele,

zastanowić się, na czym polega jego specyfika i jak można je skutecznie wyeliminować. Takie stanowisko to sygnał dla ofiar, że ich dobro liczy się najbardziej. Czynnikiem oddzielnym jest wskazywanie, jak kontekst społeczny ułatwia wykorzystanie.

Abp Gądecki powiedział też, że „tworzy się programy seksualizacji dzieci w bardzo niskim wieku, i młodości, żeby jak najwięcej zarobić na środkach antykoncepcyjnych, żeby puścić szybko w ruch życie seksualne na tym poziomie, który jest jeszcze nieodpowiedni dla samego dziecka (...). Z jednej strony ogromny przemysł, który pompuje stronę seksualną, a z drugiej strony od razu pałką w głowę tych, którzy poddają się temu przestępstwu”.

W narracji hierarchów seksualizacja oznacza wychowanie seksualne, którego treści hierarchom się nie podobają. To błędne rozumienie tego, czym jest seksualizacja.

Z punktu widzenia profesjonalistów proces seksualizacji polega na wykorzystaniu seksualności człowieka w celach nieseksualnych, np. dla zysku. I rzeczywiście ten proces zaburza prawidłowy rozwój, a także podnosi ryzyko wykorzystania seksualnego. Więc to mogłaby być dobra uwaga, mówiąca o tym, że zjawiska szersze, takie jak seksualizacja, i zjawiska związane z pedofilią w Kościele należą do tej samej grupy zjawisk negatywnych w stosunku do seksualności człowieka.

Proces edukacji seksualnej dzieci nie jest jednak seksualizacją. I boję się, że intencją tej wypowiedzi było powiedzenie, że wychowanie seksualne dzieci i taki program, który wspiera rozwój seksualny dziecka, jest czynnikiem negatywnym. Że chodziło znów o odwrócenie uwagi od tego, co się stało w Kościele, przez wskazywanie, że przyczyny są poza nim. Tymczasem edukacja seksualna dzieci nie przyczynia się do wykorzystywania. Przeciwnie: jest to czynnik prewencyjny.

„Ta trudna sytuacja, która stała się także powodem spotkania rzymskiego, powoduje wielki ból u kapłanów, a jest ich zdecydowana większość, którzy ze względu na grzechy swoich współbraci muszą znosić upokorzenia, cierpienia, niekiedy wykluczanie” – mówił abp Marek Jędraszewski,

PROF. MARIA BEISERT (ur. 1951) jest psychologiem, seksuologiem, prawnikiem. Kieruje Zakładem Seksuologii Społecznej i Klinicznej w Instytucie Psychologii UAM w Poznaniu. Autorka wielu książek, m.in. „Seksualność w cyklu życia człowieka” (2004), „Pedofilia. Geneza i mechanizm zaburzenia” (2012).



TOMASZ KAMIŃSKI / AG

→ powołując się na watykańskie spotkanie z papieżem Franciszkiem dotyczące pedofilii. A rzecznik Episkopatu przeproszał Pana Boga i osoby pokrzywdzone, w tej kolejności.

Takie wypowiedzi są przejawem stanowiska, zgodnie z którym Kościół musi wszystkimi siłami bronić się i zaprzeczać zarzutom. Jego przedstawiciele, być może w sposób nieświadomy, koncentrują się na sytuacji sprawcy, skoro „sprawca należy do nas”. Jak mówiłam: to posunięcie, które szkodzi wszystkim, a przede wszystkim ofiarom. Proszę zresztą zwrócić uwagę: występujący na konferencji w cytowanej wypowiedzi koncentrują się na Bogu i na kapłanach, a przecież istota działań pomocowych to koncentracja na ofierze.

Gdy w środowisku szkolnym sprawcą jest nauczyciel, a w środowisku psychologów – psycholog, to jest oczywiste, że cała grupa zawodowa jest świadoma tego, że odium spada również na nią, bo przynależność do tej grupy zobowiązuje. Z tym zjawiskiem trzeba dać sobie radę, nie obciążając ofiar. Są specjalne strategie, które osobom przynależnym do tej samej grupy co sprawca pomagają rozwiązać własne problemy, pozostawiając w centrum uwagi osobę ofiary.

W miejscu, gdzie ofiary mogą szukać pomocy – na stronie internetowej jezuickiego Centrum Ochrony Dziecka – jest też zakładka „Strefa modlitwy”, a tam m.in. rozważania drogi krzyżowej. Można w nich znaleźć takie sformułowania: „Niech nasze kroczenie za Tobą stanie się dla nas źródłem skruchy z powodu naszych grzechów” albo: „Każdy nasz grzech rani Kościół, Twoje mistyczne Ciało, staje się źródłem zgorszenia”, a nawet: „Chcemy wyrzec się nie tylko samych grzechów, ale także przywiązania do nich i pożądliwości, z której one wypływają”.

Wplatanie dróg krzyżowych i modlitw, zwłaszcza napisanych w liczbie mnogiej, w kontekst czyjejś indywidualnej krzywdy może spowodować, że ofiary koncentrują się przede wszystkim na byciu grzesznikiem. A więc w pewnym sensie winnymi. Mówię o tym ogólnie, bo nie wiem, jaki jest udział pomysłu na drogę krzyżową w procesie zdrowienia ofiar. Profesjonaliści wiedzą jednak, że duża część pracy z ofiarą polega na zmierzeniu się z jej wielkim poczuciem winy, związa-

Pracy z ofiarami w Kościele
**powinni podjąć się
profesjonaliści,**
a nie ludzie
wyłącznie dobrej woli.

nym z udziałem w tym czynie – że to właśnie poczucie winy niewinnej osoby nie pozwala jej wyzdrowieć. A istotą działania sprawcy jest często takie manipulowanie poczuciem winy, by ofiara czuła się winna i odpowiedzialna za to, co się stało.

Chcę powiedzieć jedno: pracy z ofiarami powinni podjąć się profesjonaliści, a nie ludzie wyłącznie dobrej woli. Koniecznym rozwiązaniem jest zatrudnienie w tym celu osób z zewnątrz, odpowiednio wykształconych i przygotowanych do pracy z ofiarami. Niestety pomoc, którą oferuje Kościół, opiera się głównie na ludziach dobrej woli. Wiele z jego ostatnich działań jest efektem albo powierzchownej wiedzy profesjonalnej, albo jej braku czy też odwoływania się w planowaniu pomocy do wiedzy potocznej. A wiedza potoczna o wykorzystaniu seksualnym jest czasami wręcz sprzeczna z wiedzą profesjonalną i może rewiktyimizować ofiarę.

Bohaterka mojego reportażu o ofiarach pedofilii sprawdziła, jak działają powołani przez diecezje i zgromadzenia zakonne delegaci ds. ochrony dzieci i młodzieży, którzy mieli przyjmować zgłoszenia ofiar i służyć im pomocą. Do wielu nie było numerów telefonów. Zdarzało się, że odbierał ktoś inny albo że delegatem był rzecznik prasowy kurii.

To, o czym pani mówi, jest efektem posunięć formalnych i w gruncie rzeczy pustych, które mogą jeszcze bardziej krzywdzić ofiarę. Informacja o tym, że Kościół powołał delegatów, daje ofiarom nadzieję, że ktoś się nad ich sprawą pochyli. Ale już pierwszy etap kontaktu, czyli poszukiwanie delegata, jest przejawem lekceważenia. Jeśli ktoś siedzi przy telefonie zaufania, nie może podnieść słuchawki i powiedzieć: „Chwileczkę, ja tu tylko sprzątam i zaraz znajdę właściwą osobę”.

Wygląda na to, że Kościół został wprowadzony do zrobienia pewnych rze-

czy, ale nie ma w nim głębokiej identyfikacji z tymi działaniami.

Jeszcze jeden komunikat, który padł podczas tych rozmów: jeden z delegatów powiedział, że podczas kolejnego spotkania, które może się odbyć tylko na terenie kurii, będą obecni on i jeszcze ksiądz, który będzie notował jego przebieg. To zburzyło spokój ofiary.

Zrelacjonowany przez panią sposób działania jest typowy dla osób nieprzygotowanych do pracy z ofiarami. Po pierwsze, narzucanie warunków ofierze, mówienie, że to ona ma wypełniać czyjeś żądania, żeby uzyskać pomoc, oznacza ryzyko odtwarzania urazu, którego doznała. Po drugie, nie można narażać ofiary na to, by płeć oraz stan (bycie księdzem) osoby, która zbiera zeznania, były identyczne z płcią i stanem osoby, która ją wykorzystywała.

Nawet początkujący psycholog wie, na czym polegają procesy przeniesienia i przeciwprzeniesienia, niekoniecznie w terapii, ale także w kontakcie, który ma być kontaktem pomocowym. Po trzecie: ofierze powiedziano, że ktoś inny będzie uczestniczył w spotkaniu i że to będzie kolejny mężczyzna. Bez zapytania jej o zdanie. Proszę zwrócić uwagę: sama narracja, przed udzieleniem pomocy, składała się z błędów, które mają moc rewiktyimizacji.

Obserwowałam reakcję mojej bohaterki, gdy jeden z delegatów, do którego się dodzwoniła, spytał: „A co tam się dzieje?”, potem zaś przyznał, że to pierwszy telefon, która odbiera w tej sprawie.

Ofiara miała się dowiedzieć, że swoimi problemami robi Kościołowi kłopot, a po drugie, że jej problemy są niszowe. Jakby nie chodziło o udzielenie pomocy, tylko o zniechęcenie do jej poszukiwania. Gdyby tak zareagowała osoba pracująca w telefonie zaufania, zostałaby natychmiast zwolniona. Widać też z tego, że wysiłki, które czynią ofiary, by wyzdrowieć, są niewspółmiernie większe w stosunku do tego, jak działają osoby udzielające im pomocy.

Kościół stoi na rozdrożu. Jeśli zamiast skupiać się na uruchamianiu mechanizmów obronnych, zinternalizuje fakt, że zjawisko pedofilii i wykorzystywania seksualnego małoletnich naprawdę go dotyczy – da sobie radę. Pierwszym krokiem musi być uznanie, że problem istnieje.

©P Rozmawiała ANNA GOC

weźcie, czytajcie!

„Tygodnik Powszechny” dołączył do grona partnerów Karty Dużej Rodziny, preferencyjnego programu dla rodzin 3+. Posiadacze KDR mogą skorzystać z niższej ceny zakupu ekonomicznej prenumeraty krajowej – 300 złotych za rok.

Aby skorzystać z oferty, wystarczy w trakcie zamawiania prenumeraty podać numer swojej Karty:

- podczas zamówienia przez internet – w polu uwagi,
- przy przelewie tradycyjnym w tytule przelewu.

Więcej o programie na: rodzina.gov.pl

Szczegółowy regulamin prenumeraty na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



KARTA DUŻEJ RODZINY
rodzina.gov.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę powszech.net/prenumeruj, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	429 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



PAWEŁ

Śpiewak: *Dom, miejsce spotkania mędrców*



W SENTENCJACH OJCÓW, O KTÓRYCH PISAŁEM TU całkiem sporo, czytamy: „Niech dom twój będzie miejscem spotkania mędrców, niech będzie w nim kurz ich stóp, tam spragniony pij z ich mądrości”. Mój ulubiony myśliciel i komentator Tory, wielki mistyk z Litwy Chaim Woloży-

ner wysnuł z tej sentencji przekonanie, że czytanie i myślenie o Torze jest nieskończonym poszukiwaniem prawdy. Słowa z „Pirke Awot” („Sentencje Ojców”) interpretował w sposób paradoksalny. „Siedzieć w kurzu” zyskało dlań podwójne znaczenie. Po pierwsze, oznaczało siedzieć u ich stóp w pokorze i czerpać z ich mądrości. Po drugie, kurz pojawia się też w walce Jakuba z aniołem (ich walczące ciała wzniciły kurz). Pisał Wolożyner: uczeń, który bezkrytycznie przyjmuje słowa mistrza, nie jest wiele wart. Czasem zna swoją prawdę i musi wezwać mędrca do dyskusji. Powinien niczym praojców Jakub zmagać się z duszami, które wędrują po ziemi, i z tymi, które znalazły się w lepszym świecie. Uczniowi wolno więc się zmagać z nauczycielami, gdy jednocześnie zachowa pokorę i będzie siedział u stóp mędrców, w kurzu ich nóg.

Chaim Wolożyner, uczeń wielkiego Gaona z Wilna, autor przepięknej książki „Nefesz HaHaim” („Dusza życia”), wiedział, co pisze. Zawsze szukał prawdy. Polecam jego dzieło chrześcijanom i żydom. Lektura budzi radość porównywalną do tej, która budzi się, gdy widzimy po raz pierwszy światło w obrazach Rembrandta.

Jeden z przywódców Mizrachi, ruchu syjonistyczno-religijnego, pisał, że Bóg zaleca nam poszukiwanie prawdy, prawda zaś nie jest czymś gotowym, tylko czymś, co się staje i ujawnia swoje kontury w nieskończonym procesie badań. „Tora zostawia miejsce na wątpliwości i dyskusję, ponieważ Bóg chciał, by wszyscy szukali prawdy bez pewności, że ją znajdą. Tak jest, ponieważ Bóg kocha pragnienie i poszukiwanie prawdy bardziej niż jej poznanie”. Ważniejszy jest więc niekończący się wysiłek badania niż pewność. Ta bywa złudna, gorzej: zamyka nas na kolejne pytania i zdziwienia. Religia w ujęciu Wolożynera i podobnych mu myślicieli ma w sobie coś z filozofii (miłość prawdy), z poezji (ta powstaje zawsze z zadziwienia światem) i z Tory, otwartej księgi, której badania końca nie mają.

Tego rodzaju postawa poznawcza, ten rodzaj kultury dyskusji i sporów, nie może zaistnieć bez tolerancji. My znamy ją z dzieł liberałów, XVIII-wiecznych i późniejszych. Bardzo się nią szczycimy. Trudno nam bez niej funkcjonować. Ale tolerancja jako zasada jest – moim zdaniem – cechą podstawową judaizmu.

Nie znaczy to, że była zawsze mądrze respektowana. I że judaizmu nie dotknęły klęski sekciarstwa, przemocy religijnej, wzajemnych przekleństw. Wszak to najmądrzejszy z mądrych Gaon z Wilna chciał posłużyć się rosyjskim wojskiem do zwalczania rodzącego się chasydyzmu. Ten rodzaj tolerancji nie wynika ze słabej wiary, jak to czasem myślimy o doktrynie liberalnej. Przeciwnie: jest osadzony w mocnym przekonaniu, gdzie szukać prawdy i czym jest właściwa moralność. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Ułuda raju*



W EWANGELIACH ŁUKASZA I MARKA znajdujemy opowiadanie o jałowym figowcu, ale z całkiem różnym przesłaniem teologicznym i moralnym. U Marka (rozdz. 11) Jezus, nie znalazłszy na figowcu owoców, choć nie był to

czas owocowania, przeklina drzewo, a ono usycha. U Łukasza (rozdz. 13) przeciwnie, drzewo ratuje ogrodnik, który prosi właściciela, by pozostawił figowiec na jeszcze jeden rok. Może przy bardziej troskliwej opiece drzewo zacznie rodzić owoce. Komentatorzy mówią, że Łukasz przekształcił wersję Markową, gdyż w swojej Ewangelii kładzie nacisk na miłosierdzie i nawrócenie, a nie na bezwzględność Bożych żądań i konieczność bycia im posłusznym.

Łukasz nie wypowiada się co do przyszłych losów figowca, ale nie pozbawia też nadziei na jego pomyślną przyszłość. Jeśli jałowe drzewo zacznie wydawać owoce, ocaleje. Oczywiście Markowi i Łukaszowi nie chodzi o los konkretnej rośliny, ale o człowieka i Boga, o ich wzajemne odniesienie. Świadczy o tym Łukaszowe opowiadanie o tragedii, do jakiej doszło w Jerozolimie, gdy pod gruzami wieży zginęło 18 osób, i o wymordowaniu przez Piłata Galilejczyków składających ofiarę. Te wydarzenia postawiły świadków wobec pytania o sens wiary w Boga. Jak to możliwe, by Bóg dopuszczał, czy raczej zsyłał na ludzi takie nieszczęścia, i to w miejscach, gdzie nic strasznego nie powinno się wydarzyć, skoro są to miejsca święte?

Najprostsza odpowiedź: widocznie grzesznym życiem na to zasłużyli. Ale dlaczego takie nieszczęścia spadają na ludzi sprawiedliwych, czyli na nas? A dlaczego by nie miały spadać? Czy dlatego, że wierzymy w Boga? Jeśli tak, to uwaga: łąsi się do nas bożek pychy, który też potrafi mieć swoich męczenników! Iluż oddało życie za ułudę raju na ziemi?

W książce „Dzielenie się mądrością czasu” Franciszek pisze, że kiedyś chłopiec o imieniu Alessio Gullino zapytał go, czy kocha Jezusa. „Pamiętam to bardzo palące pytanie! To samo pytanie Jezus zadał Piotrowi. (...) Przebiegł mnie wtedy dreszcz”. Papież o odpowiedział: „Nie wiem, ale wiem, że Jezus mnie kocha – bardzo mnie kocha. Jakże śmiałybym powiedzieć, świadom moich ograniczonych zdolności, że kocham Jezusa? On sam wie, czy Go kocham”.

W tym miejscu trzeba do głosu dopuścić Wielki Post. Czy przypadkiem nie za wiele wymagamy od Boga, któremu przecież „nic, co ludzkie, nie było obce”, łącznie z haniebną śmiercią na krzyżu-szubienicy? Od Boga, który nikomu nie obiecał łatwego życia, przeciwnie, lojalnie ostrzegł, że trzymając się Go, łatwo stracić nie tylko dobre samopoczucie, ale i życie. Świadczą o tym szeregi męczenników wszystkich religii i światopoglądów. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Walcz o miłość

Gdybyś nawet upadł
niezliczoną ilość razy
i utracił łaskę,
to niezliczoną ilość razy
zrób to samo:
podnieś się z upadku.

JAN Z KARPATOS



Najwyższym dobrem
jest niepokonana
siła ducha, doświadczona
we wszystkim,
łagodna w czynach,
delikatna w obejściu
z innymi.

SENEKA



„JEŚLI PRZYNIESIESZ dar swój przed ołtarz i tam sobie przypominasz, że brat twój ma coś przeciw tobie, zostaw tam dar swój

przed ołtarzem, a najpierw idź i pojednaj się z bratem swoim. Potem przyjdź i dar swój ofiaruj” (zob. Mt 5, 20-26).

Mocna norma. Tym bardziej że radykalna. Owo „coś”, co mój brat może mieć przeciw mnie, nie musi być czymś wielkim. W ostatnim zdaniu rozważanej perykopy nazwane jest „groszem” (w oryginalnym tekście jest tu „kwadrans” – najmniejszy wówczas rzymski nominał).

Skąd ten radykalizm? Jak go zrozumieć? Jakie ma uzasadnienie?

Najważniejszym uzasadnieniem – jak myślę – jest to, że pada ona z ust Jezusa. Jezus sam to podkreśla na wstępie. Mówi: „A Ja wam powiadam”. A więc: „Tak. Nie ma tego w Torze. I nie znajdziecie tego wprost u proroków. Ale Ja wam to mówię. Ja tak nauczam”.

Mógłby jeszcze dodać (jak w przypadku każdej głoszonej przez siebie normy): „Ja sam pierwszy w ten sposób postępuję”.

Ewangelia nie pokazuje nam wprawdzie nigdy Jezusa składającego ofiarę w jerozolimskiej świątyni, ale pokazuje Go nam, gdy w najdoskonalszym kapłańskim czynie składa Ojcu w ofierze samego siebie. I zanim ją przekaże zapisanym przez Łukasza: „Ojczy, w ręce Twojej!”, wcześniej jedna się duchowo ze wszystkimi, nie wyłączając swoich katów, mo-

dląc się za nich: „Ojczy, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią” (Łk 23, 34 i 46). Pojednanie przed dopełnieniem ofiary.

W tym miejscu rodzi się zresztą i drugi argument. Co bowiem ostatecznie jest tym „darem”, który Jezus przynosi przed ołtarz?

Wszyscy wiemy: składa w ofierze nie „coś”, lecz samego siebie. Ta logika i dyscyplina dotyczy nas wszystkich, gdyż taka jest natura Chrystusowego kapłaństwa: tożsamość żertwy z kapłanem. Dlatego jako wzór kapłaństwa Jezus stawia ubogą wdowę. Ona też wrzuciła na ofiarę „kwadrans” (na który złożyły się dwa lepty). Jezus jednak nie patrzy na wartość pieniędzy. Widzi kompletnie inaczej: „wrzuciła [dosł.] całe swoje życie” (grec. *bios* – Mk 12, 44).

Dajemy Bogu życie. Dajemy Bogu siebie. Niesiony „dar” jest tylko tego znakiem.

Czy można przynieść i złożyć Bogu na ofiarę swoją wojnę z bratem? Niechęć? Nienawiść? Spór? Odmowę przebaczenia? Swoją pychę, która nie pozwala mi zgiąć karku i powiedzieć: „Przepraszam”?

To jasne, że o wiele łatwiej jest przynieść „coś” – nawet dużego. Może nawet tak dużego, by „zasłoniło” te wszystkie wymiary naszego życia, których nie godzi się położyć na ołtarzu...

Ofiara składana Bogu musi być cieniem miłości. A ta nie może istnieć w człowieku razem z nienawiścią. Jezus mówi: „Idź, zawalcz o miłość, a potem wróć i ją ofiaruj”.

©

CYTANIA LITURGICZNE (23 III – 1 IV)

3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 3, 1-8a. 13-15;

Ps 103; 1 Kor 10, 1-6. 10-12; Łk 13, 1-9;

Poniedziałek, Uroczystość Zwiastowania

Pańskiego: Iz 7, 10-14; Ps 40; Hbr 10, 4-10;

Łk 1, 26-38;

Wtorek: Dn 3, 25. 34-43; Ps 25; Mt 18, 21-35;

Środa: Pwt 4, 1. 5-9; Ps 147B; Mt 5, 17-19;

Czwartek: Jr 7, 23-28; Ps 95; Łk 11, 14-23;

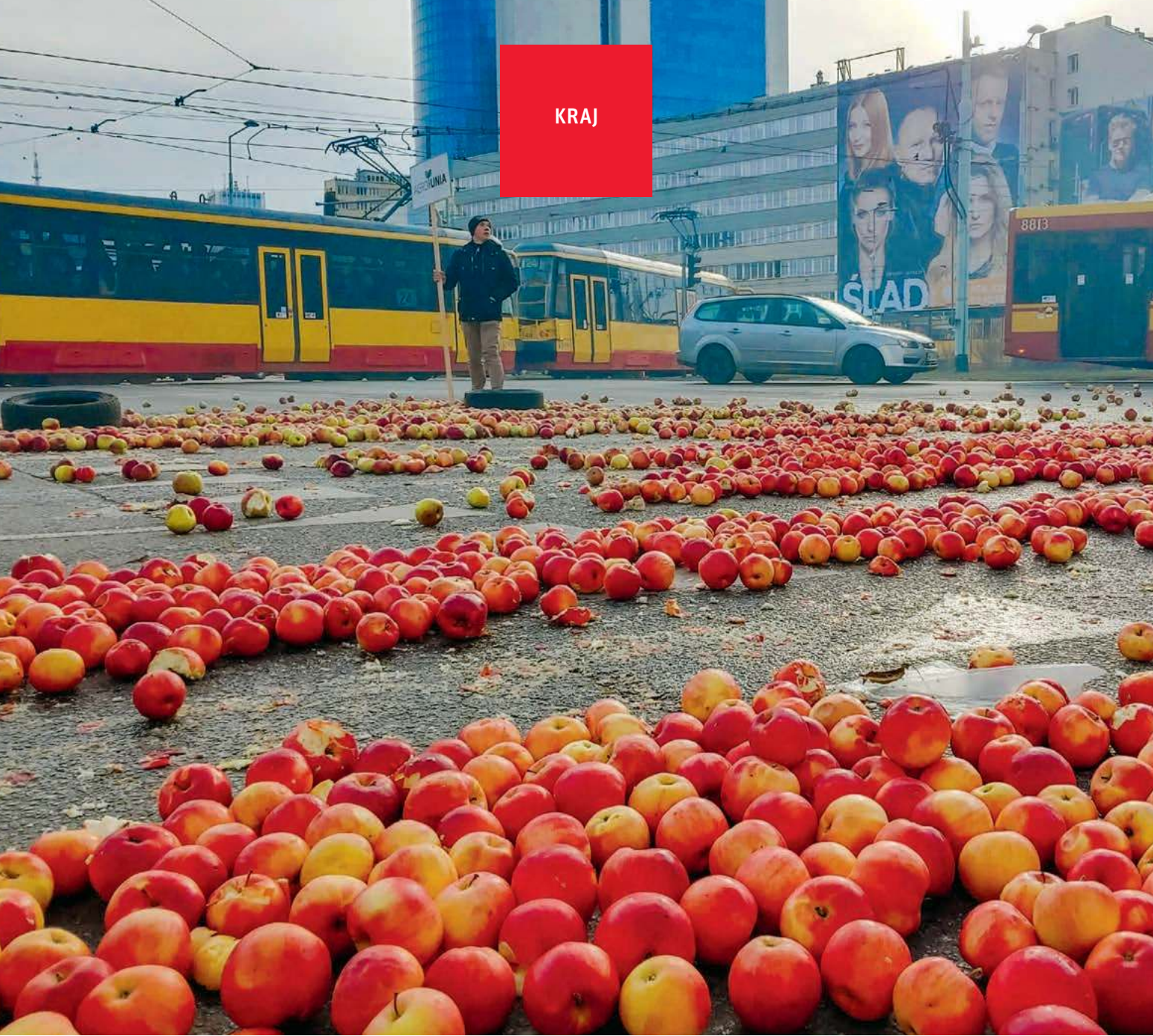
Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 81; Mk 12, 28b-34;

Sobota: Oz 6, 1-6; Ps 51; Łk 18, 9-14;

4. niedziela Wielkiego Postu: Joz 5, 9a. 10-12;

Ps 34; 2 Kor 5, 17-21; Łk 15, 1-3. 11-32.

Wybrał PIOTR SIKORA



KRAJ

NIECH ZAKWITNIE TYSIĄC CHWASTÓW

ŁUKASZ MOLL, FILOZOF I AKTYWISTA:

Życie w społeczeństwie polega na wyjściu z groźzonego osiedla tolerancji. Ci, którzy przez ostatnie 30 lat umacniali swoją finansową i symboliczną potęgę, powinni się teraz przesunąć.



Niezapowiedziany protest rolników z AGROunii na placu Zawiszy, Warszawa, 13 marca 2019 r.

zwykłym ludziom do głowy, jak mają żyć. Dotyczy to wielu kwestii: stosunku do zwierząt, do kobiet, do rodziny, rozrodczości, bogactwa. Co jest wartościowe, a co nie. Co jest w dobrym guście, a co jest szmirą. Trochę czasu mi zajęło, żeby dostrzec, do jakiego stopnia to zjawisko jest rozpowszechnione wśród tych, którzy mają się za szczerych demokratów i reprezentantów ludu. Ale żeby to zauważyć, sam musiałem przebrnąć przez drogę od ludu do tych, którzy aspirują do bycia jego reprezentantami.

Jak wyglądała ta droga?

Zainteresowałem się polityką przypadkowo, jako dzieciak. Jedni łapią fascynację piłkarzami, inni zbierają figurki. Jeszcze inni chłoną polityczny teatr.

Rozumiem. Miałem tak samo.

Moja droga jest jednak inna niż większość osób, z którymi miałem okazję działać i które zainteresowanie polityką – czy też, jak mówią, „etos” – wyniosły z domu, po rodzicach czy dziadkach opozycjonistach, publicystach, artystach. Na zakończenie roku szkolnego w podstawówce poprosiłem rodziców, żeby mnie uczesali na Cimoszewicza, który był wtedy premierem. Rodzina na niego głosowała, prawdopodobnie przez rodzaj sentymentu wobec Polski Ludowej, której czuli się beneficjentami. Później doszło do tego charakterystyczne dla wrażliwego nastolatka wolnomyślicielstwo. Dlaczego zwierzęta cierpią? Dlaczego moi bliscy muszą wykonywać zawody, których nienawidzą i ledwo starcza im do pierwszego, a inni rodzice mają super prace, w których się realizują i jeszcze im starcza na fajne wakacje? Tego typu pytania doprowadziły mnie do lewicowego światopoglądu. Zacząłem działać.

Na Śląsku?

Tak. Najpierw w klubie Krytyki Politycznej. Potem w Zielonych. To było ciekawe, a nawet fascynujące. Robiłem to z ludźmi, którzy – zazwyczaj – mieli bardziej kanoniczny gust i więcej kapitału kulturowego. Początkowo po prostu chciałem być taki jak oni: „oświecony”. Chłonałem te lektury, ten klimat. Tyle

że szybko zauważyłem, jak mnie to alienowało od świata, z którego przychodziłem. A przecież mieliśmy ten świat reprezentować, prawda? Wiedziałem, że to nie są rzeczy, o których mogę porozmawiać z mamą albo babcią.

To rozdarcie nie dawało mi spokoju. Z jednej strony stałem się na jakiś czas takim lewakiem, co to śmieje się z ludzi chodzących do kościoła i kibicujących Polsce w meczach piłkarskich, ryczących na cały głos Mazurka Dąbrowskiego. Oczywiście nie uważałem wtedy, że problem leży we mnie, tylko w „ludziach”: bo nie czytają książek, bo mają prawicowe sympatie. Myślałem, że to my musimy ludzi nauczyć myśleć bez alienacji – tyle że już nie „sowieckimi kolbami”, jak w słynnym cytacie z Krońskiego.

Walka klas w praktyce.

Z drugiej strony czułem rodzaj wstydu za takie nastawienie. Bunt przeciwko własnemu buntowi nuworysza, który zobaczył lepszy świat i chce wszystkich nawracać.

Niestety problem polega na tym, że to nie było i nie jest doświadczenie unikalne, które się przytrafiło Łukaszowi Mollowi na Śląsku na przełomie wieków. To szerzy problem, który bym nazwał syndromem ogrodnika.

Dlaczego ogrodnika? Bo chce mieć porządek w ogródku?

Chce mieć wszystkie grządki ładnie wypielone, a klomby przystrzyżone. Historycznie to była postawa charakterystyczna dla rosnącego w siłę przez cały XIX i XX wiek liberalno-konserwatywnego mieszczaństwa. Wbrew pozorom oświecenie postępowało ręką w rękę z biologicznym rasizmem, patriarchatem, klasizmem i innymi dyskursami ustanawiającymi hierarchie. Ten stan gwarantował jednostkowe bezpieczeństwo i poczucie autonomii oraz utrzymanie dominującej pozycji przez mieszczaństwo i inteligencję elity. Pozostali – zwani kiedyś klasą robotniczą, a dziś coraz częściej klasą ludową – mają do wyboru przystosować się i zająć przeznaczoną dla nich pozycję albo dokonać wrogiej inwazji chwastów. Bo jednostkowy awans z ludu do mieszczaństwa to trudna sprawa. Odbywa się za cenę porzucenia tego, kim się było wcześniej.

Zwykle to proces długofalowy i często niszczący relacje

RAFAŁ WOŚ: Demokracja to znaczy władza ludu. Prawda czy fałsz?
ŁUKASZ MOLL: W teorii prawda.

A w praktyce same kłopoty. Z jednej strony demokrację celebруем i się o nią martwimy. Z drugiej każda próba odwołania do „woli ludu” przynosi emocje i oskarżenia o populizm. Często podnoszą je ludzie, którzy uważają się za szczerych demokratów.

To jest oświeceniowa pułapka, w którą się złapały polskie elity polityczne i intelektualne. Polega ona na przekonaniu, że to elity są odpowiedzialne za to, by wbić

BOLESŁAW BRECKO / FORUM

→ **międzypokoleniowe. Dziadkowie na wsi, rodzice w miasteczku, dzieci w Warszawie, mieszkanka wzajemnego żalu, wstydu, zawiedzionych oczekiwań...**

To wszystko pod warunkiem, że się „uda”. To znaczy, że pretendent z klasy ludowej przejdzie przez egzaminacyjne sito i zostanie dopuszczony do mieszczaństwa. Tylko że wielu przedstawicieli klasy ludowej nie chce w to grać. Trudno im się dziwić. Czują się oceniani, że ciągle są nie tacy, jak trzeba. Brakuje im zakorzenienia w pewnych praktykach wyniesionych z domu. Pierwsze selekcyjne sito to szkoła. Tam po raz pierwszy możesz poczuć, że jesteś głupi, bo masz się ścigać z rówieśnikami, którzy już na starcie są do przodu i biegną trasą, którą znają, a ty nie.

Uliczni raperzy mają na to jedną odzywkę: „Jest, jak jest”.

Kłopot polega na tym, że ogrodnik nie pozwala „chwastom” tak po prostu istnieć: chce je otoczyć kordonem sanitarnym, żeby się nie rozpleniły na piękny ogródek. I to już nie jest opowieść o relacjach mieszczaństwo–klasa robotnicza w XIX i XX wieku, o tyle wyjątkowych, że klasa robotnicza w tym starciu dysponowała pewną zbiorową tożsamością, instytucjami, oddolną kulturą. We współczesnej Polsce stajesz do tego starcia bez tej zbiorowej podpórki. I zderzasz się z grodzonymi osiedlami tolerancji.

Te osiedla to dosłownie czy w przenośni?

W Polsce buduje się dużo grodzonych osiedli. Czyli miejsc, w których można znaleźć komfort i autonomię wobec tego wszystkiego, co inne i niechciane.

Teraz buduje się ich trochę mniej.

Ale ważniejsze są bariery mentalne. Jesteśmy tolerancyjni i otwarci, dopóki po drugiej stronie jest osoba z podobnej do nas klasy społecznej. Jej skóra może być dowolnego koloru, może wyznawać dowolną religię i kochać, kogo tylko chce. Co najwyżej wzbudzi zaciekawienie. Jedynym obcym, który naprawdę niepokoi polską klasę średnią, jest człowiek z ludu, który wlaźł na ich teren i chce się szarogęścić.

Jakieś przykłady?

Całkiem świeży: rolnicy, którzy przyjeżdżają do Warszawy protestować prze-

ŁUKASZ MOLL:

Jesteśmy tolerancyjni, dopóki po drugiej stronie są osoby podobne do nas.

Jedynym obcym, który naprawdę niepokoi klasę średnią, jest człowiek z ludu, który wlaźł na jej teren i chce się szarogęścić.

ciwko odcięciu od rynku i wysypują jabłka na ulice, żeby pokazać symbolicznie, ile żywności się u nich marnuje, ile strat notują. Co słyszą? Że są warchołami. To samo było nie tylko z protestami górników, kibiców, ale nawet z beneficjentami 500 plus, którzy psują wygodny urlop nad morzem, bo rzekomo wypróżniają się na wydmy.

Lewica sobie z tym jakoś radzi?

Nie bardzo. Pamiętam, jak pan próbował jej podpowiedzieć, że powinna budować coś opierając się na wspólnotach ludzi wierzących, zamiast ciągle tylko mówić o „świeckim państwie”. Zwłaszcza że z papieżem Franciszkiem naprawdę zdaje się to możliwe.

Jest ogólniejsza kwestia: prawicowe sympatie deklarowane przez sporą część klasy ludowej w Polsce nie wypływają wcale z jej trzewi, tylko są uwarunkowane bieżącą rozgrywką polityczną i ogromnym klasizmem, który się ze strony elit cały czas sączy. Za każdym razem takie propozycje trafiają wśród liberalnych, a nawet lewicowych czytelników na opór.

Skąd on się bierze?

Może chwasty są ogrodnikowi potrzebne? Może musi przy ich pomocy udowadniać swoją niezbędność? Przypomnijmy sobie gniew, jaki wybuchał za każdym razem, gdy pretensje do realnego wpływu na losy wspólnoty zgłaszali chłop Andrzej Lepper czy elektryk Lech Wałęsa. Jakby byli nie na swoim miejscu.

Historię polskiej transformacji, która także została zbudowana na postępującej prywatyzacji, można by przepisać od

tej strony – ciągle powraca motłoch, który kwestionuje jedynie słuszne wybory elit.

Ten Moll to kliniczny przykład chłopomanii.

Ostatnio w mediach społecznościowych pojawił się argument, że ludziom takim jak ja chodzi tylko o „zrobienie kupy w salonie inteligenckiej ciotki Halinki”. Czyli o prowokowanie poprzez ostentacyjne obnoszenie się ze swoją ludowością. Odmrożenie sobie uszu na złość Adamowi Michnikowi i dawnym buntownikom, którzy teraz w wyborcach widzą bezwolną masę, kupioną przez Kaczyńskiego za 500 plus.

I nie ma w tym odrobiny prowokacji?

Nie mogę mówić za innych, ale ja na prawdę nie mam cioci z salonem.

W środowiskach lewicowych, w których Pan działał, tego nie było?

Było, bo tam sporo ludzi strasznie się przejmuje, jak się ich postrzega. Co się zresztą dla Partii Razem niedobrze skończyło. Ta partia – jak każda inna – czasem zamawiała badania elektoratu. Ze wszystkich wychodziło, że na Razem głosują ludzie ze wszech miar uprzywilejowani: z dobrym wykształceniem, pieniędzmi, kapitałem kulturowym i pochodzeniem.

To źle?

W przypadku partii lewicowej fatalnie. Bo oznacza, że partia ze swoim przekazem trafia tylko do samej siebie. I to pomimo całej retoryki, którą próbowała tknąć.

Moim zdaniem Razem zgubiły skrupuły przed radykalizmem. Niby demonstrowały osobno, ale jednak z tym samym, co obóz III RP przekazem, że „Kaczyński to dyktator, który chce zlikwidować wolne sądy”. Niby byliśmy lewicowi, ale oczywiście dopisując do tego bezpieczny inteligencki antykomunizm i „odcięcie się od dorobku PRL”. Niby zbuntowani wobec rzeczywistości, ale jednak nie do końca, żeby nie było w złym guście i żeby nas w TOK FM nie obśmiali. To było robienie partii pod oczekiwania publicystów z Warszawy, nielubiących rządu PiS, który naruszył wiele ich żywotnych interesów. Dla wyborców innych niż warszawska elita okazało się to nieczytelne.

Jak można się zmierzyć z takim problemem?

Owładnięty misją izolowania chwastów ogrodnik musi trochę odpuścić. A jego

mocodawcy powinni zrozumieć, że życie w społeczeństwie polega na konieczności wyjścia z groźzonego osiedla tolerancji. Klasa ludowa musi mieć na nie wstęp. Ale nie dopiero po przejściu kwarantanny i szczegółowym egzaminie wstępnym. Elity przez ostatnie 30 lat rozbudowywały i umacniały swoją finansową i symboliczną potęgę. Czas się przesunąć.

Próbuję sobie wyobrazić, jaki byłby zarzut przerażonych takim sposobem myślenia. Mamy schlebiać ludowym gustom? Zachwycać się disco polo? Tuczyć dzieci słodzonymi napojami?

Ważne jest to „my”. W każdej organizacji, w której byłem, widziałem jego abstraktyzację. To „my” właśnie jesteśmy tymi zbawcami, którzy wiedzą, jak powinno być. A może trzeba zrobić odwrotnie? Może trzeba zacząć każde polityczne działanie od założenia, że nie jestem niezbędny? Może moje wyższe wykształcenie, doktorat i trzy języki to w polityce nie tylko atut, ale też problem?

Antyinteligentne rojenia.

Każdy, kto wysuwa taki zarzut, pokazuje, że umie patrzeć na świat tylko z jednej perspektywy: inteligenta. Tymczasem w dobrej demokratycznej organizacji powinno być miejsce dla różnych punktów widzenia. Może nieodzowne byłyby klasowe parytety?

Włóknienka w KC PZPR.

Jasne, że dziś z takich rozwiązań się w Polsce szydzi. Ale czy słusznie? Nie śmiejemy się przecież z parytetów dla kobiet albo różnych prób włączania osób niepełnosprawnych. Dlaczego z takim uporem wciąż odmawia się uznania faktu, że różnice klasowe istnieją? I stanowią sposób na faktyczną dyskryminację jednych obywateli przez drugich. To jest realny problem. Tu i teraz. Oczywiście „gorsze” łatwiej go nie dostrzegać, bo to nie ona zdejmuje się z wykluczeniem.

Nadal nie wiemy, jak z tego wybrnąć.

Już mówiłem. Przesunąć się. To oczywiście będzie dla inteligencji i dla klasy średniej trudne doświadczenie. Otwarcie na innego zawsze jest trudne. Mówię tutaj o innym, który nie serwuje nam swoich egzotycznych potraw i nie sprzedaje nam mądrości Wschodu – nie istnieje po to, by nam usługiwać i wzbogacać nasze doznania. O innym, który może – albo



ARCHIWUM PRYWATNE

ŁUKASZ MOLL jest doktorem filozofii współpracującym z Instytutem Filozofii i Socjologii PAN (współprowadzi seminarium „Filozofia polityczna motłochu. W poszukiwaniu plebejskich dóbr wspólnych”). Redaktor czasopisma naukowego „Praktyka Teoretyczna”. W przeszłości działał w Partii Zielonych i w Partii Razem, z tej ostatniej odszedł w proteście wobec koniunkturalnego antykomunizmu. Mieszka na Górnym Śląsku. Pracuje w bibliotece.

i musi – być dla nas do pewnego stopnia przykry.

Klasa średnia domaga się takiego otwarcia od klasy ludowej, napominając ją za stosunek do migranta, innowiercy, odmiennego rasowo.

Niech więc klasa średnia i inteligencja choć raz zastosują swoje świetne rady do samych siebie. Niech zobaczą, jak to jest wyjść ze strefy komfortu i podzielić się władzą. Takich gestów oczekiwałbym zwłaszcza od tych, którzy odwołują się wprost do ideałów lewicowych. Niech wreszcie lewica w Polsce przestanie być następcą szlachty w jej misji dyscyplinowania motłochu, tylko niech się autentycznie zacieka tymi, których chce reprezentować. A jeszcze lepiej niech przestanie chcieć ich zmieniać już na wejściu, prowadzić ten cały casting na wyborcę pod z góry założony model.

A jeśli lud już wejdzie i naprawdę złapie za gardło takich jak Pan?

Nie bagatelizuję tych zagrożeń. Nie bagatelizuję przemocy fizycznej ani słownej, którą wielu kojarzy z motłochem lub może nawet miało takie doświadczenia. Ale ten resentyment bierze się właśnie z istnienia barier klasowych, których nie próbujemy przepracowywać, bo często ich nawet nie zauważamy. Z doświadczenia aktywisty wiem, że dysonans będzie raczej taki: na spotkaniu partii lewicowej pojawia się ktoś, kogo pociągają nasze postulaty równości ekonomicznej i walki z wyzyskiem, ale nie jest zwolennikiem związków jedнопłciowych. A na dodatek nie uważa, że obecną ustawę antyaborcyjną należy liberalizować. Takich przypadków jest bez liku.

A może nie ma sensu się nad tym głowić, bo PiS już tę lekcję odrobił? Może to on reprezentuje dziś realne interesy klasy ludowej i w dodatku nie chce jej zmieniać na swój obraz i podobieństwo?

Nie wydaje mi się, by karty zostały rozdane raz na zawsze. Moje odczytanie sytuacji politycznej jest zresztą inne. To fakt, że PiS w 2015 r. zagrał ludową kartę. Prawica byłaby kiepskim graczem, gdyby tego nie zrobiła: tylko ślepiec mógł nie widzieć, że w Polsce późnej Platformy doszło do ludowego buntu. Młodzież uwikłana w śmieciówki, nauczyciele, związkowcy ze wszystkich central, pielęgniarki, kibice, krytycy reperywatywacji, frankowicze, nawet liberałowie oburzeni „kradzieżą naszych pieniędzy z OFE” – łatwiej wymienić grupę, która nie miała dość Donalda Tuska i jego następców.

PiS wciąż jest reprezentantem ludu?

Obecną sytuację można by nazwać walką klas, ale postawioną na głowie. W latach 2016-18 były wielkie protesty opozycji, w których ostentacyjnie brakowało postulatów socjalnych. A jeśli już ze strony PO czy Nowoczesnej płynęły sygnały w kierunku ludu, były to raczej zarzuty, że się Kaczyńskiemu sprzedał. Im słabsza była oferta socjalna opozycji i im więcej siała klasistowskiej pogardy, tym chętniej Kaczyński sięgał po retorykę przyjaciela ludu. Mówił: „popatrzcie, jak wami gardzą, popatrzcie, jak wam żalują”.

Testem będzie czas wahnięcia koniunktury. To przetestuje ludowość PiS-u i umiejętność utrzymania socjalnych zdobyczy.

© P Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

Bagietmistrz w sieci

RAFAŁ ZYCHAŁ

Do gwiazd YouTube'a mu daleko, ale czy ktokolwiek z nich kręci filmy o pracy w policji?



SIEMANO MORDECZKI, SIERŻANT BAGIETA z tej strony” – po tym krótkim powitaniu rusza monolog. Młody człowiek dość swobodnym językiem opowiada z dystansem o swojej służbie. Wszystko to nie pasuje do utrwalonego wizerunku policjanta. Może to właśnie jest główne źródło jego sukcesu? Bo sukces niewątpliwie odnosi. Po pół roku istnienia jego kanał przekroczył magiczną liczbę 100 tys. subskrypcji. Wystarczyło do tego nieco ponad 30 filmów. To pierwsza oznaka uznania widzów w tym miejscu. Codziennie przybywa ich kolejna setka. Choć podobne kanały zaczęły już powstawać, to w polskim internecie konkurencji w zasadzie nie ma. Na pewno nie jest nim oficjalny kanał policji – tam wieje nudą i śledzi go

niecałe siedem tysięcy osób. Do milionowych wyników najlepszych youtuberów jeszcze daleko, ale jak na tak niszową tematykę wynik robi wrażenie.

A kto w ogóle skrywa się pod tym pseudonimem? Właściciel kanału dba o to, by za dużo o sobie nie ujawnić. „Policjant w dużym polskim mieście, wielbiciel dank memesów [absurdalnych żartów internetowych – red.], śmiesznych kotów z jutuba” – pisze. I tyle. Metodami operacyjnymi udało się ustalić nieco więcej: ma 26 lat, w policji pracuje od ponad trzech, służy obecnie w ogniwie patrolowo-interwencyjnym gdzieś w województwie śląskim. Rzeczywiście w stopniu sierżanta.

Niebieski internet

Policja, zwłaszcza wśród młodych, jest raczej wdzięcznym tematem do żartów, memów czy komentarzy w stylu „Halo, policja? Proszę przyjechać na Facebooka”. Bo na większości jej stron dominują poważne, wręcz kostyczne treści w stylu: funkcjonariusz udał się na miejsce i dokonał czynności – jakby wprost przepisane ze służbowych notatników.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że wyjątki się zdarzają – choćby profil tej formacji na Facebooku, gdzie pojawiają się lżejsze

treści, a nawet memy. Na przykład: „Chcesz sprawdzić, czy Twoja metamfetamina lub inny narkotyk nie zawiera szkodliwego glutenu? Przyjdź na dowolny posterunek, aby ją bezpłatnie zbadać. Nie zapomnij przynieść informacji o dostawcy, który oszukał”. Oczywiście, całość okraszona kilkoma uśmieszkami.

– Słyszymy, że powinniśmy być bliżej społeczeństwa – podkreśla insp. Mariusz Ciarka, rzecznik prasowy komendy głównej policji. – To otwarcie się na ludzi, aby mogli obserwować nasze działania. Pamiętajmy, że takie portale rządzą się swoimi prawami, a odbiorcy to ludzie w różnym wieku, do których trzeba dostosować formę przekazu. Dlatego wpisy na Facebooku są nieco luźniejsze. Na co dzień spotykamy się z dużą życzliwością. Facebook policji ma też najwięcej polubień spośród wszystkich instytucji publicznych – uważa.

Kryminalna Polska

Z tego, jak żywe jest zainteresowanie tematyką pracy policyjnej, doskonale zdawała sobie sprawę władza w czasach PRL i starała się to wykorzystać dla swoich celów. Przy pomocy „Kapitana Żbika”, powieści milicyjnych czy filmów o dzielnych funkcjonariuszach MO próbowano budować pozytywny obraz milicjanta. Raczej z mizernym skutkiem – społeczeństwo kojarzyło milicjantów bardziej z postaciami z filmów Barei niż z dzielnym porucznikiem Borewiczem.

III RP to już „Psy”, komisarz Halski czy mniej posagowy Despero z „Pitbulla”. Ale to wciąż były postacie fikcyjne. Telewizje próbowały pokazywać „prawdziwe” życie policjantów, ale raczej z miernym skutkiem. A już paradokumenty lepiej zosta-

TP

Kluby „TP” zapraszają

GRUDZIĄDZ

■ środa, 27 marca, godz. 17.30
„Doświadczenie innego – spotkanie w ramach Dni Tischnerowskich”.

Miejsce: Niepubliczna SP nr 1, ul. Chełmińska 121.

LIPSK

■ czwartek, 21 marca, godz. 16.30
Spotkanie połączone ze zwiedzaniem muzeum Bacha.
Miejsce: Muzeum Jana Sebastiana Bacha (Thomaskirchhof 15/16).

POZNAŃ

■ 23-26 marca
10-lecie Klubu. Więcej o wydarzeniu na: www.klubtygodnika.pl

SŁUPSK

■ czwartek, 28 marca, godz. 16.45
Spotkanie „Ikona – napisany dogmat”. Gośćmi będą Anna Sujecka i ks. Mariusz Synak.

Miejsce: Biblioteka Miejska (ul. Grodzka 3).

ZIELONA GÓRA

■ czwartek, 28 marca, godz. 18.00
Spotkanie „Państwo prawa. Rozważania o harmonii i sprawiedliwości”. Gościem będzie prof. Fryderyk Zoll.
Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

co dzień? POLICYJNE EDC



Co policjant Bagieta nosi na co dzień – kadr z vloga.

a jeśli już, to te rozmowy mają pozytywny wydźwięk – wyjaśnia.

Jak do tej pory, nie zdarzyła się na służbie sytuacja, by ktoś go rozpoznał. Ale czy to by coś zmieniło? I jak by zareagował, gdyby po drugiej stronie znalazł się widz? – Na służbie nie mogę sobie pozwolić na to, żeby nie być profesjonalnym. Nie ma więc znaczenia, kto jest po drugiej stronie. To, że czasami jestem wyluzowany na filmach, to nie znaczy, że będę stosował taryfę ulgową – zaznacza.

Tylko ulica jest ciekawa

– Owszem, zwykle staram się podchodzić do ludzi z pewnym luzem, bo uważam, że często rozmową więcej się załatwi niż przemocą, której też czasami muszę używać. W jednym z filmów mówię wprost: czasem lepiej kogoś pouczyć, niż wlepić mandat. Walczę i będę walczył o świadomość społeczeństwa. Chciałbym, żeby ludzie zdawali sobie sprawę, że za każde wykroczenie można pouczyć, ostrzec lub zwrócić uwagę. Nie trzeba od razu sięgać po biczek – tłumaczy. I zaznacza, że w jego jednostce nigdy to nie było problemem. Plany na przyszłość? Na razie poniekąd pracuje za innych – bo im więcej będzie takich funkcjonariuszy, tym policji będzie łatwiej działać. Jemu zostaje satysfakcja, bo zarabiać na filmach i tak nie może. Czy jeśli dostałby zgodę, to chciałby zabrać kamerę na służbę? – Mogłoby to być ciekawe, ale na zasadzie jednego odcinka, zlepkę z kilku interwencji, coś na wzór amerykańskiego „Cops”. Nie każdy dzień jest ciekawy. Czasem w ciągu tygodnia dzieją się rzeczy, w które trudno uwierzyć, a potem przez trzy miesiące nie dzieje się nic – przyznaje.

Choć blisko trzy czwarte Polaków dobrze ocenia pracę policjantów, to formacja ta wciąż boryka się z brakami kadrowymi. Czy szefostwo policji, idąc tropem tych lżejszych treści na Facebooku, nie chciało skorzystać z popularności sierżanta i umiejętności dotarcia do młodych? Choćby po to, by wykorzystać je do promowania całej formacji. Taka propozycja dotąd nie padła. I choć naczelný vloger policji zawsze chętnie rozmawia o pracy, to jednak nie widziałby siebie w tej roli na pełny etat. – Jeśli zostałbym zdjęty z ulicy, to o czym miałbym opowiadać? – pyta. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl.

wić zupełnie z boku. Nie są to też produkcje, które pasują do dzisiejszej, mocno internetowej rzeczywistości. Ta wymaga jednak innego podejścia.

– Wrzucam sobie jeden filmik tygodniowo, bez presji, z czystej satysfakcji. Wiedziałem, że takie vlogowanie sprawdziło się za granicą, ale takiego odbioru u nas to się nie spodziewałem – nie kryje zaskoczenia sierżant Bagieta. – Jestem pod wrażeniem, że aż tyle osób mnie ogląda. Jak widać, zażarło – dodaje. Kanał YT to jego własny pomysł, nie działa na polecenie przełożonych. Po prostu chciał opowiedzieć o codziennej służbie.

Jak nie płacić mandatów

Najciekawsze jest jednak to, że forma tych produkcji jest banalnie prosta. Na ekranie zwykle widzimy tylko ręce na kierownicy. I tak nawet przez 20 minut. Mało tu spektakularnych, filmowych przygód. Jest za to policyjna proza życia opowiedziana na luzie. Podstawą do kolejnych nagrań stają się często komentarze widzów. Pytają oni o rzeczy, które wielu zawsze chciało wiedzieć, tylko nie bardzo było kogo zapytać. Otwartość na widza to kolejny atut.

Bagieta często porusza tematy może i banalne. Czy policjant może palić na służbie? Co z tatuażami? I czy może uderzyć osobę w kajdankach? Ale nie jest tak, że filmy to jedno wielkie śmieszkanie, są i poważniejsze tematy: choćby zarobki w policji czy pierwsze spotkanie ze śmier-

cią na służbie. Jest też trochę o specyficznym slangu, bo to z niego wzięła się właśnie nazwa kanału: „bagieta” czy „bagietmistrz” to po prostu policjant. „Policjanci go nienawidzą! Odkrył jeden prosty trik, jak uniknąć mandatu!” – taki tytuł zachęca do obejrzenia kolejnego z filmów. Co to za trik? Najlepiej zobaczyć samemu.

Tylko czy zyskujący popularność kanał pomaga, czy raczej przeszkadza mu w pracy? – W mojej jednostce chyba wszyscy wiedzą, kto robi te filmy – tłumaczy. I dodaje, że rozpoznają go też inni policjanci... po głosie. – Niedawno podczas szczytu klimatycznego mieliśmy mieszane patrole z młodymi chłopakami z Gdańska czy Szczecina. Jeden z nich rozpoznał mnie właśnie po głosie i zapytał wprost: „To ty jesteś sierżant Bagieta?” – opowiada.

A co z przełożonymi?

– Nie mają z tym problemu. Dbam o to, by nie ujawniać informacji niejawnych czy takich, które dotyczą szczegółów pracy operacyjnej, danych personalnych lub innych rzeczy, które mogłyby zdradzić, gdzie np. była dana interwencja czy kogo dotyczyła – zaznacza. I nie zdarzyło się, by ktoś z kolegów podszedł i zapytał wprost: „Co ty robisz?”. – To było chyba największe zaskoczenie, bo nie spotkałem się z policjantem, który by tak twierdził. Nikt nie podszedł i nie powiedział mi: „Stary, co ty tam świrujesz? Przecież nie tak policjant powinien działać”. Moi przełożeni natomiast raczej nie rozmawiają ze mną na temat kanału,

Kręcą mnie dźwięki

MAREK RABIJ

300 metrów od marketu budowlanego, w szeregowcu z lat 60. Jaromir Waszczyszyn pracuje nad przełomem w muzyce hi-fi. Rewolucja na razie pożarła porządek w jednym pokoju.

PROSZĘ DO MNIE ZADZWONIĆ, KIEDY PAN będzie na miejscu. Jak każdy szanujący się elektronik, mam od dawna zepsuty dzwonek przy bramce – doradził przez telefon.

Dzwonek rzeczywiście nie działał. Ale był to jedyny dźwięk, który tego dnia nie wybrzmiał dostatecznie soczyście.

Układanie zwojów

W pokoju, w którym Jaromir Waszczyszyn przyjmuje gości („interesantów, proszę pana, to ma Zakład Ubezpieczeń Społecznych”), małe lampki wyłuskują z półmroku jedynie to, na czym ma się skupić uwaga gościa. Jedna oświetla gitary ze zbiorów gospodarza i fragmenty starych instrumentów porozwieszane na gobelinach. Drugą skierowano na zestaw audio umieszczony naprzeciwko sofy: odtwarzacz płyt kompaktowych i dwie niewielkie kolumny w aluminiowych obudowach wyglądające na pierwszy rzut oka jak tanie głośniki do komputera. W głębi pokoju, przy ścianie, stoją ukryte w półmroku dwie inne kolumny w majestatycznych obudowach ze szlachetnego drewna, każda mniej więcej wielkości lodówki.

– 20 tysięcy złotych sztuka – macha ręką Waszczyszyn zapytany o cenę. – Wcale nie najdroższe w mojej ofercie. Ale nie o nich chciałbym panu opowiedzieć. Nie lubię mówić o sprzęcie, chociaż go produkuję, bo sprzęt to jedynie narzędzie do osiągnięcia celu. Celem jest dźwięk i o nim porozmawiamy. Mnie kręcą dźwięki.

Niepozorny szeregowiec na krakowskiej Olszy, tuż przy płocie szkolnego boiska, to jeden z ważniejszych adresów na audiofilskiej mapie Polski. Dla ludzi, którzy szukają wzorca doskonałego brzmienia, wzmacniacze, odtwarzacze i kolumny głośnikowe sygnowane przez Jaromira Waszczyszyna stanowią często obiekt marzeń. Gdy mowa o marzeniach, nie sposób nie-

stety nie wspomnieć ponownie o ich cenie. Konstruktor najchętniej sprowadziłby ten wątek do konstatacji, że cennik jego produktów odzwierciedla nakład pracy i użytych materiałów, choć nie bez satysfakcji dodaje, że spod jego ręki wychodziły już do klientów zestawy audio o nakładzie pracy wycenionym na ponad milion złotych. – Transformatory zwijam ręcznie ze srebrnego drutu odpowiedniej klasy czystości produkowanego specjalnie dla mnie przez laboratorium na Śląsku. Ze dwa miesiące trwa takie układanie zwojów, ale tylko w ten sposób mogę uzyskać podzespoły o parametrach do zaakceptowania. Ale naprawdę, dość już o technologii, posłuchajmy muzyki – powtarza.

W odtwarzaczu, którego obudowę wycięto z jednego bloku granitu, ładuje płyta CD. Pokój wypełniają nagle krystalicznie czyste dźwięki koncertu wiolonczelowego z doskonale oddaną głębią, która daje wręcz namacalne wrażenie rozmieszczenia poszczególnych instrumentów na scenie.

Po chwili Waszczyszyn niespodziewanie wyłącza jednak muzykę. – A teraz – zarządza – podłączymy do tych głośników pański telefon. Ma pan tam jakąś muzykę lub aplikację Spotify?

Fala za falą

Rewolucja zaczęła się na niemieckiej autostradzie.

– Znamy spytał mnie kiedyś: a właściwie to dlaczego głośniczki do komputera nie mogą ładnie grać? Najpierw się zaśmiałem – opowiada konstruktor – ale zaraz potem pomyślałem: „cholera, a właściwie to dlaczego”. Wracalem akurat od przyjaciół z Niemiec. Pogoda pod psem, sypało śniegiem, autostrady puste, bo Niemcy w taką pogodę nie jeżdżą, jak nie muszą. Miałem więc przed sobą tysiąc kilometrów i wolną drogę. I wtedy wymyśliłem cyfrowy procesor głośnikowy.



JACEK TARAN

Zamiast wyjaśnienia, konstruktor podaje słuchawki podłączone do wzmacniacza własnej produkcji wyposażonego w taki procesor. Po prostu przyzwyczajcie brzmienie słuchawki z marketu, żadna tam audiofilska konstrukcja za kilkanaście tysięcy złotych. Telefon musi jeszcze poczekać na swoją kolej: Waszczyszyn włącza ponownie swój granitowy odtwarzacz CD.

Dźwięk w słuchawkach jest wciąż soczysty i potężny.

– A teraz – odpowiada – proszę wcisnąć ten przycisk, który wyłącza procesor.

To samo nagranie błyskawicznie matowieje i traci przestrzeń.

– Właśnie tak działa procesor – promienieje konstruktor. – Założenie było proste:



Jaromir Waszczyszyn ze swoimi kolumnami wyposażonymi w głośnikowy procesor dźwięku, Kraków, luty 2019 r.

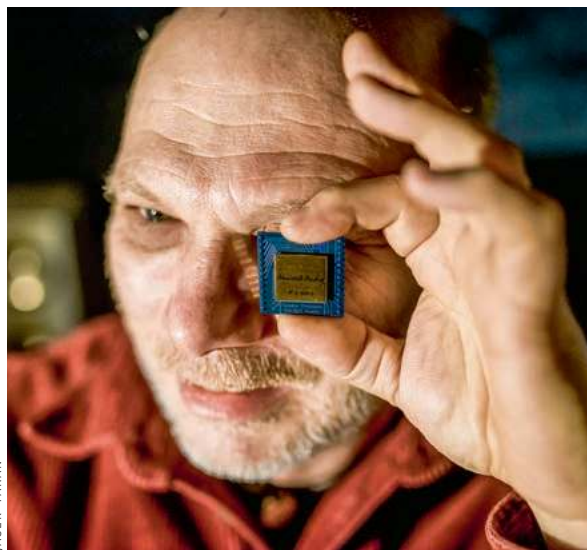
stworzyć coś, co sprawi, że ograniczenia materiałowe i konstrukcyjne przestaną mieć wpływ na brzmienie, bo to sygnał ze źródła dopasuje się do tego, co emituje dźwięk.

Produkcja sprzętu grającego z wyższej półki to ustawiczne zapasy z prawami fizyki. Interferencjami, rezonansami, elastycznością membran, które montuje się w głośnikach. Dźwięk zarejestrowany na nośniku w formie zero-jedynkowego cyfrowego kodu zmienia się w przetworzniku w sygnał analogowy, który potem kolumny muszą zamienić w fale akustyczne o odpowiedniej charakterystyce. Szkopuł w tym, że fale te nigdy nie będą dokładnym odwzorowaniem tego, co zapi-

sano na nośniku. Głośniki zakłócają sobie nawzajem pracę. Wytwarzany przez nie dźwięk odbija się w obudowie kolumny, rykoszetuje po podłodze. Na to wszystko producenci mają zwykle odpowiedź z arsenału sztuczek inżynierskich: inne konstrukcje, nowe materiały. Membrany głośników pokryte kevlarem albo nawet warstwą diamentową. Przewody ze srebra lub złota. Fetysz surowca. Audiofilski świat zna kable zasilające za ponad 100 tys. euro sztuka. Nie dziwi go też niebotyczne ceny wzmacniaczy zbudowanych z użyciem lamp pozostawionych przed laty w Japonii przez obsługę amerykańskich stacji łączności. O takich detalach audiofile potrafią dyskutować godzinami. Ca-

łymi dniami zmieniać kable głośnikowe w poszukiwaniu takich, które wreszcie zaczną grać tak, jak powinny. Dobierać łatami wzmacniacze, przedwzmacniacze, napędy CD w pogoni za brzmieniem idealnym, czyli takim jak w naturze. Waszczyszyn od lat z lubością oddaje się takim debatom o dzieleniu kabla na czworo wraz z kolegami z Krakowskiego Towarzystwa Sonicznego.

– Na pewnym etapie kariery konstruktorskiej zdałem sobie jednak sprawę z tego, że zamiast usunąć przyczyny, próbujemy w ten sposób jedynie ograniczać straty – tłumaczy. – A przecież wystarczyło odwrócić tok rozumowania: jeśli wiemy, jakie szkody dla akustyki niesie ➔



*Założenie było proste:
stworzyć coś, co sprawi,
że ograniczenia materiałowe
i konstrukcyjne przestaną
mieć wpływ na brzmienie,
bo to sygnał ze źródła
dopasuje się do tego,
co emituje dźwięk.*

*Na zdjęciu:
Jaromir Waszczyszyn
i jego procesor głośnikowy*

→ ze sobą konstrukcja głośnika, lepiej wprowadzić takie modulacje sygnału wejściowego, by zniwelowały te zniekształcenia.

Sama idea nie jest nowa. Dość przywołać chociażby wynalazek znany jako aktywna redukcja szumu, który polega na emisji fal dźwiękowych o amplitudzie odwrotnej od tych odpowiedzialnych za szumy: obie fale nakładają się potem na siebie niwelując zakłócenia. Szkopuł w tym, że w świecie hi-endu, czyli producentów zestawów audio z najwyższej półki, takie założenie oznacza wywrócenie branżowego paradygmatu, który zakłada, że sprzęt nie ma prawa zmieniać sygnału wychodzącego ze źródła. Ma go jedynie odtwarzać.

W tym wszystkim, jak mówi konstruktor, zgubiono gdzieś jednak coś szalenie ważnego. A raczej kogoś. Słuchacza.

Wyrobeni i wrobieni

Wracamy więc do smartfona. Waszczyszyn sięga po porządną kabel („nie do końca wiadomo, w jaki sposób, ale jakość kabla ma jednak wpływ na jakość odtwarzanej muzyki”) i podłącza swojego starego iPhone’a do swoich głośników. Z listy utworów Spotify w drodze głosowania wybieramy „Kattornę” w wykonaniu Tomasza Stańki, którą obaj dobrze znamy.

Pokój niespodziewanie wypełnia sprężysty bas z pięknie zmatowioną trąbką i subtelnie zarysowaną linią perkusji, przez którą raz za razem przebijają się fortepian. Dla odmiany przechodzimy więc na eksperymentalne soprany Björk – z równie udanym efektem. Krystalicznie czysty głos wokalistki zdaje się wisieć pomiędzy kolumnami, na wysokości twarzy słuchacza.

Konstruktor w milczeniu kontempluje moje zdumienie. – Może mi pan nie wierzyć – odzywa się w końcu – ale tak jak ten zestaw zagrają jedynie klasyczne kolumny warte trzy, cztery razy więcej. I niech pan nie da sobie wmówić, że do dobrego brzmienia trzeba dorosnąć – zastrzega.

Bo czym jest dźwięk? Fizyk powiedziałby, że falą. Muzyk lub kompozytor dostrzeże w nim przede wszystkim emocję. Konstruktor sprzętu dźwiękiem nazywa po prostu efekt końcowy swojej pracy. Wie, jaki chciałby otrzymać, i do niego zmierza. Koledzy wierni audiofilskiej zasadzie sprzętowej transparentności dążą do czystości dźwięku za pomocą sztucznej klasycznej inżynierii i akustyki. Procesor to samo ma osiągać dzięki algorytmom napisanym pod konstrukcję konkretnego głośnika. Oczywiście, że nie ma to nic wspólnego ze starą dobrą szkołą audio, ale liczy się efekt końcowy – dźwięk.

– Mówią mi nieraz znajomi, a czasem nawet klienci, że nie słyszą różnicy w brzmieniu porządnego sprzętu audio i taniego. Wcale im się nie dziwię. Wiele urządzeń nazywanych audiofilskimi gra po prostu brzydko – krzywi się Waszczyszyn. – Faseruje się je drogimi podzespołami albo zwyczajnie mamy klienta terminem „hi-end”, bez dbałości o to, czy to potem zagra jak trzeba.

Wyrobenie ucho? Waszczyszyn zdejmuje z półki bębenek i uderza w niego dwukrotnie palcami. – Ten sam dźwięk utworzony przez dobry zestaw audio powinien brzmieć tak samo jak tutaj. Jeśli chce pan nauczyć się dobrego brzmienia, proszę iść na jakiś kameralny koncert na Wawel, gdzie akustyka jest doskonała, i usiąść

w pierwszym rzędzie kilka metrów od instrumentów. Myślę, że po takim doświadczeniu każdy będzie w stanie zrozumieć, co znaczy dobry dźwięk.

Ilość w miejsce jakości

Bo na dobre brzmienie powinno być stać każdego. Sprzęt hi-end to wydatek rzędu dziesiątków, a nawet setek tysięcy złotych. Waszczyszyn miał tymczasem ambicję, by stworzyć przyzwoicie grający zestaw audio, który kosztowałby w sklepie najwyżej 3 tys. zł. Jeden pokój na piętrze domu zmienił w magazyn części i gotowych urządzeń („zabrałbym tam pana, ale żona zabroniła mi wpuszczać gości do tej graciarni”). Piwnica stała się laboratorium odsłuchowym z równoległą funkcją warsztatu.

Założenie okazało się wprawdzie zbyt ambitne, ale – jak mówi – ostatecznie udało mu się skonstruować sprzęt o więcej niż zadowalającym brzmieniu w cenie nowego laptopa. Czyli w sam raz dla współczesnego odbiorcy muzyki. – Także u siebie widzę tę zmianę – mówi dolewając wrzątku do czajniczka z zieloną herbatą. – Coraz częściej słucham muzyki z YouTube’a, z serwisów streamingowych. Jakość nagrań pozostawia oczywiście sporo do życzenia, ale w zamian zyskuje dostęp do nieprzebranych zasobów muzycznych, koncertów, których nigdy nie wydano na płycie.

Jakości dźwięku zapisanego na dobrze wydanej płycie CD nadal nic nie zastąpi, audiofilskiego odtwarzacza nie da się jednak zabrać ze sobą na wycieczkę rowerową, trening biegowy lub do tramwaju. Procesor, podobny do wymyślonego przez Waszczyszyna, można tymczasem łatwo wbudować w każdy smartfon lub radio samochodowe.

Kilka lat temu był bliski realizacji podobnego zamierzenia. Audiofiliska Polska z wypiekami na twarzy kibicowała wtedy jego współpracy z Johnem Tu, właścicielem firmy Kingston Technology, który najpierw zamówił w Krakowie sprzęt do swojego domu, a potem próbował stworzyć z krakowskim konstruktorem audiofilską wersję muzycznego serwisu streamingowego.

Pomysł był niezły. Ale w dużych koncertach – śmieje się konstruktor – nawet świetne pomysły kapitulują czasem w konfrontacji z księgowymi.

Oni najbardziej cenią dźwięk pieniądza.

© P MAREK RABÍJ

ANNA

Dziewit-Meller:

Bicie i walenie (się w piersi)



SAMUEL TISSOT BYŁ NA PEWNO CZŁOWIEKIEM bardzo przejętym swoją rolą. Na starych rycinach widać jego szczupłą, nieco zaciętą w wyrazie twarz, okoloną typową dla XVIII stulecia peruczką. Szwajcarska Lozanna miała doprawdy kupę szczęścia, że to właśnie w jej murach zechciał prowadzić swą praktykę i snuć teorię. Musieli lozańczycy niechytnie co i rusz dawać na nabożeństwa dziękczynne, oddając hołd swemu kalwińskiemu Bogu za to, że do nich trafił Samuel, a nie gdzie indziej. Pośród licznych spraw natury medycznej zaprzatających głowę tego znakomitego uczonego – lekarza neurologa pełnego pasji – znalazł się bowiem, a wkrótce wręcz wysunął na czoło, dręczący marne plemię adamowe odwieczny kłopot z masturbacją.

Profesor Tissot, w swej pełnej rozmachu rozprawie naukowej opublikowanej w Roku Pańskim 1760 pod tytułem „Onanizm albo dysertacja medyczna o chorobach wywołanych przez masturbację”, dał odpór niecnym praktykom, przekazując swym czytelnikom prawdy objawione na temat tragicznych skutków tych działań ludzkiej ręki. I tak: uważna lektura przyniesie nam wiedzę o tym, skąd u nas dajmy na to problemy natury reumatycznej, ogólne osłabienie, kłopoty z pamięcią, zaburzenia widzenia, krwimocz, brak łaknienia, a także ryzyko utraty słuchu, zachorowania na dychawicę, skrzywienia kręgosłupa, wreszcie zaburzenia psychiczne rozmaitej natury. Wszystkie one – zdaniem uczonego – szły wprost ze zbyt pochopnego przelewania nasienia, z rękoczmary, z marnopłcenia, krótko mówiąc – z tej straszliwej masturbacji. W końcu więc wszystko stało się jasne, a Europa toczona przecież licznymi chorobami odechnęła z ulgą, jasne i czyste myśli moralnego Szwajcara ruszyły zaś w tournée po świecie.

Pisali więc inni, ci, w których wzrosło Samuelowe ziarno: „Marnopłcenie długotrwałe sprowadza trzeszczenie w stawach. Stolcowanie odbywa się trudno. Ręce i nogi ziębną nawet wśród lata, u starszych wypadają włosy. Chory widzi świetlne gwiazdki, kółka, krążki, punkciki, płatki śniegowe”. Zaznaczali też, że „ani dżuma, ani cholera, ani wojna i wiele innych plag nie wyrządzają takiej szkody jak onanizm, który działa bezustannie i po trochu podkopyje narody”. Ostrzegali, straszyl, wieszczyli.

I długo bym mogła tak sypać tu tłustymi cytatami, przypominać o błonie między palcami, co wyrasta samogwałcicielem, albo o włosach pojawiających się im w niepokojących miejscach. Ale boję się, że nie daj Bóg wiedza ta iście ezoteryczna trafi do zaleceń któregoś z kuratorów oświaty na południu Polski, więc się powstrzymam (choć wiercie mi, moi mili, że bardzo mnie kusi).

Panika moralna, którą właśnie obserwuję wokół kwestii edukacji seksualnej dzieci i młodzieży, powoduje, że wszystko, co powyżej państwu wypisałam, wcale mnie nie śmieszy.

Seksualizacja dzieci, którą w związku z deklaracją warszawską LGBT+ straszą prowadzący kampanię wyborczą politycy, cynicznie jadący na najgłębszych lękach społecznych, trwa przecież proszę państwa w najlepsze każdego dnia. Czy wy o tym nie wiecie, ludzie w PiS-ie, Samuelowie Tissotowie XXI wieku? Czy wy nie widzicie rozebranych ciał kobiecych reklamujących wszystko, od dachówek po usługi finansowe? Czy umyka wam informacja o nieograniczonym i darmowym dostępie do najbardziej hardkorowej pornografii, po którą sięgają coraz młodsze ludzie? Czy myślicie, że jeśli pozbawicie dzieci możliwości edukacji seksualnej w szkołach, edukacji kontrolowanej, prowadzonej przez specjalistów, w sposób bezpieczny, dostosowany do wieku i możliwości percepcji odbiorcy, i zostawicie to jedynie władnej w tej materii świętej polskiej rodzinie, która, jak wynika z badań, wcale się do tego nie pali, to usuniecie problem i żadnemu już dziecku nie wyrośnie masturbacyjna błona, wszyscy zaś będą czekać z seksem do ślubu kościelnego lub wyrzekną się go na wieki?

W wydanej właśnie książce reportera Łukasza Pilipa „Podwórko bez trzepaka. Reportaże z dzieciństwa” autor zamieścił tekst pod tytułem „Kwiaty, dwa piwa i prezerwatywa”, w którym młodzi ludzie opowiadają o swojej edukacji i inicjacji seksualnej. Motywem przewodnim reportażu jest błędzenie we mgle niedoinformowania, skrepowania, braku rozmów na ten temat z rodzicami, wreszcie frustracja płynąca z budowania obrazu seksualności człowieka wprost z będącej na wyciągnięcie ręki pornografii. Od stycznia do listopada 2018 r. w Telefonie Zaufania dla Dzieci i Młodzieży padło 11 096 pytań o seks. W tym o przedmiot badań Samuela Tissota. Grubo ponad 300 lat po wydaniu jego dysertacji polscy nastolatki pytają m.in., czy to możliwe, że w wyniku onanizmu nasienie się „skończy” i będą bezpłodni, dziewczynki boją się, czy to jest normalne. Jedna z nich przyłapaną na masturbacji w wieku 10 lat, została nazwana przez matkę „świnia”, inną nakrytą na onanizowaniu się bito pasem. Samuelu, bądź więc rad – w Polsce trzymamy się mocno!

©

Przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w II Wydziale Cywilnym, przy ul. Kocjana 3 w Warszawie, pod sygn. akt II NS 1188/15, toczy się postępowanie z wniosku Jadwigi Prokurat, z udziałem Lecha Prokurata, Ireny Dobosz, Mariusza Nowickiego, Marcina Nowickiego, Iwony Chmielińskiej, Janiny Prokurat, Elżbiety Więsyk, Marka Prokurata, Krystiana Nowickiego, Hanny Heleny Grajper, Stanisławy Barbary Jarosz, Taddaśa Prokurata, o stwierdzenie nabycia spadku po Wacławie Stanisławie Prokuracie, ur. 10 lutego 1923 r. w Pruszyńcu, zm. 25 kwietnia 2013 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców Wacława Stanisława Prokurata, aby w terminie 3 miesięcy od opublikowania ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swoje prawa do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE

MIĘDZYPOKOLENIOWA WYRWA

W czasach obecnego kryzysu w Kościele przekaz wiary przestał być wiarygodny.
Czy skazani jesteśmy na sekularyzację młodego pokolenia?

SEBASTIAN DUDA



WNIEDZIELĘ 19 SIERPNIA UBIEGŁEGO roku w jednym z katolickich kościołów w Atlancie w USA wygłaszający homilię ksiądz, po skomentowaniu biblijnych czytań, odniósł się do opublikowanego kilka dni wcześniej raportu na temat molestowania nieletnich przez kler katolicki w stanie Pensylwania. Wnioski raportu były szokujące: okazało się bowiem, że w Pensylwanii w latach 1950–2016 przestępstw seksualnych dopuściło się ponad 6700 księży. Ich ofiarą padło nie mniej niż 18 565 młodocianych osób.

Kaznodzieja z Atlanty przytoczył w homilii te dane. Zapytał retorycznie, jak mogło dojść do czegoś tak przerażającego. Powiedział też zgromadzonym wiernym, że dziwi się, iż po publikacji tych przerażających danych chcieli przyjść do kościoła.

„Wszyscy widzimy, że ten kryzys ma charakter systemowy – mówił. – Spowodowany został umniejszoną przez kler rolą świeckich. Musimy to zmienić!”

Wypowiedziawszy te słowa, ksiądz usiadł. I wtedy z ławki w piątym rzędzie zakrzyknął pewien mężczyzna: „Księżo, powiedz nam, jak mamy to zrobić”. Wśród wiernych zapanowała konsternacja. Wtedy mężczyzna zbliżył się do ołtarza, prowadząc za rękę małego chłopca. „To mój dziewięcioletni syn – powiedział. – Jak w takiej sytuacji powinien on przystąpić do pierwszej komunii świętej?”

Ksiądz wstał ponownie, ale nie uciszył zdesperowanego ojca. Poradził mu, by wraz z innymi napisał do nuncjusza i amerykańskich biskupów. „To jest biurokratyczna odpowiedź” – usłyszał od zdenerwowanego mężczyzny. Nie zaprzestał jednak z nim rozmowy. Otwarcie przyznał, że nie ma dobrej odpowiedzi. Powiedział też, że dotąd nigdy w ten sposób nie rozmawiał z wiernymi.

W kościele obecna była wtedy Susan Reynolds – teolożka z pobliskiego Uniwersytetu Emory. Gdy wstrząśnięta wróciła do domu, zaczęła pisać oświadczenie, pod którym w ciągu kilku następnych tygodni podpisy złożyło wielu amerykańskich katolickich liderów, teologów i katechetów. Wezwali w nim amerykańskich biskupów do natychmiastowej rezygnacji z urzędu. Pojawiły się też głosy, że z takim żądaniem należy zwrócić się do prezbiterów i diakonów, a także do papieża Franciszka. Sama Susan Reynolds oznajmiła, że bez takiego radykalnego aktu pokuty katecheza Kościoła nie może być skuteczna.

Przekaz wiary przestał być wiarygodny. W dobie obecnego kryzysu nawet przygotowujące się do pierwszej komunii dzieci często mają już tego świadomość.

Kłeska edukacji religijnej

W Polsce katolicy biskupi nie bardzo chyba chcą widzieć związek między obecnym kryzysem Kościoła a stanem katechezy. Dostrzegają – co prawda – postępujące procesy laicyzacyjne, ale w opinii wielu z nich dobry im odpór może dać konsekwentna obrona dawno zbudowanych szafców. Jednostronnie i wybiórczo czytane dane statystyczne nie wydają się szczególnie alarmujące. Znaczna większość naszego społeczeństwa to wciąż katolicy. Identyfikują się z Kościołem w dużej części także ludzie młodzi. Wedle amerykańskiej firmy badawczej Pew Research Center 82 proc. mieszkańców Polski w wieku 16-29 lat uważa się za katolików. Połowa badanych w tej grupie wiekowej deklaruje też, że modli się co najmniej raz w tygodniu.

Jednak z drugiej strony, o ile cotygodniowe uczestnictwo w mszach deklaruje 55 proc. rodaków powyżej 40. roku życia, o tyle wśród młodszych wskaźnik ten wynosi już tylko 26 proc. Owe 29 punktów procentowych to największy generacyjny spadek wśród wszystkich 108 przebadanych przez Pew Research Center państw. Warto również zauważyć, że w przytoczonych badaniach codzienną modlitwę zadeklarowało w Polsce 39 proc. starszych i jedynie 14 proc. młodszych respondentów. Podobną dysproporcję dało się zauważyć przy odpowiedzi na pytanie: „Czy religia jest dla ciebie bardzo ważna?” (odpowiednio 40 i 16 proc.).

Spadek religijności wśród młodzieży daje się zauważyć właściwie we wszystkich rozwiniętych krajach świata. Jednak w Polsce jest on obecnie najgwałtowniejszy. To niewątpliwie dowód na małą skuteczność przekazu wiary w młodym pokoleniu. W czym konkretnie tkwią źródła tej słabości?

Jednym z najbardziej oczywistych powodów wydaje się niski poziom szkolnej katechezy. Odkąd w 1990 r. lekcje religii powróciły do szkół, fakt ten jest traktowany przez dużą część Episkopatu jako jedno z najważniejszych dla Kościoła w Polsce dobrodziejstw ustrojowej transformacji. Liczby (pozornie) mówią same za siebie.

Boże Ciało, Warszawa, 2018 r.



MACIEJ ŁUCZKIEWSKI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

→ Wedle danych zebranych z diecezji przez Komisję Wychowania Episkopatu Polski w 2015 r. uczestnictwo w lekcjach religii wynosiło 91,5 proc. uczniów szkół podstawowych, w gimnazjach 90,8 proc., w liceach ogólnokształcących 84,8 proc., w technikach i liceach zawodowych 84,6 proc., a w szkołach zawodowych 89,5 proc.

Nieco inne dane przedstawił w 2017 r. Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego. W szkołach ponadpodstawowych udział w lekcjach religii zadeklarowało 76,3 proc. uczniów (w tym 78 proc. dziewcząt i 74,7 proc. chłopców). Zaznaczyła się przy tym różnica między wielkimi miastami a mniejszymi ośrodkami.

Na wsi uczestnictwo w lekcjach religii w szkołach ponadpodstawowych deklarowało bowiem 84 proc., a w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców już tylko 67 proc. ankietowanych. Co ciekawe, 28 proc. spośród uczniów szkół ponadpodstawowych, którzy określili siebie jako niewierzący, również zadeklarowało uczęszczanie na lekcje religii.

Kilkanaście lat edukacji religijnej, przez którą przechodzi zdecydowana większość młodzieży w Polsce, powinno mieć przełożenie na w miarę dobry u edukowanych poziom wiedzy o chrześcijańskiej teologii czy historii Kościoła. Śmiem jednak twierdzić (opierając się i na własnym doświadczeniu, i na wielu docierających do mnie opiniach wykładających na różnych uczelniach znajomych), że z niczym takim nie mamy do czynienia. Gdy studenci – także kierunków humanistycznych – są pytani o podstawowe treści Ewangelii (o innych biblijnych księgach nie wspominając), często bezradnie rozkładają ręce. Dlaczego tak się dzieje?

Indagowani w tej sprawie katecheci i biskupi odpowiadają często, że katecheza to coś znacznie więcej niż przekaz wiedzy religijnej. W przyjętym w 2001 r. przez Episkopat „Dyrektorium katechetycznym Kościoła w Polsce” można przeczytać, że na katechezę (rozumianą jako część „procesu ewangelizacji”) składa się nie tylko kształcenie, ale także wychowanie i „ściśle związane z sakramentami wtajemniczenie chrześcijańskie”.

Za edukację istotnie odpowiada przede wszystkim szkoła. Jednak już zadanie wychowania powierzone jest przede wszystkim rodzinom. Sakramentalne wtajemniczenie to z kolei przede wszystkim domena wspólnot parafialnych.

W Polsce odnotowujemy najgwałtowniejszy z wszystkich rozwiniętych krajów świata spadek religijności wśród młodzieży.

To dowód na małą skuteczność przekazu wiary.

Niestety tak rozumiana katecheza kulęje na każdym z wymienionych pól.

Siedem kolumn katechezy

We wspomnianym „Dyrektorium katechetycznym” mowa jest o „siedmiu kolumnach katechezy”. Pod tą nazwą kryją się treści, które koniecznie powinny zostać przekazane w toku katolickiej edukacji. Są to odpowiednio: trzy etapy opowiadania historii zbawienia, tzn. Stary Testament, życie Jezusa Chrystusa i historia Kościoła, a także tzw. „cztery filary wykładu”: Symbol wiary („Credo”), sakramenty, przykazania oraz Modlitwa Pańska (czyli „Ojciec nasz”).

Zadania stawiane przed szkolnymi katechetami nie są zatem łatwe. O ile w młodszych klasach możliwe jest jeszcze uproszczone, dostosowane do wieku uczniów opowiadanie o Biblii, w starszych pożądana byłaby już lektura fragmentów Pisma Świętego – także z wykorzystaniem narzędzi, które oferuje współczesna bibliistyka. Budujące pogadanki nie są bowiem dobrym remedium na często spotykane twierdzenie, że Biblia to zbiór bajek lub mitów, których właściwe miejsce jest w lamusie historii.

Tymczasem wielu młodych przyznaje, że bardzo rzadko (jeśli w ogóle) na lekcjach religii czytało się Pismo Święte. Ich wiedza o dziejach Kościoła również jest wybiórcza, bo nigdy nie dostali w szkole na ten temat systematycznego wykładu. O Symbolu wiary nie słyszeli, choć ci, co uczęszczają na mszę, potrafią go nawet powtórzyć z pamięci. Nawet tych lepiej jednak nie pytać o znaczenie określenia „współlistotny Ojcu”. O liczbie sakramentów i przykazań pouczono ich na lek-

cjach przed pierwszą komunią i bierzmowaniem, gdy przygotowywali się do wymaganych w tych sytuacjach egzaminów. Mimo to można sądzić, że rzeczywista obecność Chrystusa w eucharystii czy bierzmowanie Ducha Świętego nie są teologicznymi problemami rzetelnie roztrąsanymi na szkolnej katechezie. Modlitwa Pańska też raczej nie bywa pretekstem do przedstawienia fundamentów teologii duchowości.

Prawda wydaje się okrutna: młodzież nie otrzymuje na lekcjach religii podstawowej wiedzy teologicznej. Jak w takiej sytuacji może się bronić np. przed przesławczymi oskarżeniami heroldów „nowego ateizmu”? Odpowiedź na zarzut o mierną jakość intelektualną lekcji religii jest jednak często zadziwiająca: szkolna katecheza to nie to samo, co wykład teologii. Bo, jak czytamy w „Dyrektorium katechetycznym”, „działania katechetyczne nie mogą zaniedbywać poznania treści wiary (*fides quae*), które winno jednak zawsze prowadzić do rozwoju i pogłębienia osobistej wiary katechizowanego (*fides qua*)”. A nic takiego nie nastąpi, jeśli szkolna katecheza nie zostanie wsparta przez rodziny i parafie.

Żal mniej doskonały

Wedle uczonych katechetologów rodzina powinna odpowiadać przede wszystkim za formację moralną i wychowanie do modlitwy. Z kształtowaniem moralności katolickiej w rodzinach („w epoce pełzającego hedonizmu, konsumpcjonizmu i obyczajowego liberalizmu”, jak usłyszałem ostatnio na kazaniu) bywa jednak różnie. Z pewnością dzieci wśród najbliższych najlepiej uczyć się mogą podstawowych zasad uczciwości. Rodzina bywa też dobrą szkołą miłości rozumianej w duchu chrześcijańskim. Jednak we współczesnym kontekście wypowiadanie takich oczywistych twierdzeń niczym mantry szczególnie jest mądre. Wielu młodych ludzi wychowuje się dziś w rodzinach rozbitych czy patchworkowych, w których katolickie wytyczne moralne często są odrzucane bądź traktowane jako problematyczne.

Problemem bywa zresztą nie tylko etyka małżeńska i seksualna, ale i samo pojęcie grzechu, które dla wielu trudne jest do zaakceptowania w dobie popularnych przekazów głoszących prymat tzw. „pozytywnego myślenia”. Jeśli nie ma świadomości grzeszności, trudno, by eucha-

stia i sakrament pojednania traktowane były jako lekarstwo (co podkreśla mocno w swym nauczaniu Franciszek), a nie podniosłe, lecz w gruncie rzeczy pozbawione głębszego znaczenia rytuału.

Inna rzecz, że pogłębieniu życia sakramentalnego nie sprzyjają też treści przekazywane na szkolnej katechezie. Przed niespełna dwoma laty mój starszy, mający wówczas lat dziewięć syn przystępował do pierwszej komunii. Kilka dni przed uroczystością dzieci zostały zaproszone do kościoła na pierwszą spowiedź. Niektóre wyglądały na autentycznie przejęte i przestraszone, choć wokół roilo się od troskliwych rodziców. Gdy mój syn odszedł wreszcie od krtek konfesjonau, uśmiechnąłem się do niego i objąłem go. „Było nieźle” – powiedział. Po chwili zastanowienia dodał jednak: „Nie wiem tylko, tato, czy żałowałem doskonale, czy mniej doskonale”.

Od razu przypomniały mi się problemy, które przeżywałem w związku ze spowiedzią w dzieciństwie: czy mój rachunek sumienia był dostateczny? Czy żałowałem dostatecznie szczerze? Czy zadośćuczyniłem w wystarczający sposób Bogu i bliźniemu? Od tamtego czasu minęło już jednak kilkadziesiąt lat.

Miałem nadzieję, że podobne do moich skrupuły związane z uczonymi na katechezie „warunkami dobrej spowiedzi” nie staną się udziałem mojego syna. Tymczasem się stały. Dawny, potrydencki spór o „żał doskonały” i „mniej doskonały” przywoływany jest na lekcjach dla dziewcząt. Uczą się one również „szesciu prawd wiary” (to lokalna, polska formuła, której w takim układzie nie znajduje się w Katechizmie Kościoła Katolickiego), gdzie Bóg jest prezentowany jako „Sędzia sprawiedliwy, który za dobre wynagradza, a za złe karze”. O miłosierdziu ani słowa. Nie jest to mocno zachęcająca wizja w Kościele, w którym w wielu miejscach na świecie zanika potrzeba i praktyka spowiedzi usznej.

Lista obecności

Można mieć nadzieję, że w wielu rodzinach, które starają się dbać o wychowanie katolickie, wiadomo przynajmniej intuicyjnie, jak przekazywać dzieciom dobrą nowinę. Służyć temu może choćby modlitwa.

Jednak autorzy „Dyrektorium katechetycznego” podobnej nadziei nie podzielają. Piszą bowiem nie bez racji: „Wychowanie do modlitwy napotyka w dzisiejszych czasach na szczególną trudność, bowiem w wielu domach ludzi ochrzczonych zanikła praktyka modlitwy. Adresatami katechezy stają się w ten sposób ludzie, którzy nie rozumieją sensu modlitwy i nie odczuwają jej potrzeby. To właśnie ze względu na nich przed katechezą polską pojawiają się nowe zadania: rozbudzenia życia modlitwy przez ukazanie jej sensu. Katecheza w żadnej ze swoich form nie może i nie powinna rezygnować z nauczania modlitwy i z wdrażania do jej praktykowania”.

Śmiem jednak wątpić, że katecheza szkolna to dobry sposób na wychowanie do modlitwy. Jeśli nie dokonuje się ono w rodzinach, to może lepiej byłoby zadbać o nie w parafiach, które są naturalnym miejscem dla „liturgicznego i sakramentalnego wtajemniczenia”? Statystyki podpowiadają, że niestety może to być tylko pobożne życzenie. O jakim wtajem-

niczeniu do modlitwy może być mowa, jeśli w wielkich miastach raz w tygodniu na mszy pojawia się mniej niż jedna trzecia wiernych? Stąd wniosek, że katechezy nie potrzebują tylko dzieci i młodzież, ale też dorośli. W archidiecezji warszawskiej stwierdzono, że jedno powinno towarzyszyć drugiemu. Rodzice dzieci przystępujących do pierwszej komunii zostali zobowiązani np. do comiesięcznego uczęszczania na specjalne nauki.

Wybrałem się na nie. Nie było to szczególnie budujące doświadczenie. Wieczorna pora, rodzice z wyraźną na twarzach apatią (niektórzy, zmęczeni całodzienną pracą, po prostu zasypiali), ksiądz monotonna odczytujący z ambony mało porywające materiały przygotowane przez warszawską kurie na temat wartości religijnego wychowania w rodzinach. Gdy dobiegało końca, rodzice z ulgą podpisywali leżącą na stoliku listę obecności.

Szczerza rozmowa

Autorzy „Dyrektorium katechetycznego” już w 2001 r. zdawali sobie sprawę, że w Polsce coraz mocniej zaczął zaznaczać się „sekularyzm, który polega na autonomicznej wizji człowieka i świata, według której tłumaczy się on sam, bez potrzeby uciekania się do Boga”. Dziś proces sekularyzacji posunął się znacznie dalej, o czym świadczy postępujący indyferentyzm religijny wśród młodych. Można winić za to rodziców, ale raczej nie jest to dobry sposób na uzdrowienie sytuacji. Ona nie ulegnie znaczącej poprawie, jeśli zmiany nie nastąpią w katechezie szkolnej i parafialnej. Ta pierwsza powinna stać się w końcu rzetelnym wykładem teologii →

TP

Zgłoś debiut książkowy do Nagrody Conrada!

NAGRODA
CONRADA

2 0 1 9

Do 30 kwietnia 2019 r. można zgłaszać książki do 5. edycji Nagrody Conrada.

To wyróżnienie przeznaczone wyłącznie dla debiutantów, mające na celu wzmocnienie ich pozycji na rynku literackim. Zgłoszenia do tej nagrody mogą przesyłać wydawcy, autorki i autorzy, a także sami czytelnicy. Kapituła czeka na propozycje tytułów prozatorskich, które ukazały się na rynku w 2018 r. Zgłoszenia można przesłać pocztą do **30 kwietnia**. Warto – wartość nagrody to **30 TYS. ZŁOTYCH!**

Regulamin nagrody na: powszech.net/nagrodaconrada

Fundator
i organizator:



Partnerzy:



kbf



→ i historii Kościoła, a nie „wtajemniczeniem w wiarę”, do którego w szkole nigdy nie będzie odpowiednio sprzyjającego klimatu.

Dla takiego wtajemniczania (mistagogii) najlepszym miejscem wciąż wydają się parafie i tam ono powinno się odbywać (nawet kosztem okrojenia, choć brzmi to w Polsce jak herezja, liczby godzin lekcji religii w szkołach). Nie chodzi jednak tylko o liturgię, choć to sprawa bardzo ważna.

Susan Reynolds, którą tak wstrząsnął dyskutujący z kapłanem podczas homilii ojciec pierwszokomunijnego dziecka, uważa, że w dobie kryzysu wywołanego seksualnymi skandalami bardzo ważna staje się dla katolików rozmowa z kapłanami i między sobą. Księża nie mogą już dłużej występować wyłącznie z pozycji nauczających autorytetów. Po odprawionej liturgii potrzebne są spotkania, na których wierni i kapłani mogliby wymienić się uwagami o wierze i aktualnych problemach ich parafii oraz całego Kościoła. Nie chodzi o zebrania dla aktywistów, lecz dla wszystkich przychodzących na mszę. Zdaniem Reynolds bez takiej rozmowy, której powinna towarzyszyć wspólna modlitwa (będąca *de facto* dla wielu szkołą modlitwy), niemożliwa jest dziś skuteczna katechizacja w Kościele – przede wszystkim dorosłych i rodzin.

Piękna liturgia z mądrym kazaniem powinna mieć swe przedłużenie w rozmowie, w której byłoby miejsce na swobodne dzielenie się doświadczeniami i wątpliwościami. Takie politurgetyczne spotkania mogłyby stać się istotnym elementem życia religijnego katolików. Z pewnością dobrze służyłyby pogłębieniu ich wiary.

Czy coś takiego byłoby możliwe także w rzeczywistości wciąż dość masowego polskiego katolicyzmu? Niektórzy mogą z lekceważeniem odpowiedzieć, że nie ma u nas takiej potrzeby, bo rodzimy katolicyzm z gorszymi już wyzwaniem w przeszłości zdołał sobie poradzić dzięki przywiązaniu wiernych do tradycji i rytuału. Czy jednak tradycja i rytuał aby na pewno są dziś wystarczające do przekazu wiary?

© SEBASTIAN DUDA

Autor jest filozofem, teologiem i publicystą. Redaktor kwartalnika „Więź” oraz członek Zespołu Laboratorium „Więzi”. Ostatnio opublikował zbiór esejów „Przesilona wątpliwość”.

Nie siadam w pierwszej ławce

KATARZYNA URBAN

Podszedł do mnie na ulicy elegancki pan i pyta: „Czy to siostra wiele lat temu dała chłopcu z Teerenstra pieniądze na szkołę? To ja jestem tym chłopcem. Siostra dała mi skrzydła” – opowiada s. Teodora Jadwiga Grudzińska.

WCHODZI DO KOŚCIOŁA BRZDĄC, może sześć lat, w bluzce długiej jak z dorosłej kobiety. Jedną ręką trzyma tę bluzkę, bo mu spada. Drugą ciągnie młodszego brata. Posadził go koło mnie. A potem jeszcze dopchnął. I sam też się kokosi. Znoszę to parę minut, w końcu pytam: „Co się tak pchasz?”

Już 32 lata jestem w Afryce. W Ndélé, na wschodzie Kamerunu, w misji sióstr pasjonistek – 18 lat. Prowadzimy tu szkołę. Dzieci, które się przy mnie rodziły, teraz same rodzą. Nie wszystkie z nich się pamięta po tylu latach, ale niektóre tak. Jak tego chłopaka, co się pchał w kościele.

Idź, siostry mamy znajdują

Pcha się dalej i odpowiada: „Nie pcham się, tylko chcę, żebyś mnie zobaczyła”. Tłumaczę: „Ja ciebie nie tylko widzę, ale i czuję, bo siedzicie na mnie”. Ale zaczęłam coś podejrzewać. Po mszy proszę go: „Powiedz mi swoją historię”.

„Chciałem, żebyś mnie zobaczyła” – powtarza brzdąc. „I zrobiła mi zdjęcie” – dodaje.

Okazało się, że wysłała go babcia. Mama zmarła na AIDS, tata zaginął nie wiadomo gdzie. Babcia powiedziała: „Idź, siostry mamy znajdują”. Więc przyszedł z samego rana. Wiedział, gdzie jesteśmy, i wiedział, że dzieciom, którym robimy zdjęcia, szukamy rodzin do adopcji na odległość. Czasem to jedyna szansa na naukę. Więc zrobiłam mu zdjęcie i wzięłam do programu adopcji. Nawet nie przypuszczałam, co za cyrk z tego będzie.

To dziecko, które co dzień bawiło się w rowie ze świniakami i do szkoły po-

szło całe w błocie, jest już na czwartym roku prawa. Wieczorami pracuje w restauracji, sprząta nieraz do rana, by zarobić na naukę. Andres się nazywa. Chłopak wygrał. A za nim do szkoły poszedł jego brat – ten, co go na mnie wypychał.

Dobrze się modliłeś

Innego chłopaka pamiętam, bo zachowałam się wtedy nie po katolicku. Przyszedł do kościoła i długo siedział – a to było wtedy, gdy sobie postanowiłam, że już więcej nie usiądę dalej niż w pierwszej ławce. Dlaczego tak? Bo w pierwszej będę miała spokój, będę uczestniczyć w mszy, nie będę widzieć potrzebujących. Ale ten chłopak był taki biedny. Siedział skulony, widać było, jak się wstydzi. Powiedziałam sobie: „Niech stracę”. Akurat przyjechałam z Polski, wymieniłam pieniądze na życie dla wspólnoty. Zawołałam go i wypytuję. On opowiada: nie ma rodziców, a babcia chce, żeby się uczył. Skończył podstawówkę, ale do szkoły dalej iść nie może, bo bez ubrania i książek do klasy nie wejdzie. Marzył, by choć przed budynkiem siedzieć i słuchać przez otwarte drzwi.

Dobrze znałam sumę, jaką trzeba było wpłacić, żeby dziecko miało ubranko i książkę. Dałam te pieniądze. Nie wiedział, czy to jawa, czy sen. „Dobrze się modliłeś” – powiedziałam i poszłam. Dalej już go nie śledziłam. Wiedziałam, że na pewno będzie chodził do szkoły. Nie mieliśmy żadnego kontaktu przez wiele lat.

Elegancki pan

Po dziesięciu, jak nie po piętnastu latach, pojechałam z Ndélé do miasta. Zaparkowałam, pozałatwiałam, wra-



*S. Teodora Jadwiga Grudzińska.
Po lewej: jeden z domów w Ndélélé,
zamieszkały przez 8 osób.
Poniżej: dzieci zbierają
lokalny przysmak – termity.*



S. TEODORA JADWIGA GRUDZIŃSKA X 2

cam – a tu mi koło w aucie zablokowali. Dzwonię i dzwonię, żandarmeria jest daleko. Każą mi gdzieś jechać. Mam zablokowany samochód – to jak pojadę? Błagam, przyjedź pan i pokaż mi, gdzie znak, że nie można stawać.

Ublągałam, przyjechali. Pokażcie mi znak! Ale my – mówią – przez głośnik ogłaszamy. Nie jestem stąd, jak miałam słyszeć? Próżne gadanie.

Nagle z przeciwnej strony ulicy podchodzi do nas elegancki pan, który – jak mówi – poznał mój głos. Bo włosy już miałam siwe, młoda i szczupła też nie byłam.

Pyta: „Czy to siostra wiele lat temu dała chłopcu z Teerenstra pieniądze na szkołę? Tak? To ja jestem tym chłopcem. Siostra dała mi skrzydła. Następne lata już zarabiałem, całe wakacje uprawiając ludziom

pola, by opłacić szkołę i studia. Teraz staram się pomagać innym”.

Okazało się, że to sędzia najwyższej instancji. Wcześniej pokazał żandarmowi wizytówkę, a ten natychmiast odblokował samochód. Ale ja jestem zachłanna i od razu mówię: „Skoro jesteś sędzią sprawiedliwym, to wspomóż mnie jeszcze. Mam chłopca, który już dwa lata siedzi w więzieniu w Batouri. Karaluchy zjadły jego *dossier*, nikt się nim nie interesuje, nie ma adwokata. Sierota. Jego babcia choruje na gruźlicę, ukradł dla niej banany na rynku”.

Sędzia mówi: „Pojeźdź tam, on już będzie na ciebie czekał”. Podjechałam pod więzienie, a tamten leci do mnie z radością. Dwa lata siedział, już gruźlicę miał. Wtedy mówię: „Panie Boże, odwołuję to, co powiedziałam, że usiądę w pierwszej ławce, żeby nie widzieć”.

Czy w niebie będą drzewa?

Taką to lekcję katechizmu dostałam. A u nas katechezy to i dzieci uczą. Jeden chłopiec, nie więcej niż dziesięć lat, mówi tak: „Sąsiedzi żyją w niezgodzie z moimi rodzicami. Nie potrafią przebaczyć, choć mama z tatą już dawno im przebaczyli. A do kościoła to chodzą. Więc ułożyłem dla nich modlitwę »Ojcze nasz« ze słowami: »Chleba naszego powszedniego nam nie dawaj. Nie odpuszczaj nam ↳

→ naszych grzechów, bo i my nie odpuszczamy».

Innym razem na katechezie, gdy mówiliśmy o niebie, jedno dziecko Baku pyta: „Czy w niebie będą drzewa?”. Jak będą, to niebo im się opłaci. Bo Baka, Pigmeje, to ludzie lasu i kochają przyrodę. Są teraz niszczeni, bo lasy masowo się wycina. Zdrowe drzewa, najszlachetniejsze, średnica taka jak ten stół – co pięć minut jadą do portu i do Europy. Baka nie mają już środków do życia, w lesie nie ma zwierzyny. Przychodzą do wieśniaków, a ci ich rozpijają. Zardzewiała puszką po konserwach pełna arki, czyli alkoholu z kukurydzy, to zapłata za dzień pracy na plantacji.

Drugi problem to narkotyki. Co kilka kroków stoi handlarz z taboret. Na nim do sprzedaży: pół papierosa, kostka cukru. No i tramol, silne tabletki lokalnej produkcji. Znam czternastolatków, którzy muszą brać cztery dziennie, są już kompletnie ogłupieni. Powód? Głodny był, nie miał energii do pracy, wziął i sił mu przybyło. Albo szaman chciał dostać kozę, więc dał tabletkę. Tabletkę sprawiła, że chory na AIDS na chwilę lepiej się poczuł i uwierzył szamanowi, że ten go uzdrowił.

Tramol jest wszędzie – 25 franków za tabletkę. Jedno euro to 650 franków, kura kosztuje 2000 franków, 40 tysięcy to mała pensja. Każdy może mieć tych tabletek, ile chce.

Urodzony 31 lutego

Nikt nie liczy Baka, oni nie mają aktów urodzenia, u nas mieszka ich bardzo dużo. Kilkoro dzieci chodzi do nas do szkoły. Kiedyś zebrałyśmy grupę i mówimy: „Musicie mieć akty urodzenia”. Zrobiłyśmy w wiosce kampanię, żeby je rejestrować na merostwie. Zebrałam prawie 60 dzieci. Poszłam z nimi, a burmistrz pyta: „Kiedy mają się urodzić?”. Mówię: „Zaczniemy od 1 stycznia”. A ten taki inteligentny był, że skończył na 31 lutego.

Ale już miały akty urodzenia, teraz kwestia, gdzie je będą trzymać. Lud Baka mieszka w szałasach, jak leje, to przeciekają listki. Mówię dziecku: „Plastikowa buteleczka po witaminach to jest twoja szafa. Trzymaj tam akt urodzenia i świadectwa”. Tak to żyją Baka – szlachetne plemię.

Ale rozpijają ich. Wszystko przez to, że w lasach nie ma już małp czy innych zwierząt, które można zjeść – np. słonia. Zapro-

sili mnie kiedyś na święto lasu. Wtedy zabijają słonia, jedzą go potem dwa tygodnie. Ciekawa byłam, jak go przechowują, przecież nie mają lodówek. Okazało się, że zakopują mięso głęboko w ziemi w liściach, które odstraszaają zwierzątka.

Jak się poluje na słonia? Przebijają mu się maczetą brzuch, jelita zawiązują lianami do drzewa i słoń jak idzie, to te jelita gubi, aż padnie. Baka idą za nim i już bez walki go mają. Prymitywnie, ale z głową.

Lekcja od szczura

I od szczura można katechezę dostać. Dawniej, jak widziałam ludzi, co mieli wyżarte uszy i policzki, to sobie w sercu myślałam: „Aleś się musiał zachlać, żeś nic nie czuł”. Nie po katolicku myślałam. A tu kiedyś budzę się w nocy, nogi mokre, patrzę, czy deszcz nie leci z sufitu. Nie leci, ale nogi czerwone. Na gzymsie siedzi szczur. Taaaaki długi, a ogon jeszcze dłuższy. Dwie dziury mi wygryzł pod stopą. Potem się dowiedziałam, że szczur, zanim ugryzie, dmucha i znieczula ciało.

Taką to dobrą lekcję miałam, żeby nie osądzała innych.

© KATARZYNA URBAN



Każdy z nas ma „swoją” ekspozycję, coś, co zrobiło na nim najmocniejsze wrażenie i zabolowało szczególnie.

Podczas konserwacji obuwia trzymałam w ręku dziecięcą sandałkę z wyraźnie odcisniętym w jego wnętrzu śladem stópki.

Jolanta Banaś-Maciaszczyk z Muzeum Auschwitz-Birkenau, Odcisk stópki

pamięć leczy rany

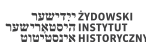
Najlepsze teksty o najtrudniejszej relacji

Wydanie specjalne „Polska Żydowska” **do kupienia** w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą oraz w e-wydaniu na powszechny.net/polskazydowska

weź, czytaj!

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNERZY WYDANIA





Domenico Ghirlandaio, Powołanie apostołów Piotra i Andrzeja, 1481 r.

refleksję: tu i teraz, w drugim tygodniu Wielkiego Postu roku 2019.

Czego szukam w moim życiu duchowym? Jaka jest moja najgłębsza motywacja? Dlaczego podejmuję (jeśli podejmuję) wielkopostne praktyki religijne? Czego oczekuję od mojego Mistrza i czy w ogóle czegoś oczekuję?

Pytanie Jezusa może nas wyrwać z drzemki religijnych rytuałów i przyzwyczaję. Czemu ma służyć przeżywanie kolejnego Wielkiego Postu? Owszem, jest to czas szczególny całego Kościoła. Czy stoi jednak za nim nasze osobiste pragnienie i poszukiwanie? Czy w praktyki wielkopostne nie wpadamy niejako z rozpędu?

W środę popielcową posypano nam głowy popiołem. Przypomina nam się nagle, że powinniśmy podjąć jakieś postanowienia. „Co tym razem” – gorączkowo rozmyślamy. „To samo, co w zeszłym roku? Nie będę czegoś jadł lub pił? Nie będę czegoś oglądał w telewizji lub internecie? Nie będę czegoś robił?”. Ale po co i dlaczego? Czego się po tym spodziewamy i czemu właściwie miałyby to służyć?

Wydaje się, że można także „przejąć” w inną stronę i pościć z pobudek egocentrycznych, w nadmiernym skupieniu na sobie. Czasem po to, by poczuć się lepszym od innych i poszukiwać stanu idealnego, pragnąc osiągnąć kolejny stopień „doskonałości”.

Ludzie podejmują niekiedy ekstremalny wysiłek po to, by ich ego mogło wbić charygiewkę z własnym podpisem, na kolejnym zdobytym szczycie. U podstaw ich praktyk religijnych stoi perfekcjonizm, ale także subtelne odrzucenie samych siebie. W skrajnym przypadku postanowienia wielkopostne mogą się stać formą autoagresji, w której rozczarowane Ego wymierza stosowną karę.

Zatrzymajmy się zatem chwilę, aby usłyszeć pytanie Jezusa: „Czego szukacie?” i odnieść je do siebie. Tak jak w poprzednim tygodniu zapraszamy Cię, Drogi Czytelniku, do małego ćwiczenia duchowego. Jeśli chcesz, przeczytaj jeszcze raz fragment Ewangelii, który rozważamy, i pobądź z nim chwilę w ciszy, a następnie spróbuj odpowiedzieć pisemnie na pytanie Jezusa. Spróbuj zrobić to konkretnie, abyś mógł zobaczyć na kartce własną odpowiedź i by ona... przemówiła do Ciebie. ©

MONIKA I DIAKON MARCIN GAJDOWIE
są małżonkami od 28 lat, rodzicami czworga dzieci, terapeutami i rekolekcjonistami.

Pytanie o cel

MONIKA I MARCIN GAJDOWIE

Oto paradoks: ludzie zużywają dużo energii, by zmienić coś, na co nie mają wpływu, a to, co zmienić by mogli, pomijają.

PRZEZ KOLEJNE TYGODNIE WIELKIEGO Postu rozważamy fragment Ewangelii św. Jana, mając nadzieję, że spotkanie ze Słowem rzuci nam światło na nasze życie wewnętrzne. Dzisiaj druga część. Pogrubioną czcionką zaznaczamy zdanie, nad którym chcemy się tym razem pochylić.

„Dwaj uczniowie (...) poszli za Jezusem. **JEZUS ZAŚ ODWRÓCIWSZY SIĘ I UJRZAWSZY, ŻE ONI IDĄ ZA NIM, RZEKŁ DO NICH: »CZEGO SZUKACIE?»**. Oni powiedzieli do Niego: »Rabbi! – to znaczy: Nauczycielu – gdzie mieszkasz?«. Odpowiedział im: »Chodźcie, a zobaczycie«. Poszli więc i zobaczyli, gdzie mieszka, i tego dnia pozostali u Niego” (J 1, 37-39).

Jezus odwraca się i widzi uczniów, którzy idą za Nim. Jego spojrzenie sięga głęboko. Jezus widzi serce człowieka, jego nadzieje i obawy, wszystko to, co go kształtowało i doprowadziło do chwili obecnej. W innym miejscu Ewangelii Janowej czytamy, że Jezus „wszystkich znał” i „wiedział, co się w człowieku kryje” (por.

J 2, 24-25). Rabbi widzi nawet to, czego uczniowie sobie nie uzmysławiają, widzi ich ukryte motywacje. Traktując poważnie swoich uczniów, zadaje im kluczowe pytanie: Czego szukacie?

Pytania o cel są cenne, ponieważ pomagają transformować nasze potrzeby w działanie. Takie pytania stawia się zwykle na początku terapii. Doświadczający bólu pacjent słyszy pytanie o tzw. zlecenie, które pozwala mu też uzmysłowić sobie, że nie wszystko można zmienić. Są sprawy, które powinien zaakceptować, bo nie zależą od niego. Dopiero po takim rozróżnieniu pojawia się możliwość podjęcia odpowiedzialności. Wiele chce tego uniknąć. Woleliby, aby lekarz wyjął czarodziejską różdżkę i zrobił coś bez wysiłku z ich strony. Zdarza się również, że ludzie zużywają dużo energii, by zmienić coś, na co nie mają wpływu, a to, co zmienić by mogli, pomijają.

Jezus zaprosił uczniów podążających za Nim do przemyślenia pobudek, które nimi kierują. Spróbujmy podjąć podobną

SZYMON

Hołownia: Z przerażeniem



ZNOWU PISAĆ O TYM SAMYM? JAK TU NIE PISAĆ, kiedy różnieniec się człowiekowi w kieszeni prostuje na widok Episkopatu swojego Kościoła, publicznie popełniającego wizerunkowe (a przy okazji moralne) seppuku? Napisałem już na Facebooku o nieszczęsnej

konferencji prasowej Konferencji Episkopatu Polski z ubiegłego czwartku, poświęconej raportowi o molestowaniu seksualnym dzieci w polskim Kościele. Sugerowałem tam, że jeśli ktoś oczekiwał twardych dowodów na istnienie inteligentnego życia na innych planetach, to właśnie je otrzymał.

Bo po czymś takim trudno uznać, że KEP żyje na tej samej planecie, co zdecydowana większość tych, którzy jej wierchuszki słuchali i ją oglądali.

Zaufanie do hierarchii

W tym naszym branżowym katoświecie, w którym aż duszno od kościelnej, ezopowej nowomowy, unikającej nazwisk, zmiękczającej wszystko tak, by ostatecznie każde słowo można było rozumieć na 107 sposobów (no, chyba że chodzi o coś, co przychodzi z zewnątrz i co uważamy za zagrożenie, bo wtedy nasi pasterze potrafią być radykalni *a vista*) – trzeba się ćwiczyć w trudnej sztuce mówienia rzeczy wprost. Wprost więc mówię: szanuję arcybiskupa Stanisława Gądeckiego za wykazywany przezeń wiele razy zdrowy rozsądek i stanowczość (np. w sprawie uchodźców czy dialogu katolicko-żydowskiego). Z uwagą też czytałem i słuchałem, gdy mówi o Biblii, w końcu jest od niej nielichym fachowcem. Nie umiem jednak nie stwierdzić, że jego wystąpienie na wspomnianej konferencji – i to jeszcze w roli nowo wybranego (po raz kolejny) przewodniczącego KEP – było po prostu żenujące.

To było naprawdę ostatnie miejsce i ostatni czas na snucie spiskowych teorii o baronach przemysłu antykonceptyjnego, doprowadzających do wczesnej seksualizacji dzieci. Na przekonywanie, że Kościół tyle robi, żeby sobie poradzić z pedofilią we własnych szeregach, a – patrzcie państwo – co robią inni (w domyśle: nic nie robią). Na to wyrażanie troski o „autorytet Kościoła”, na utyskiwanie, że podważa się „zaufanie do hierarchii”.

Księżę arcybiskupie, jakich medialnych, społecznych, ale też i moralnych doradców trzeba mieć, by w chwili, gdy wszyscy (poza samymi biskupami) czekają na proste, jasne, twarde, krótkie słowa: na krzyk przyjaciół Boga, który został w tych gwałconych na plebaniach dzieciach poniżony, pobity, zbrukany – martwić się o „zaufanie do hierarchii”? Żeby rozwijać kobieriec refleksji, z którego wynika, że w zasadzie wszędzie się dzieci krzywdzi, krzywdzi się je na setki rozmaitych sposobów, a wszyscy tylko Kościoła się czepiają, gdy przecież tymczasem

Kościół ma tyle wspaniałych procedur i dokumentów, gdy Kościół był łaskaw (o wiele lat za późno) powołać „delegatów”? Zaprawdę, ludzka niewdzięczność i, ma się rozumieć, podstępna kreatywność wrogich sił nie znają granic.

Oczywiście, ksiądz arcybiskup wspomniał też o swoich rozmowach z ofiarami księży pedofilów. Mam jednak – i wielu oburzonych tak jak ja katolików, którzy dali temu wyraz w przestrzeni publicznej – wrażenie, że z całości tej wypowiedzi wynikało, iż największymi ofiarami pedofilów w sutannach, osobami, którym należy się największe współczucie i wyrozumiałość, są – zarządzający bądź co bądź ich służbowym losem, formujący ich i mający w ręku narzędzia do ich unieszkodliwiania – czcigodni księża biskupi.

Stanowisko stanowcze

Z kolei wypowiedź zastępcy przewodniczącego KEP abp. Marka Jędraszewskiego (także wybranego właśnie na następną kadencję) z pewnością prezentowana będzie studentom jako modelowy przykład zarządzania kryzysowego, które ów kryzys w doskonały sposób pogłębia. Hierarcha ten, któremu nieodparty przymus odbycia pielgrzymki do Fatimy uniemożliwił doczekanie do końca watykańskiego szczytu w sprawie pedofilii w Kościele, wyjaśnił podczas konferencji, iż hasło „zero tolerancji”, choć używane wcześniej w tym samym kontekście przez ten sam Episkopat, wywodzi się tak naprawdę z ideologii hitlerowskiej i komunistycznej.

Arcybiskup Jędraszewski nie pierwszy raz zdradza, że o ile z pewnością sprawdziłby się jako niszowy felietonista ultraprawicowego portalu, względnie opiekun kółka historycznego w liceum (ale wtedy miej Boże w opiece młodzież z teje szkoły), o tyle nie ma niestety za grosz umiejętności współczucia i współsłuchania z osobami spoza jego politycznej i ideologicznej bańki – chociaż jest to, jak się zdaje, fundamentalna kompetencja w religii misyjnej, którą jest chrześcijaństwo.

Znam jego absurdalne enuncjacje smoleńskie, jego kwieciste apoteozy żołnierzy wyklętych (i dla jasności: nie mam wątpliwości, że arcybiskup jest szczerym patriotą, szkoda jedynie, że uzasadnienia dla swojego patriotyzmu buduje na tendencyjnych przekazach). Ale nawet mnie, nawykłego już do przekonania wielu polskich hierarchów, iż w sakramencie święceń biskupich otrzymują w pakiecie z piuską i pierścieniem charyzmaty dziennikarskie, polityczne, pedagogiczne, a nawet medyczne, zaskoczyła ta parahistoryczna gra skojarzeń.

Nie wiem, co się jeszcze musi stać, jak bardzo muszą opustościć lekcje religii w polskich szkołach, listy zapisów na mini-stranckie wycieczki z księdzem, a wreszcie i kościelne ławki, żeby do Konferencji Episkopatu Polski dotarło, że naprawdę nikogo nie interesuje stanowisko (tym razem błyskawicznie stanowcze) polskich biskupów w sprawie karty LGBT+ i że nie będzie nikogo interesować ich stanowisko w żadnej innej sprawie, dopóki porządnie, po Bożemu, nie załatwią tej. Bo chrześcijaństwo to wezwanie do radykalizmu w praktycznie każdej sferze życia. Jaki tytuł do mówienia o ewangelicznym radykalizmie mają ludzie, którzy właśnie unikają go publicznie jak ognia? Którzy rozmydlają historyczno-społeczną eseistyką ostre jak brzytwa przesłanie Franciszka, ba – przesłanie Ewangelii, w myśl której wszystko, co po „ale” („Będziemy stanowczo walczyć z pedofilią, ale...”), nie ma żadnego znaczenia?

Korporacyjna lojalność

Pisałem o tym na tych łamach naprawdę już tysiąc razy. I pisałem też o tym, że tysiąc razy już pisałem. Ale napiszę raz jeszcze: przez swoje zawsze niekonkluzywne zebrania, śmiertelnie nudne listy, totalne pogubienie się w kontredansie, w którym jedni jego członkowie tak mocno kochają PiS, że gdyby nie ce-

libat, to kto wie, jak by się to mogło skończyć, inni zaś – ale delikatnie, ale subtelnie, „żeby nie tworzyć wrażenia, iż łamiemy jedność” – próbują sprowadzić ich z powrotem na ziemię, polski Episkopat zrobił w ostatnich latach wszystko, żebym ja, bądź co bądź dość zaangażowany w życie wspólnoty katolików, stracił wiarę w Kościół, w jego instytucje.

To szczęście, że w tym Kościele są jeszcze biskupi tacy jak prymas Wojciech Polak, który jako jedyny na tej nieszczęsnej konferencji dowiódł, że wie, o czym ona jest. I że rozmawia o tej sprawie z kimś jeszcze spoza otorbiającego zwykle biskupów korowodu klakierów w koloratkach, drukującego im gazety w jednym egzemplarzu. Wiem dobrze, że prymas nie jest w tym gronie jedyny. Ale czekam, aż wreszcie korporacyjna lojalność ustąpi w głowach takich hierarchów miejsca świadomości, że nie mają oni być lojalni wobec swoich kolegów po piuskach, lecz i wobec nas, którzy patrzymy na to, co się dzieje, z rosnącym przerażeniem.

Mnie z Kościoła nie przegonicie, żebyście nie wiem jak się starali. Przeciwnie, Kocham go jeszcze bardziej, widząc, jak go krzywdzicie. Po tym, co zobaczyłem w czwartek, natychmiast zgodziłem się na wszystkie zaproszenia w teren, do szkół, do parafii, żeby mówić tam, jak wspaniały może być Kościół, ile w nim może być życia, pokazywać, gdzie ja znajduję w nim tlen. Bo żaden Soros, Tusk, Juncker ani producenci antykoncepcji nie zrobili tyle dla laicyzacji w Polsce, co ta jedna konferencja prasowa naszych biskupów. Co ten pokaz ich syndromu oblężonej twierdzy, gdy trzeba było bezwarunkowo przeproszać, pokazywać ludzką twarz, ludzkie emocje, płakać ze skrzywdzonymi i odruchowo – jak Samarytanin – opatrywać ich rany.

Jeżeli katolickie matki, należące do Domo-wego Kościoła, piszą do mnie dziś, że to już koniec, że przestają posyłać dzieci na religię, to znaczy, że przekroczyliśmy właśnie Rubikon, który jeszcze dziesięć lat temu był nawet nie do pomyślenia. Idąc za waszym, Czcigodne Eksce-lencje, przewodem. ©

To szczęście, że są jeszcze biskupi tacy jak prymas Wojciech Polak, który jako jedyny na tej nieszczęsnej konferencji dowiódł, że wie, o czym ona jest.

Na zdjęciu: prymas na mszy podczas zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski, Warszawa, 13 marca 2019 r.



KOCHAMY SIĘ KOCHAĆ

Prawie dwie dekady obecności Amerykanów zmieniły Afganistan. Wyrośli pokolenie, które wierzy, że należą mu się demokracja i swobody obywatelskie. I jest gotowe o nie walczyć.

PAWEŁ PIENIAŻEK Z KABULU

MINA REZAJI ZASTANAWIA SIĘ, CZY PODJĘŁA właściwą decyzję.

Ta 29-letnia mieszkanka Kabulu rok temu otworzyła kawiarnię. Lokal nosi angielską nazwę Simple. Niedawno Mina zdecydowała, że warto kawiarnię rozbudować.

Tymczasem w lutym przedstawiciele afgańskich talibów spotkali się w Moskwie z byłym prezydentem Afganistanu Hamidem Karzajem i jego otoczeniem. Ma to być „konkurencyjny” proces pokojowy wobec tego, który rozpoczęli Amerykanie: oni rozmowy z talibami prowadzą już od dawna, a gościny udziela im jeden z emirów Zatoki Perskiej.

Mina się boi

Gdy więc w stolicy Rosji Karzaj debatował z ludźmi, którzy nie kryją, że chcą na powrót objąć władzę i zaprowadzić islamskie prawo w jego surowej interpretacji, w stolicy Afganistanu Mina Rezaji zastanawiała się, czy podjęła właściwą decyzję.

– Bałam się bardzo – opowiada. – Trudno jest przewidzieć przyszłość.

Rezaji nie sądzi, aby doszło do walk o Kabul, w wyniku których talibowie mieliby zająć miasto – jak wtedy, w latach 90., gdy walki między różnymi „obozami” mudża-

hedinów doprowadziły stolicę do ruiny (Rezaji miała wtedy kilka lat).

Kobieta boi się raczej rezultatów procesu pokojowego. Amerykanie, którzy od miesięcy spotykają się w stolicy Kataru z przedstawicielami talibów, dążą do tego, aby wycofać swoje wojska w jak najkrótszym czasie. Tak deklaruje, otwarcie już, prezydent Donald Trump (jego poprzednik również chciał ograniczyć zagrażające misje wojenne, ale choć z Iraku wycofał wojska, to w przypadku Afganistanu Obama wahał się do końca).

Aby jednak tak się stało, Stany muszą zawrzeć pakt z fundamentalistami – tymi, którzy najchętniej widzieliby kobiety zamknięte w domach, a nie prowadzące biznes.

Mimo to Rezaji skończyła remont lokalu. Teraz Simple jest sporą kawiarnią z kilkunastoma stolikami. Często jest w niej tłoczno, głównie spotykają się tu młodzi ludzie. Ściany zdobią obrazy. Także grafiki. Jedną z nich to kopia znanej pracy artysty ulicznego Banksy’ego: zamaskowany mężczyzna w czapce z daszkiem rzucający bukiet kwiatów.

Półki z książkami i kaktusami oddzielają mężczyznę w czapce od długiego cytatu z filozofa Michela Foucaulta, w je-

zyku angielskim: „Może powinno być też powiedziane to, że kochanie się to czucie czyjegoś ciała blisko siebie. (...) Gdy czyjeś palce muskają twoje ciało, wszystkie niewidzialne części twojego ciała zaczynają istnieć. (...) I jeśli (...) kochamy tak bardzo się kochać, to dlatego, że w miłości ciało jest tutaj”.

Foucault wypowiedział te słowa podczas audycji radiowej dotyczącej utopii ciała. Dla tradycjonalistycznego Afganistanu brzmią jak świętokradztwo.

Żywny grunt

Afganistan, w którym mieszka dziś niemal 35 mln ludzi, jest – pod względem demograficznym – jednym z najmłodszych



RAHMAT GUL / AP / EAST NEWS



W Międzynarodowym Dniu Kobiet afgańscy artyści malują graffiti na ścianie Ministerstwa ds. Kobiet. Kabul, 8 marca 2019 r.

krajów świata. Mediana wieku wynosi 19 lat, co oznacza, że połowa mieszkańców kraju jest młodsza, a druga połowa starsza. Dla porównania: w Polsce mediana wynosi 41,1 lat.

Szacuje się, że aż 70 proc. Afgańczyków jest poniżej trzydziestki. Spędzili oni całe życie lub jego większość w czasach, gdy w Afganistanie stacjonowali już Amerykanie i ich sojusznicy. Czyli po zamachach Al-Kaidy w Stanach Zjednoczonych we wrześniu 2001 r. oraz po tym, jak talibowie odmówili Amerykanom wydania Osamy bin Ladena.

Zachodnia koalicja wraz z lokalnymi sojusznikami, jak Sojusz Północny, w październiku 2001 r. błyskawicznie

rozgromiła reżim talibów i ustanowiła przyjazny dla siebie rząd. Wkrótce jednak rebelia talibów wybuchła na nowo. Od lat rosła w siłę, a w 2018 r. fundamentaliści kontrolowali już niemal połowę kraju.

Tymczasem, choć brakuje danych, które określiłyby całościową pomoc Zachodu dla Afganistanu, to wiadomo, że z zewnątrz wpompowano w ten kraj niespotykane dotąd środki. Tylko z programu USAID w latach 2001-17 przeznaczono na wsparcie militarne i rozwojowe 104 mld dolarów. Choć trudno też oszacować, jaka część z tych sum została wykorzystana we właściwy sposób, a ile pochłonęły złe zarządzanie i korupcja.

Pieniądze przeznaczano nie tylko na pomoc humanitarną, ale też na promowanie wartości bliskich Zachodowi oraz światowym organizacjom pomocowym. W Afganistanie dużo zaczęto więc mówić o liberalnej demokracji, o prawach człowieka, a w szczególności o prawach kobiet, o wolności prasy i wolności słowa. Pod wpływem zagranicy ustanowiono konstytucję, podyktowaną według tych zasad. Próbowano wprowadzać szkolne i uniwersyteckie programy zgodne z duchem zachodnich wartości.

Chociaż chaotyczna i często nieskuteczna pomoc w wielu przypadkach była porażką, to dzięki niej powstały w kraju „wyspy”, które chętnie rozwijały się →



Kawiarnia Simple, Kabul, luty 2019 r.



Uchodźcy wewnętrzni z prowincji Lahman od lat żyją w glinianych domach, ogrzewanych jedynie przez piec koź; w tle nowe osiedle. Kabul, luty 2019 r.

→ zgodnie z tym duchem. Obecnie młodzi z tych „wysp” marzą o tym, aby zmiany w kraju, które zaszły w ciągu ostatnich dwóch dekad, zachować za wszelką cenę.

Nie chcą też na nich poprzestawać. Angażują się w politykę, pracują i tworzą swoje media, działają w organizacjach pozarządowych. Interesują się polityką, nauką i sztuką. Chcą zmieniać kraj.

– Amerykanie stworzyli nam warunki, ale to my, Afgańczycy, wykorzystaliśmy tę okazję – twierdzi Mina Rezaji.

Każdy siada, gdzie chce

Właścicielka kawiarni Simple zdaje sobie sprawę, że pod rządami talibów otwarcie takiego lokalu byłoby niemożliwe.

Rządzili oni Afganistanem w latach 1996–2001. Ich dojście do władzy zakończyła wojnę domową, która wybuchła po tym, jak w 1989 r. kraj opuściła

armia sowiecka, a wkrótce potem upadł komunistyczny rząd, pozbawiony jej wsparcia.

Talibowie wykorzystali podziały między niedawnymi zwycięzcami – i sięgnęli po władzę. Zaprowadzili porządki, kierując się purytańską wersją prawa islamskiego. Kobiety zamknięto w domach, a jeśli już wychodziły, musiały być ukryte pod burkami. Poza nielicznymi wyjątkami, zostały pozbawione dostępu do edukacji i pracy.

Talibowie zabronili świeckich nauk w szkołach. Policja religijna pilnowała, by wszyscy modlili się pięć razy dziennie. Prowadzono egzekucje i stosowano brutalne kary, jak obcinanie rąk oskarżonym o kradzież. Muzyka, filmy, a także zdjęcia czy obrazy przedstawiające postacie ludzkie były zabronione – tak nakazuje szariat. Mężczyźni musieli zapuścić brody, ina-

czej czekał ich areszt. Siedzieli tak długo, aż wyhodowali odpowiednio długi zarost.

Rezaji i jej lokal reprezentują wszystko to, z czym walczyli talibowie. Poza zachodnią sztuką i filozofią, sam biznes oparty jest na wartościach, które fundamentaliści uznają za wrogie. Rezaji uwielbia kawę. Choć w kraju króluje zielona herbata – która także w Simple cieszy się wielką popularnością – kobieta chciała, aby w 5-milionowym Kabulu można było znaleźć miejsce, w którym serwuje się dobrą kawę.

Rezaji otworzyła Simple, bo brakowało jej klimatu kawiarni. W wielu lokalach z dłuższym stażem wydzielone jest specjalne pomieszczenie dla kobiet i dla rodzin. W Simple każdy siada, gdzie chce.

– U nas mężczyźni i kobiety mogą przychodzić razem, rozmawiać, pić kawę i jeść. To jest przyjazne terytorium. Kobieta jest właścicielką i kobiety mogą tu pracować. Tutaj możesz robić, co tylko chcesz, jesteś wolny. Jeśli kobiety chcą nosić hidżab, to go noszą, a jeśli nie, to go zdejmują. Nie jest to problem. Kobiety muszą mieć własne zdanie – wyjaśnia Rezaji.

Sama siedzi bez hidżabu. I rzeczywiście nie zwraca to niczyjej uwagi. Nikt jej tu nie ocenia. Każdy zajęty jest swoimi sprawami. Mężczyźni i kobiety (choć wszystkie inne mają zakryte włosy) rozmawiają, popijają kawę i herbatę, przyglądają się czemuś na ekranach komputerów i telefonów. Albo czytają książki.

Rezaji mówi, że to specyficzna okolica, w której można pozwolić sobie na więcej. Poza kampusem Uniwersytetu Kabuńskiego jest tu kilka redakcji, organizacji pozarządowych oraz biur różnych firm. To też stamtąd biorą się jej goście. Jak mówi, są to ludzie o „otwartych umysłach”, którzy lubią kulturę kawiarnianą.

Głodni zmian

Z Widą Saghari spotykamy się w innej kawiarni, niedaleko Simple.

Przychodzi wraz z grupą kobiet, z których każda wyciąga rękę do uściśnięcia. Już w ten sposób demonstrują swoją pozycję. W Afganistanie kobiety rzadko witają się w ten sposób.

Saghari ma 32 lata. Jest znaną działaczką na rzecz praw kobiet, prowadzi programy telewizyjne, a w 2018 r. kandydowała do parlamentu. Mimo ustanowionej kwoty dla kobiet, którym przypada 68 z 249 miejsc, nie otrzymała mandatu. Twierdzi jednak, że to nie koniec, i że będzie startowała w kolejnych wyborach. Zależy jej na

tym, bo chce pozyskać trybunę dla tej najaktywniejszej części społeczeństwa, która jest głodna zmian i marzy o świeckim, demokratycznym państwie.

– Jest nas mniej niż 20 procent. A tych naprawdę aktywnych mniej niż jeden procent – twierdzi Saghari.

Mimo to sądzi, że jest ich wystarczająco dużo, aby zmienić Afganistan. Dlatego protestuje, występuje w mediach i próbuje sił w polityce.

Miała 15 lat, gdy talibowie zostali obalen. Pamięta, co się stało z kobietami za ich czasów. Nie chce, aby doszło do powtórki, jeśli fundamentalści dogadają się z rządem. Dlatego przełamuje tabu i usiłuje wpływać na prawodawstwo i polityków.

– W ciągu tych pięciu lat, gdy talibowie rządili, uczynili wiele zła – mówi. – Potrzebujemy zmian, chcemy ich i walczymy o nie.

Na rozmowę ze mną przychodzi w hidżabie, ale zapewnia, że po ulicy często chodzi bez niego, nie zważając na karcące spojrzenia przechodniów.

Saghari jest jedną z nielicznych kobiet w Afganistanie, która w niemal ciągle zakorkowanym Kabulu prowadzi samochód, choć po ślubie mąż kazał jej siedzieć w domu i zabraniał pracować. Nie podołało mu się, że była dziennikarką.

– Mężczyźni traktują nas, jakbyśmy byli ich własnością – mówi Saghari.

Znosiła to cztery lata, ale wreszcie powiedziała „dość”. Po trzyletniej batalii w sądzie uzyskała rozwód, a do tego zachowała prawo do opieki nad dwójką dzieci. Zazwyczaj to mężczyzna dysponuje prawem do rozwodu, to z nim zostają też synowie i córki.

Saghari ma nawet psa, choć w Afganistanie mało kto patrzy na to przychylnie i sąsiedzi nalegają, by się go pozbyła.

Miejsce dla siebie

Saghari zdaje sobie sprawę, że ze względu na swoją pozycję może więcej. Jest rozpoznawalna, więc trudniej ją skrzywdzić. Rozumie, że „szklany sufit” w Afganistanie wisi bardzo nisko, a na własnej skórze odczuwa, jak trudne jest jego przebijanie. Czuje się obca we własnym kraju.

– Ciągłe się boję. Nie mogę spać po nocach. Pod poduszką mam broń, a przy sobie noszę paralizator. W domu założyłam kraty, a w nocy po trzykroć sprawdzam zamki. Już mam siwe włosy – Saghari dotyka głowy, jakby na potwierdzenie swych słów.

W zasadzie tylko w centralnych dzielnicach Kabulu, które są najbezpieczniejsze, może poruszać się samochodem, chodzić bez hidżabu i czuć się swobodnie. O innych częściach miasta, nie mówiąc o reszcie kraju, w ogóle nie ma co wspominać.

Na rozmowę przyjechała autem ojca, bo swoje musiała sprzedać. Napastnicy już

rozpoznawali pojazd. Któregoś dnia, gdy była z wizytą u przyjaciółki, jacyś mężczyźni zaczęli krążyć w nocy przed budynkiem. Krzyczeli, by otworzyła drzwi. Chcieli ją ukarać za to, że jeździ samochodem. Kręcili się jeszcze w okolicy przez trzy godziny, aż wreszcie zniknęli.

W trakcie kampanii wyborczej w 2018 r., gdy Saghari jechała samochodem, grupa mężczyzn zagroziła jej drogę. Celowali do niej z broni i kazali wyjść z auta. Saghari zaczęła z nimi rozmawiać. Próbowala zyskać czas, by wokół zebrali się ludzie. Napastnicy spłoszyli się i uciekli.

Wielokrotnie próbowano ją skrzywdzić. Twierdzi, że za każdym razem nie byli to talibowie, tylko zwykli ludzie. Ale gdy stwierdzam, że to nie brzmi optymistycznie, okazuje się, że moje rozmówczynie są innego zdania.

– Jestem optymistką, bo wciąż tu jestem. Nie wyjechałam – Saghari odpowiada bez namysłu.

A mogła to uczynić. Podobnie jak milion Afgańczyków, którzy opuścili kraj w różnych okresach trwającej od ponad 40 lat wojny.

Saghari wierzy, że z pomocą podobnych sobie uda jej się zmienić kraj na lepsze: – Talibowie nie mogą zrobić państwa bardziej islamskim, bo już się bardziej nie da – twierdzi. – To my próbujemy zdobyć w nim trochę miejsca dla siebie.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Kabul, luty 2019 r.



Głosy wolności

MARCIN ŻYŁA Z KIJOWA I DONBASU

Znaczna część ukraińskich mediów jest w rękach oligarchów, którzy traktują je jak tuby propagandowe. Niezależne dziennikarstwo to niepewność. Nie tylko z powodu pieniędzy.

KIEDY KIRIŁO ŁUKIERENKO SIADA PRZED mikrofonem, nigdy nie jest pewien, do kogo mówi ani kiedy i gdzie zostaną wysłuchane jego słowa. Zresztą w kijowskiej siedzibie Radia Hromadske, jednej z najważniejszych niezależnych rozgłośni na Ukrainie, nic do końca nie jest pewne.

Wielkość zespołu zależy od pieniędzy, gdyż redakcja ma status organizacji pozarządowej i utrzymuje się głównie z zagranicznych grantów. – Dziś pracuje u nas 50 reporterów i realizatorów. Gdy dostajemy wyższe dotacje, bywa nas nawet trzykrotnie więcej – mówi Łukierenko, dyrektor radia. Opiera się o ścianę studia, wyłożoną panelami pochłaniającymi dźwięk. Ubrany w ciemny golf, żywo gestykułuje, w przycienionym i wyciszonym pomieszczeniu bardziej przypominając aktora niż dziennikarza i menedżera.

Radio rebelianckie

Podobnie jak aktorzy, Łukierenko i jego zespół muszą improwizować.

Radio Hromadske powstało w 2002 r., ale długo miało pecha: najpierw jego założyciel Ołeksandr Krywenko zginął w wypadku samochodowym, potem przez wiele lat rozgłośni brakowało pieniędzy. Na dobre ruszyła ponownie dopiero po Majdanie, gdy stało się jasne, że bez wolnego dziennikarstwa nie ma demokracji.

– Naszym celem jest dostarczanie Ukraincom rzetelnej informacji, takiej, na jaką zasługują – deklaruje Łukierenko. Kłopoty mediów, jak twierdzi, nie kończą się na politycznym wpływie oligarchów, właścicieli wielu redakcji: – Problem jest bardziej zło-



MARTYN AIM / CORBIS / GETTY IMAGES

„Od tych wyborów zależy wszystko” – mówią lokalni dziennikarze.
Na zdjęciu: wiec poparcia dla Julii Tymoszenko, Siewierodonieck, październik 2018 r.

zony. Oligarchowie są tak bogaci, że nie muszą dbać o rentowność swoich mediów, do większości dopłacają. Nie zależy im na ich rozwoju, one są dla nich tubą propagandową. To demoralizuje i tłamsi kreatywność dziennikarzy, wpływa na jakość tekstów i programów.

Zanim przyszedł do Radia Hromadske, Łukierenko pracował w Sekcji Ukraińskiej BBC, był też korespondentem niemieckiej agencji DPA w Europie Wschodniej. Wiedział, że zanim nadeszła era internetu w telefonach komórkowych, to właśnie rozgłosie radiowe były najbardziej rebelianckie, to dzięki nim było najbliżej wolności.

Było tak w Serbii, gdzie opozycyjne radio B92 odegrało dużą rolę w obaleniu Slobodana Miloševića. Albo w Rosji, gdzie Radio Echo Moskwy nadawało rozmowy z działaczami Memoriału. Coś podobnego zamarzyło się Łukierence na Ukrainie.

Dziennikarstwo kryzysowe

700 kilometrów na wschód od Kijowa, w Siewierodoniecku – mieście w obwodzie ługańskim, niedaleko terytoriów okupowanych przez rosyjskich separatystów – właśnie kończy się briefing prasowy. Miejsce nietypowe: największy pokój mieszkania na parterze bloku z wielkiej płyty, na przedmieściach.

W takich warunkach od kilku lat działa tu Ukraińskie Centrum Dziennikarstwa Kryzysowego: niezależna organizacja, której celem jest zapewnianie informacji lokalnych, walka z fake newsami, monitorowanie lokalnych mediów oraz kampania na rzecz wolności słowa.

Olena Nyżelska, szefowa organizacji: – Kiedy po kilku miesiącach okupacji przez separatystów, latem 2014 r. oddziały ukraińskich ochotników odbiły Siewierodonieck, grupa zaangażowanych obywateli założyła organizację, która sprzeciwiała się kampanii dezinformacji prowadzonej przez Rosję i jej sprzymierzeńców. Ale przy okazji zadbałaby o informacje lokalne: patrzyłaby władzy na ręce, donosiła o lokalnych wydarzeniach, namawiała obywateli do zrzeszania się. To też jest walka – mówi Nyżelska.

O to wszystko niełatwo, bo choć na Ukrainie trwa właśnie tzw. prywatyzacja mediów lokalnych (do tej pory oficjalnie utrzymywanych przez władze miast, obwodów i regionów), w Siewierodoniecku nikt nie ma wątpliwości, że to fikcja – prasa i lokalne stacje pozostaną pod wpływem miejscowych polityków.

Słuchacze z internetu

W 2014 r. ekipa Radia Hromadske wynajęła dwa pomieszczenia w piwnicy głów-

nej siedziby ukraińskiego radia publicznego w Kijowie, kilka minut na piechotę od Majdanu, przejęła też stary sprzęt. Pojawiły się pieniądze: dzięki zbiórce w internecie Hromadske uruchomiło stronę z podkastami. Pod koniec 2015 r. uzyskało kilka częstotliwości i zaczęło nadawać 24 godziny na dobę (kilka godzin dziennie to audycje na żywo, potem emituje się powtórki).

Ale sukces rozgłośni polega na tym, że... do końca nie jest radiem.

Kiriło Łukierenko: – Tradycyjnego radia słuchają dziś głównie starsi, młodzież funkcjonuje w internecie. Dlatego nadajemy na żywo przez kilka godzin dziennie, a większość audycji jest do słuchania w podkastach lub na stronie. Korzystają z tego młodzi, ale i członkowie ukraińskiej diaspory za granicą. Mamy dziennikarzy także na wschodniej Ukrainie, a z naszych programów korzystają inne rozgłoszenie, którym pozwalamy emitować nasz program. Dlatego do końca nie wiemy, ilu mamy słuchaczy.

Między wschodem i zachodem

W Siewierodoniecku do ciasnego pokoju-biura wchodzi kolejni dziennikarze. Im dłużej rozmawiamy, tym więcej słyszę skarg – że problemem są nie tylko separatyści, że są także nieporozumienia po stronie ukraińskiej.

– Podział między wschodnią a zachodnią częścią kraju wcale się nie zatarł po rozpoczęciu wojny przez Rosję – mówi Olena Nyzhelska. – Dla wielu ludzi z zachodniej Ukrainy wszyscy mieszkańcy Donbasu, nawet ukraińscy patrioci, są podejrzani. Choćby przez sam fakt życia na „niepewnym” politycznie terenie. Z kolei wielu „naszych” patrzy na mieszkańców Lwowa czy Zakarpacia jak na „teoretyków”: takich, dla których wojna na wschodzie toczy się daleko, prawie w Rosji. – Ludzie tak łatwo ulegają manipulacji. A zbliżają się wybory prezydenckie, od nich zależy wszystko... – kręci głową Nyzhelska.

W Siewierodoniecku mówią, że czasem słuchają Radia Hromadske. Zwłaszcza jednej audycji: zatytułowana jest „Kijów–Donbas”, a poświęcona zasypywaniu ukraińskiego podziemia wschód–zachód. ©P

My, chłopaki z ulicy

TEKST I ZDJĘCIA PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Do Hiszpanii przybyli nielegalnie z Senegalu. Najpierw sprzedawali pokątnie podróbki, uciekali przed policją. A potem wykreowali nową miejską modę.

SIEDZĄ PRZY DUŻYM KWADRATOWYM STOLE. Każdy nachyla się nad kartką, szkicuje, skreśla. Tego popołudnia narysują: mężczyznę z workiem na plecach; twarz, po której płynie łza; dom; rozłożony na ziemi koc. Wszystko z logo: Top Manta.

Kim są? Handlarzami z ulic Barcelony. Imigrantami. Sprzedawcami w biegu. Od niedawna także aktywistami, a od teraz – projektantami mody. Narysowane wzory odbijają na koszulkach. Na dwóch ostatnich także z napisem: „Legalne ubrania, nielegalni ludzie”.

KOSZULKA 1. Dom

Daouda dom widział ostatni raz 13 lat temu. Mały, nic specjalnego. Jako dziecko wolał oglądać domy z książki do francuskiego, bo miały pokoje wypełnione zabawkami i okna, przez które widać było park. Mógł się założyć, że po takim parku nieźle się śmiga na rowerze.

Na ludzi, którzy przez okna aut wyciągali do niego ręce z cukierkami, mówił: białe anioły. Chcieli w Senegalu budować szkoły, rozdawać leki, ratować małych Afrykanów. Wtedy pomyślał, po raz pierwszy: „A może ich wyręczyć i samemu siebie uratować?”. Gdy kilkanaście lat później podjął decyzję, nikt się z nim nie kłócił. Wiedział, czego chce.

Lamine wyszedł z domu, gdy nie był jeszcze pełnoletni. Chciał ukradkiem, w tajemnicy przed wszystkimi. Ale ojciec przyłapał go, jak się pakował. Skłamał, że chce odwiedzić dziadka. Policzył, ile może zabrać w podróż, i poprosił, by do dziadka dzwonić nie wcześniej niż za 10 dni.

Znajomi ostrzegali: „Nie przyjeżdżaj, tu nie jest dobrze”. Ale on nie wierzył. A nawet jeśli, to co, on sobie nie poradzi? Zdecydował, że na własne oczy zobaczy, gdzie Messi strzela gole.

Mouhamet swój dom czasem odwiedza. Szczególnie gdy tęskni za jedzeniem matki. I tym, że na ulicy może spotkać

kumpla, z którym grał w nogę. Bez esemesów, bez umawiania się.

Gdy wybierał się w podróż, jako jedyny z tej trójki miał wizę i bilet na samolot.

KOSZULKA 2. Koc

Daouda zrezygnował po paru miesiącach. Irytował się, gdy odbierali mu towar, za który wcześniej zapłacił. Chciał przekrzyknąć policjantów, ale oni pamiętają twarze, łatwo o kłopoty. Znów wyszły z niego ten upór i nerwy. W końcu znalazł fuchę poza Barceloną. Też nie musiał mieć pozwolenia na pracę.

Mouhamet, ze studencką wizą, zapisał się na szkolenie z energii odnawialnej. Przyjęli go, ale nie dostał stypendium. A rodzinę trzeba przecież utrzymać. – Szukałem pracy, ale ludzie patrzyli na mnie i mówili: nie. Jak z dumą ich informowałem, że mówię po katalońsku, potrafili powiedzieć, że właśnie szukają kogoś, kto nie mówi – wspomina.

Sprzedawał z doskoku. Dwie, trzy godziny po szkole. Na ziemi rozkładał chustki, apaszki. Żadne znane marki. Wiedział, że jak go złapią z podróbką Louisa Vuittona, to się nie wypłaci. – To były zimowe miesiące. Prawie nikt nie kupował. Ale nie było też policji – mówi. Po pół roku dał za wygraną. Wkrótce trafiła mu się pierwsza prawdziwa umowa.

Lamine na ulicę wychodzi nadal. Wyjaśnia, jak stać się zawodowcem: – Jeśli sprzedajesz po raz pierwszy, musisz pamiętać, by ustawić się w środku i z obu stron mieć kumpli. Większa szansa, że w porę uciekniesz – tłumaczy z przejęciem, jakby opisywał zasady gry strategicznej.

Po chwili się śmieje: – Ze mnie się nabijają do dziś, bo nigdy nie wiedziałem, kiedy trzeba się zerwać. „Stary, ty zawsze biegleś w złym momencie”, tak mi mówił... Kto? Goście, którzy mi pomogli. Teraz to moi przyjaciele.

→ Przyjaciele to Senegalczyki, jak Lamine, którzy tę samą drogę przebyli chwilę przed nim. Tu mówi się na nich: *manteros*. *Manta* to po hiszpańsku koc, kawałek materiału. *Mantero* to człowiek, który ten koc zwija w worek i zarzuca na plecy.

Oni, rodacy, od razu pozwolili mu się wprowadzić. Przez pół roku nie musiał przejmować się rachunkami i jedzeniem. Spytał tylko, co wybiera. Padło na okulary słoneczne. Wtedy miało to sens, w sezonie schodzą szybko, a do tego są lekkie. Lamine: – Byłem wtedy *pequeñito*, malutki! Z workiem sportowych butów daleko bym nie pobiegł.

Czas we wspólnym mieszkaniu reguluje praca. Wcześniej budzi się ten, kto akurat ma jechać „do Chińczyka”, tj. wypełnionego podróbkami magazynu na obrzeżach Barcelony. Oplacalne jest tylko kupowanie hurtem.

– Kiedy ten z towarem wróci, doczepiamy blaszki. W worku szukasz Coco Chanel, Marca Jacobso, co tylko trzeba. Starczy trochę kleju i już – Lamine wzrusza ramionami. Tak zwykła torebka staje się ekskluzywna.

Po wyjściu z domu strategie są różne. Ci, którzy cenią spokój, wybiorą plażę, Barcelonę, gdzie mogą cieszyć się słońcem, a policja raczej nie goni. Pozostali idą na Passeig de Gràcia. Odważni staną przed sklepami, gdzie ochroniarze pilnują ubrań wartych setki euro. W tych rejonach *manteros* się nie toleruje. Towar rozkładają więc na koczach, w rogach zakończonych sznurkami. Sznurki są ważne: pozwolą jednym ruchem wszystko zgarnąć i uciekać. Jeśli policjant dogoni, skonfiskuje towar i może dorzucić karę, czasem kilka set euro.

– Jednym okiem wypatrujesz, czy wszystko okej, a jednocześnie pracujesz nad klientem – tłumaczy Lamine. – Możesz mu powiedzieć, że dziś jeszcze nic nie sprzedałeś, to zwykle działa. Ludziom się robi głupio. Współczują.

Najgorzej *manteros* wychodzą na miejscowych: ci zbijają cenę do minimum. Potwarzają, że są stąd i im „kitu się nie wciśnię”. Oni denerwują Lamine’a, ciężko na nich zarobić. Ale to im sprzedaje najczęściej. Dopiero w sezonie może liczyć na turystów i trzykrotność zwykłego zarobku. Lamine lubi zwłaszcza Brytyjczyków, podchodzi do człowieka z szacunkiem. Rzuca „*How are you?*”, nie targują się. Arabowie, Azjaci: jeśli jeden kupi, za nim cała grupa. A Francuzi są przemyślni: podejdzie taki



Mouhamet z koszulką marki Top Manta, Barcelona, luty 2019 r.

i z wyrzutem powie, że to fałszywka. No nie gadaj, człowieku, oryginały miałbym sprzedawać na kocu?!

Dzień pracy czasem trwa 8 godzin, czasem 5 minut. Lamine: – Musisz być czujny. Jeśli uda ci się uciec, to nie dlatego, że jesteś najmądrzejszy. Po prostu masz szczęście.

KOSZULKA 3. Twarz

W życiu każdego *mantero* jest co najmniej jeden taki moment.

Raczej nie chodzi o chwilę, gdy dobija do brzegu. Wtedy jeszcze wygrywa entuzjazm. Dzwoni się do rodziny, by w słuchawkę wyrzyczyć: mówiłem, że się uda!

To może przyjść później, gdy zamiast od razu szukać pracy – jak miał to zaplanowane – na 60 dni trafia do ośrodka. Tu przekonuje się, że na każdy ból jest tylko jedna recepta. Migrena, wymioty, myśli samobójcze? Lekarz zawsze poda tę samą pigułkę. Później może się to nawet wydawać zabawne: jedna tabletkę dla czarnych, na wszystko, zawsze skuteczna!

Czasem ten moment przychodzi, gdy dowiaduje się, że legalnie może pracować najszybciej za trzy lata. *Tres años* – usłyszy i będzie obracał te słowa w głowie przez kolejne miesiące. Bo trochę trudno uwierzyć.

Ta chwila może przyjść znienacka. Może wtedy, gdy po udanej ucieczce ze zgarniętym kocem wpada do wagonika metra? Przybija piątki kumplom, bo znów się udało. Dopiero gdy się rozejrzy, zobaczy, że ludzie się od niego odsuwają, a kobiety kurczowo ścisną torebki.

Albo kiedy na schodach słyszy kroki.

W 2015 r. słyszy je Mor Sylla, gdy do jego mieszkania na obrzeżach Tarragony zmierza policja. Podobno szukają człowieka, który rozprowadza fałszywki. Chwilę później Mor, 50-latek i *mantero*, wypada z balkonu. Koledzy powiedzą: spokojny, nie wdawał się w konflikty, nie miał się czego bać. Brat doda: sam by nie skoczył. Media napiszą: „Po twarzy brata płyną łzy”.

W życiu każdego *mantero* jest co najmniej jeden moment, kiedy czuje, że już mu wystarczy tej całej Europy. Że nie chce mu się więcej szarpać.

Dla Mouhameta, Lamine’a i Daoudy śmierć Mora nie była takim momentem. Przeciwnie, to był dopiero początek.

KOSZULKA 4. Mężczyzna

– Zaczęliśmy działać nagle, chyba z gniewu i strachu – Mouhamet jest przejęty. – Zwykle, gdy goniła nas policja, każdy biegł w swoją stronę. Ale jak umiera kolega, to myślisz, że może warto razem.

Już wcześniej sobie pomagali. Czasem zrzucali się na mandat, czasem na transport ciała, by przyjaciel mógł wrócić do rodziny. Teraz chcą się lepiej zorganizować: ma być sprawniej i bardziej oficjalnie. Stworzą fundusz, z którego opłacą prawników i tłumaczy, może wtedy w sądzie przestaną być niewidzialni. Żeby zebrać pierwsze pieniądze, gotują na ulicznych imprezach. Jedzenie senegalskie, tylko składniki z hiszpańskich marketów. Plany? Ambitne: będą pomagać *manteros* w zdobyciu dokumentów, a później legalnej pracy.

Zakładają *sindicato*: związek zawodowy ulicznych handlarzy.



Lamine wciąż jeszcze sprzedaje na ulicy, Barcelona, luty 2019 r.

– Na początku czuć było opór – wspomina Daouda. – Nie mają *papeles*, dokumentów, a chcą jakiś związek? Europa nie lubi, jak wyskakujesz z formy, w którą cię włożyła.

Niektórzy szybko rezygnują, nie mogą połączyć pracy na ulicy z *sindicato*. Albo boją się narazić policji. Od powstania związku jeszcze częściej się ich zatrzymuje. Na komisariacie słyszą: „Dla własnego dobra, przestańcie tyle gadać”. A oni mówią jeszcze więcej. Proponują zmiany w kodeksie karnym, żeby za sprzedaż podróbek nie groziło więzienie.

– Wszyscy chcemy, by *manteros* zniknęli z ulic – przekonuje Mouhamet. Wie, że mieszkańcy Barcelony nie chcą w drodze do pracy przeciskać się przez tłum handlarzy, czyta komentarze w sieci. – Ale mówimy o chłopakach, którzy próbują coś sprzedać, by przeżyć. Nie oni jedyni sprzedają fałszywki. Robienie z nich przestępców nie rozwiąże problemu.

Gdy w marcu 2018 r. w trakcie policyjnego pościgu na zawał serca umiera Mame Mbaye, 35-letni *mantero* z Madrytu, członkowie *sindicato* organizują manifestację. Potem, aby podzielić się z ludźmi tym, o czym nikt nie chce pisać, sami organizują konferencje prasowe. Na spotkaniach z mieszkańcami przekonują, że nie są częścią mafii. I że nie mogą się doczekać, gdy będą mogli płacić podatki. Bo ulica to nie wybór, tylko sposób na przetrwanie stanu „pomiędzy”: kiedy już nikt nie chce ich deportować, ale jeszcze nie mogą legalnie pracować. Lata mijają, a „pomiędzy” trwa, jakby ktoś wcisnął pauzę.

Mouhamet: – Do związku może dołączyć każdy. Nieważne, sprzedajesz ręcz-

nie robione bransoletki, lewe roleksy czy zaplatasz turystkom warkocze na plaży. Jeśli jesteś imigrantem bez pozwolenia na pobyt i pracę, związek się od ciebie nie odwróci.

Takie podejście wydaje się działać, członków jest już ponad dwustu. Wśród nich także Mouhamet i Daouda, którzy już nie handlują, ale czują się częścią społeczności. Decyzje podejmują wspólnie, na grupie na WhatsAppie. Przy takiej liczbie członków to czasem kilkadziesiąt wiadomości na minutę.

Rzeczników jest kilku, oni zwykle biorą na siebie rozmowy z mieszkańcami. Mouhamet ogranicza się do radia. Ważne, by nie było widać twarzy, bo to go peszy. Dobrze czuje się za to po drugiej stronie kamery, w *sindicato* odpowiada za media społecznościowe. Na komórce nagrywa pracujących kolegów. – Hej, Lamine, powiedz coś! W tę stronę się obróć, nie bądź taki! – słysząc jego głos na jednym z wrzucanych do sieci filmów.

Lamine uśmiecha się i patrzy w obiektyw. Publiki się nie boi, przeciwnie, o swoim życiu mógłby opowiadać bez końca. Co sobotę prowadzi warsztaty z dziećmi. To najlepsi rozmówcy, zawsze mają konkretne pytania: „Przypływacie łódkami, bo pewnie u was nie ma lotnisk?”; „Jeśli dziś nie zjadłam obiadu, to czy dzieci w Afryce przeze mnie bardziej głodują?”; „Kiedy ostatni raz widziałeś mamę?”.

Lamine ma poczucie humoru. Zanim odpowie na poważnie, najpierw zapewni, że jasne, w Afryce lotnisk nie ma i jak kogoś deportują, to pechowiec musi skakać z walizką prosto na dachy domów. Wtedy

zapada cisza, dzieci patrzą oszołomione. Jakby na ich oczach zamienił się w superbohatera.

Za to Daouda chciałby, żeby po takich spotkaniach w dzieciach coś drgnęło. Może spytają wtedy tatę, dlaczego wciąż nie *trabaja como un negro*, haruje jak czarny, a nie jest po prostu zapracowany. – Bo co z tego, że my im to powiemy? – pyta zrezygnowany. – To rodzice powinni z dziećmi pracować nad językiem.

A dorośli na niektóre słowa Daoudy dziwnie reagują. Czasem to będzie „kolonializm”, czasem „rasizm”. Bardzo się wtedy bronią, przekonują, że może kiedyś, ale nie teraz i nie oni. A przecież *manteros* wiedzą, że na ich widok przechodzi się na drugą stronę ulicy.

– Dzięki związkowi coś się jednak zmienia – przekonuje Mouhamet.

Nagle ludzie są ciekawi, co ma do powiedzenia mężczyzna z workiem na plecach.

KOSZULKA 5. Logo Top Manta

Gdzie jesteśmy? Gdzie chcielibyśmy być? Każdy rysunek to odpowiedź na jedno z pytań, które zadali sobie tamtego popołudnia. Nie wszystkie załapały się jednak do finałowej piątki.

– Powiedzieli mi, że mój to przesada, za brzydki – Lamine udaje urażonego.

– Projekty ocenialiśmy wspólnie – tłumaczy zakłopotany Mouhamet. Narysowany przez niego dom jest wśród wytypowanych. – Resztę wykorzystamy pewnie przy następnej kampanii.

Wzory odbili na T-shirtach, bluzach (dostępne kroje: z kapturem lub bez) i płóciennych torbach. Wszystko z certyfikatem *fair trade*. Zrezygnowali z chińskiej taniochy – przecież nie będą się upodabniać do zachodnich sieciówek, które robią kasę na najbiedniejszych.

Markę nazwali Top Manta. Na logo wybrali szaro-biały łuk na czarnym tle. Kształt spodobał im się od razu, bo wygląda jak koc, ale jednocześnie jak łódź i fala. Z tyłu, w okolicy karku, umieścili nadruk: „Życie *manteros* ma znaczenie”.

Własna linia ubrań ma być antidotum na te wszystkie Coco Chanel za 15 euro. Nie chcą się kojarzyć z podróbkami.

W klipie promocyjnym markę prezentuje Aziz. Z zawodu krawiec, a w przyszłości, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, projektant mody. Pozostali wpatrują się w kamerę, poważni i nieruchomi.

Aziz mówi: „Wielu myśli, że przybyliśmy tu bez niczego. Z pustymi rękami, ➔

→ z pustymi głowami. A prawda jest taka, że mamy w sobie bogactwo. Mamy to wszystko, czego nauczyli nas nasi ojcowie i nasi dziadkowie. I teraz my, chłopaki z ulicy, użyjemy mody, żeby wspomóc naszą walkę. Walkę, na której zyskamy wszyscy. Dołącz do nas, bądźz TOP!”

– Najpierw na festyn uliczny wzięliśmy 10 koszulek, więcej nie mieliśmy. Chcieliśmy pokazać ludziom, nad czym pracujemy – wspomina Lamine. – A oni z miejsca pytali: ile kosztują? Co robiliśmy nowe, zaraz się rozchodziły.

Później przyszedł czas na pierwszy pokaz mody. Na wybieg wyszli razem z przyjaciółmi. Uśmiechali się, pozowali do zdjęć, przybijali piątki publiczności. Wtedy też zaczęli zbiórki pieniędzy w internecie. – Z każdej wpłaty część poszła na produkcję ubrań i pensje dla tych kilku osób, które są na stałe zatrudnione w *sindicato* – tłumaczy Mouhamet. – Reszta to nasz fundusz, dzięki któremu możemy pomagać innym *manteros*.

Prócz ubrań za wpłatę można było otrzymać wiersz napisany przez jednego ze sprzedawców albo zostać zaproszonym na wycieczkę: dzień szlakiem *mantero*. W rekordowym czasie zebrali prawie 70 tys. euro (trzy razy więcej, niż planowali).

Czy się tego spodziewali?

Mouhamet, bez zastanowienia: – Nie, w życiu.

Lamine: – Tak, od początku. Prawdziwa historia zawsze się nieźle sprzedaje.

Z sukcesem przyszła rozpoznawalność, nagłówki w prasie i jeszcze więcej przyjaciół, którzy teraz mogą odwiedzać twórców marki w ich własnym sklepie w centrum Barcelony.

Tu zaczynają się już prace nad nową linią butów (projekt jest, szczególnie to tajemnica), stąd paczki z koszulkami wysyłane są nawet za granicę. Organizacje pozarządowe zapraszają Top Mantę do współpracy, piosenkarka pop Brisa Fenoy chce mieć z nimi zdjęcie.

Mouhametowi powoli zaczyna brakować ciszy. – Nagle zdajesz sobie sprawę, że to koniec z byciem anonimowym. Teraz każdy czegoś od nas chce, cały czas trzeba być on-line!

Wyciąga telefon – na wyświetlaczu setki nieodebranych wiadomości. Ale

nie, nie ma na co narzekać, bo ludzie są serdeczni, a on i tak jest w komfortowej sytuacji. Od początku legalny, nie musi bać się policji. W przeciwieństwie do większości kolegów.

Latem 2018 r. związek zostaje zaproszony do katalońskiego parlamentu. Proponuje otwarcie bazaru z rękodziełem afrykańskim, salonu fryzjerskiego, firmy ochroniarskiej. W każdym z tych miejsc można byłoby zatrudnić 10-30 *manteros*. Jednak, aby to było możliwe, politycy muszą dać handlarzom choć tymczasowe pozwolenie na pracę. Na to się na razie nie zanoszą.

Związek pomaga *manteros*, ile może, ale trudno z dnia na dzień zmienić świat. – Pewne rzeczy się nie zmieniły. Jestem, jaki byłem. Czarny, biedny, bez papierów – Lamine wzrusza ramionami, ale z twarzy nie znika mu uśmiech. Jemu popularność nie przeszkadza. – Przez 10 lat nikt nie chciał mnie poznać, a tu nagle wokół mnóstwo ludzi! Wczoraj byłem na koncercie. Bujam się do muzyki, a tu nagle raper pozdrawia mnie ze sceny. I wyobrażasz sobie, że tłum zaczął skandować moje imię?!

Otwiera szeroko oczy, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co mówi: – Ludzie mnie proszą, żebym pilnował im dzieci!

Jednak Lamine coraz częściej myśli o powrocie. Jeszcze trochę zarobi, a później otworzą z siostrą w ojczyźnie biznes. Ona właśnie kończy w Senegalu studia, on dorzuci swoje doświadczenie.

Na miejscu zostaje Daouda, niedawno ożenił się z Hiszpanką. Upartą buntowniczką, jak on. – Nie może być inna, bo kto związałby się z Afrykaninem? Tylko o dzieci się martwię. Z takim ojcem jak ja nigdy nie będą do końca tutejsze.

Wszyscy trzej mają nadzieję, że Top Manta się jeszcze rozwinie.

TEGO POPOŁUDNIA nie narysowali rodziny. Ani koperty z pieniędzmi, którą trzeba wysłać na początku każdego miesiąca. Ani braci i sióstr, których jeszcze nie poznali. Nie narysowali też łodzi, którymi codziennie wypływało się na połów. Aż zaczęło brakować ryb i niektórzy podejmowali decyzję o podróży do Europy.

Nie narysowali też słońca. Bo w domu świeciło inaczej. Nie z boku, ale z góry. Zawsze wysoko nad głową.

© PAULINA MAŚLONA

Kolos z Gudżaratu

ROMAN HUSARSKI
Z PÓŁNOCNYCH INDII

Jego trwająca pięć lat budowa wywołała patriotyczne poruszenie. Wielu Hindusów stawia sobie za punkt honoru, aby pod nim stanąć i oddać cześć jednemu z ojców niepodległości.

JEGO WIELKOŚĆ POKAZUJE WIELKOŚĆ NASZEGO NARODU! – przekonuje mnie ojciec rodziny. Jedziemy zobaczyć najwyższy posąg na świecie: 182-metrowy monument, który upamiętnia Sardara Patela, jednego z założycieli współczesnej indyjskiej państwowości.

Choć nie ma żadnej okrągłej rocznicy (Patel urodził się jeszcze za czasów brytyjskich, w 1875 r., a zmarł wkrótce po uzyskaniu przez kraj niepodległości, w 1950 r.), to w tych dniach w całych Indiach wszędzie widać plakaty chwálące dokonania tego polityka. A także – lub może przede wszystkim – sukcesy obecnego rządu z Narendrą Modim na czele, który w kwietniowych wyborach zamierza obronić swoją większość parlamentarną.

Mimo całego medialnego szumu, który otacza pomnik Sardara Patela (zwany też Statuą Jedności, został ukończony w ubiegłym roku, po trwającej pięć lat budowie), miejsce, gdzie go postawiono, nie jest łatwo osiągalne.

Posąg wybudowano w północnych Indiach, w Gudżaracie (tu Patel przyszedł na świat). W pobliżu nie ma większych miast, a z oddalonej o niecałe 100 km Vadodary jeżdżą tylko cztery bezpośrednie autobusy dziennie.

W drodze towarzyszy nam indyjska rodzina, z którą dzielimy koszty taksówki. Rozentuzjasmowani współtowarzysze podróży przyznali, że są w drodze od dwóch dni. Budowa pomnika wywołała ogromne



ROMAN HUSARSKI

Statua Jedności: 182-metrowy posąg Sardara Patela, jednego z twórców niepodległości Indii, Gudżarat, 2019 r.

patriotyczne poruszenie i wielu stawia sobie za punkt honoru, aby osobiście stanąć pod nim i oddać cześć jednemu z ojców indyjskiej niepodległości.

Panteon olbrzymów

Pejzaż Gudżaratu jest monotony. Po drodze szybko traci zainteresowanie nizinny suchym krajobrazem. Docieramy w końcu do niewielkiej Kevadii, ostatniej wioski dzielącej nas od kolosa. Kilka kilometrów dalej znajdują się kasy biletowe i brama, skąd ostatni odcinek turyści pokonują specjalnymi autobusami.

Dojeżdżając na miejsce, widzę u naszych towarzyszy podróży oznaki niezadowolenia. Czy tak wielki posąg nie powinien być widoczny już z daleka? Czy to może unoszący się w powietrzu pył nie pozwala go dostrzec?

Posągi tej wielkości często stawia się na odludziu. Tak jakby potrzebowały dodatkowej przestrzeni, aby objąć wszystko swoim panowaniem. Do tej pory monumentalna sztuka w Indiach zarezerwowana była dla postaci religijnych. Jednak żaden z ich posągów nie sięga nawet do kolan Sardara Patela. I tak, Hanuman z Vijayawada osiągnął 41 m, Budda z Ravangla 39 m, a Śiwa z Murdeshwar „zale-dwie” 37 m.

W przeciwieństwie do indyjskiego patrioty, mitologiczne figury są rozpoznawane również za granicą. Gdy powiedziałem Kapilowi, mojemu indyjskiemu znajomemu, który pracuje w branży IT

w Bombaju, że w Polsce prawie nikt nie słyszał o Patelu, zareagował z entuzjazmem. – Ale ty teraz już wiesz! O to właśnie chodzi. Rodzina Nehru-Gandhich zbyt długo okradała ten kraj z historii, ale premier Modi przywróci honor zapomnianym!

Jednak „kolos z Gudżaratu” wywołał nie tylko entuzjazm. Podczas budowy zastanawiano się, czy w kraju o tak licznych problemach budowa pomnika za prawie pół miliarda dolarów jest etyczna. Inni oburzali się, że na placu budowy pracują w większości... Chińczycy. Protestowała też ludność, której zabrano ziemię.

Jednak dziś, mimo wielu kontrowersji, ciężko spotkać w Indiach kogoś, kto otwarcie krytykowałby ten projekt.

Spory wśród ojców założycieli

Sardar Patel bez wątpienia był ważny dla ruchu niepodległościowego Indii.

Zainspirowany Mahatmą Gandhim, organizował przez lata protesty wymierzone w brytyjski rząd kolonialny, za co był dwukrotnie więziony. To wtedy, za sprawą swych zdolności organizacyjnych, zaczął być tytułowany „sardarem”, czyli „przywódcą”. W 1931 r. stanął na czele Indyjskiego Kongresu Narodowego: partii niepodległościowej, w której działali i Motilal Nehru, i Gandhi. Miał zmysł dyplomatyczny i to dzięki niemu Indie nie rozpadły się po uzyskaniu niepodległości w 1947 r. na setki małych państweczek, rządzonych

przez lokalnych radzów. Mówi się, że osobiście jest odpowiedzialny za „cud” zjednoczenia 562 księżęcych stanów.

Ale nie we wszystkim było mu po drodze z Nehru i Mahatmą. Nie zgadzali się w kwestii podziału Indii. W przeciwieństwie do Gandhiego uważał, że wyodrębnienie się Pakistanu – państwa dla wyznawców islamu – jest mniejszym złem i zapobiegnie dalszemu rozlewowi krwi. Podczas walk, jakie wybuchły między hinduistami i muzułmanami po 1947 r., zginęło milion ludzi, kilkanaście milionów z obu stron musiało opuścić domy.

Wtedy, podczas pierwszej wojny z Pakistanem w 1947 r. (nazywa się ją też „pierwszą wojną o Kaszmir”, jako że była pierwszą z czterech, jeśli nie liczyć krótkiego i gwałtownego starcia obu armii kilkanaście dni temu), Patel stanął na czele indyjskiej armii. W 1948 r. (gdy Nehru podróżował po Europie) odbił dla Indii region Hajdarabad.

Na różnice między Patelem a Nehru zwraca uwagę rządząca dziś partia BJP, dla której Sardar, w przeciwieństwie do Nehru, był prawdziwym patriotą.

Modi szuka autorytetów

Jednak w Indiach nic nie jest proste.

Na paradoks zakrawa fakt, że premier Narendra Modi na gigantycznym piedestale postawił człowieka, który jest jednym z bohaterów głównej partii opozycyjnej. BJP Modiego formalnie powstała bowiem dopiero w 1980 r. i brakuje jej →

→ własnych bohaterów, którzy mogliby udzielać jej historycznej legitymizacji. Aby zrobić z Patela swojego idola, zwolennicy premiera muszą więc adaptować historię – omijać fakty, które nie pasują do ich wizji.

Mimo różnic światopoglądowych z Nehru, Sardar Patel wielokrotnie mu ustępował. Choć krytykował ideę świeckiego państwa, nie oszczędzał również gorzkich słów hinduskiemu nacjonalistom. Zwłaszcza po zabójstwie Ghandiego w 1948 r., przez radykała z Narodowego Stowarzyszenia Ochotników (RRS). Tymczasem rządząca dziś Indiami partia ma swoje dalekie korzenie m.in. właśnie w RRS. W dodatku ugrupowanie to istnieje do dziś i blisko współpracuje z BJP.

Można więc powiedzieć, że Modiego nie łączy z Patelem zbyt wiele (poza miejscem pochodzenia). Jednak polityczny mit jest wciąż tak mocny, że pozwala wykorzystywać przeszłość dla swoich korzyści.

Pod tym względem Statua Jedności to majstersztyk. Nawet jej nazwa ma ukryte znaczenie propagandowe. Jedność to nie tylko Patel, ale też Modi, którego twarz towarzyszy niemal każdej reklamie posągu w Indiach.

Zawołanie o jedność (hind. *sabka*) pojawia się zresztą w jego sloganach wyborczych od lat. W muzeum, które znajduje się pod stopami kolosa, nie brakuje tablic wychwalających obecnego premiera Indii, który – gdy koszty budowy pomnika osiągnęły zbyt wysokie sumy dla stanu Gudżarat – sięgnął po pieniądze do federalnego budżetu.

W propagandowym języku symboli premier Indii przedstawiany jest niczym alfa i omega. Ostatecznie to on, Modi, okazuje się być zwieńczeniem skrzętnie budowanej przez jego partię historiografii.

Patriotyczny festyn

Całkowity koszt przedsięwzięcia wyniósł 420 mln dolarów. Dookoła kolosa stworzono „wesole miasteczko”, które obejmuje kilka punktów widokowych, wioskę restauracyjną, pola namiotowe i kwietną aleję.

W pierwszych tygodniach po jej otwarciu statua przeżywała oblężenie – aby wyjechać windą na znajdującą się w posągu platformę widokową, trzeba było czekać godzinami. Obecnie, może poza weekendami i świętami państwowymi, liczba turystów nie jest aż tak uciążliwa – z wyjątkiem wycieczek szkolnych, które za

punkt honoru stawiają sobie zrobienie selfie z obcokrajowcami.

Możliwości zrobienia takiego autoportretowego zdjęcia, które ludzie w Indiach kochają, jest tu oczywiście wiele. Można je robić z platformy znajdującej się na poziomie serca „człowieka z żelaza”, można też z łodzi, płynąc po sztucznym jeziorze. Albo, przy bardziej zasobnym portfelu, z helikoptera.

W każdym razie selfie z Sardarem jest obowiązkowym punktem szanującego się i modnego indyjskiego patrioty. Indyjski Facebook i Instagram zalewa fala hurra-patriotyzmu.

Nie udało się jednak uniknąć wszechobecnego kiczu. Znajdujący się na wzgórzu napis „Statue of Unity” jest jak niedolna podróbka znanego „Hollywood”. Przy tak wielkich sumach wydanych na tę inwestycję, literówki na tablicach informacyjnych wprawiają w zażenowanie. Błędy są nie tylko w napisach anglojęzycznych. Jeden z turystów powiedział mi, że liczba błędów w języku tamilijskim, dominującym języku południowych Indii, każe podejrzewać, iż tłumaczenie powstało za pomocą Google Translate. Lokalizacja nazywana szumnie „aleją kwiatów” przypomina rozkopaną działkę – przegrała walkę z suchym klimatem Gudżaratu.

Jednak, o ironio, największym rozczarowaniem jest sam pomnik. Po pierwsze, pomimo ogromnych rozmiarów statuy nie widać z drogi. Teren jest tak ukształtowany, że widać ją dopiero pod sam koniec podróży. Po drugie, ponieważ w okolicy znajdują się wyłącznie same wzgórza, brakuje punktów odniesienia, które dałyby możliwość odczucia jego faktycznej wielkości.

Boom tylko chwilowy?

W drodze powrotnej towarzyszy nam głębokie poczucie rozczarowania.

Choć Kapil przekonywał mnie, że dzięki wpływom z biletów pomnik w końcu zacznie na siebie zarabiać, ciężko w to uwierzyć. Według niektórych analiz musi minąć 120 lat, aby koszt inwestycji się zwrócił, ale tylko przy założeniu, że wciąż licznie będą tu przyjeżdżać turyści.

Obrońcy pomnika argumentują, że projekt wieży Eiffla też początkowo krytykowano, a dziś odwiedza ją 7 mln turystów rocznie. Porównanie wydaje się jednak nietrafione. W pobliżu Statuy Jedności nie ma jakichkolwiek innych atrakcji turystycznych. Choć planuje się rozbudowę

– m.in. o infrastrukturę dla sportów wodnych i paralotniarstwa – to utrzymanie wysokiej liczby odwiedzających będzie trudne. Zagranicznych turystów prędzej zainteresują kolorowe postaci z indyjskiej mitologii niż nieznanymi szerzej poza Indiami bohaterowie ich niepodległości.

Co do mieszkańców Indii, boom turystyczny, nakręcany obecnie przez polityków BJP, osłabnie zapewne po kwietniowych wyborach do parlamentu. A bez wsparcia ze strony partii rządzącej bohater z przeszłości może znowu popaść w zapomnienie. Pozostanie samotny, opuszczony olbrzym na pustkowiu. Niemala atrakcja dla backpackerów, szukających niezwykłych lokalizacji i dreszczyka emocji (takich jak Czarnobyl).

Wyścig kolosów

Na razie jednak to odległa wizja, bo wyścig trwa. Statua Jedności może być początkiem nowej rywalizacji w walce o przewagę posiadania największego pomnika.

Na specjalnie usypanej wyspie w pobliżu Bombaju już szykuje się budowa gigantycznej statuy Chhatrapatiego Shivaji. Ten XVII-wieczny wojowniczy władca Marathów jest kolejnym ulubieńcem partii BJP. Odrzucając elementy kultury muzułmańskiej i tocząc boje z Wielkimi Mogołami, Shivaji postrzegany jest przez wielu jako hinduistyczny prototyp nacjonalista. Jego posąg początkowo miał być tylko o kilka metrów wyższy od kolosa Patela. Ale gdy okazało się, że chiński Budda w Lushan finalnie osiągnie 208 m, zmieniono plany. Shivaji ma kłaść cień na Bombaj z wysokości 210 m.

Budowniczych nie odstrasza ostrzeżenia, że astronomiczna kwota 557 mln dolarów drastycznie pogłębi zadłużenie stanu Maharasztra, który obecnie boryka się z ciężką sytuacją finansową, oraz że budowa może zniszczyć wodny ekosystem i doprowadzić miejscowych rybaków do ruiny. Ogromna inwestycja zdaje się również ignorować fakt, że w okolicy znajduje się wiele zaniedbanych fortów i innych historycznych atrakcji, które pilnie potrzebują wsparcia finansowego.

Nie wiadomo również, jaka będzie odpowiedź Chińczyków. Oraz innych indyjskich stanów, które też będą chciały się pokazać.

– Mamy wielu zapomnianych bohaterów, o których należy przypomnieć – informuje mnie z uśmiechem Kapil.

© ROMAN HUSARSKI

POCIĄG DO TISCHNERA



REKLAMA

ODJAZD DWORZEC GŁÓWNY KRAKÓW • **SOBOTA, 23 MARCA 2019 ROKU, GODZ. 9:46**

Po raz pierwszy STREFA TISCHNERA
odbędzie się w pociągu relacji Kraków-Sopot.

Uczestnikami podróży będą m.in.
laureaci Nagrody Znaku i Hestii im. ks. J. Tischnera:
Miłosz Puczyłowski, Wojciech Jagielski,
Jerzy Sosnowski i Kuba Wygnański.

ZAPRASZAMY DO MYŚLENIA

ERGO
HESTIA®



**DNI
TISCHNER
OWSKIE**



REKLAMA

Fundator Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera

ERGO HESTIA®

Zaprasza do myślenia

19. Dni Tischnerowskie, 27–30 marca, Kraków

WYBORY DASZYŃSKIEGO

Kim był człowiek, który zadał śmiertelny cios komunizmowi w Polsce,
i to zanim jeszcze – sto lat temu – zaczęła się wojna z bolszewikami?

MIKOŁAJ MIROWSKI



CZOŁOWA POSTAĆ POLSKIEJ PARTII Socjalistycznej, w 1918 r. premier Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej, a potem także marszałek Sejmu (w latach 1928-30) – nawet jak na realia pierwszej połowy XX w. oraz standardy II Rzeczypospolitej był wyjątkowy. Wytrawny i klasyczny polityk parlamentarno-gabinetowy, był zarazem – gdy wymagały tego okoliczności – politykiem na wskroś plebejskim: dobrze czuł się podczas wieców i w bezpośrednich kontaktach z ludźmi. Dziś to może oczywiste, ale na przełomie wieków XIX i XX wielu socjalistycznych inteligentów gardziło *vox populi*, wierząc, że „duch dziejów” sam przyzna im rację. On był człowiekiem i słowa, i czynu.

„Mówca pyszny, wielka swada, godzi-nami płynnie gada – tak Ignacego Daszyńskiego charakteryzował popularny krakowski dwutygodnik satyryczny „Diabeł”. – Frazesowicz i orator, przy tym pyszny agitator – drwiąc z wyborów idiotyzmu, w strunę dmie patriotyzmu. I wygłasza prawdę czystą, że Mickiewicz socjalistą”.

Długo oczekiwany pomnik

„Mandatu poselskiego nie traktował jako ukoronowania swych zasług – wspominał po latach swojego ojca Adam Próchniak. – Był to dla niego teren walki, do której rzucił się z całym zapalem i z całą siłą swego gorącego temperamentu. Było to przypięcie mu ostróg rycerskich, w których mógł stanąć do wielkiego boju. Wydostawał się ze świata małych utarczek (...) na pole potężnych walk politycznych, dla których był stworzonym”.

I jeszcze jeden cytat. „Był to wulkan try-skający lawą słów (...). Ładował się tłumem, jak akumulator, aby na odwrót puścić prąd w pierwotne źródło własnej energii” – tak pisarz i aktor Zygmunt Nowakowski potwierdzał wiecowe przymioty przyszłego marszałka Sejmu.

Po upadku PRL i komunizmu – gdy był na cenzurowanym – trzeba było czekać w III Rzeczypospolitej aż 29 lat na państwowe i godne uhonorowanie Daszyńskiego. Dopiero w setną rocznicę odzyskania niepodległości, 11 listopada 2018 r., na warszawskim placu na Rozdrożu odsłonięto jego długo oczekiwany pomnik.

Podczas walk nad Nidą Legiony zatrzymały rosyjską ofensywę. Od prawej: Józef Piłsudski, Ignacy Daszyński i Mariusz Zaruski (ulan, późniejszy generał). Listopad 1914 r.

„Cieszę się, że Jego pomnik staje dzisiaj w prestiżowym miejscu stolicy, nie-daleko pomników marszałka Józefa Piłsudskiego, Ignacego Jana Paderewskiego, Romana Dmowskiego i Wincentego Witosa – pisał prezydent Andrzej Duda w liście do organizatorów i uczestników uroczystości. – Brakowało dotąd tego właśnie upamiętnienia, aby oddać cześć wszystkim głównym budowniczym dzieła wolności sprzed stu lat i wszystkim niepodległościowym nurtom”. I tak historia zatoczyła koło: Daszyński powrócił na należne mu miejsce w polskiej historii XX w.

Socjalizm w powstańczej tradycji

Przez długie lata pracowitej politycznej kariery uchodził za jeden z symboli niepodległościowego socjalizmu i polskiego parlamentaryzmu. Zdolności, dorobek i przywódcze talenty wyniosły go do roli jednej z najważniejszych postaci polskiego życia politycznego w pierwszych czterech dekadach XX w.

Urodził się w 1866 r. w Zbarażu na Podolu (wtedy Austro-Węgry, dziś Ukraina), w rodzinie ziemiańskiej. Jako uczeń gimnazjum w Stanisławowie uległ fascynacji literaturą romantyczną i powstańczymi tradycjami. Pod wpływem starszego brata Feliksa zetknął się po raz pierwszy z ideami socjalistycznymi.

Dla jego pokolenia socjalizm był antytezą popowstaniowego marazmu i receptą na rzeczywiste upodmiotowienie warstw plebejskich, zepchniętych dotychczas w polskiej historii do roli wielomilionowego wprawdzie, lecz milczącego statysty. „To właśnie socjalizm – twierdził Daszyński – dzięki połączeniu programu radykalnych reform społecznych i programu odbudowy państwa polskiego, był rzeczywistym kontynuatorem tradycji powstańczych”.

Z czasem miał stać się współtwórcą – i najwybitniejszym przywódcą – Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego. To ona w przededniu I wojny światowej sprawowała „rząd dusz” w galicyjskich środowiskach robotniczych. I w dużej mierze to jego zasługą było, że galicyjscy socjaliści opowiedzieli się wyraźnie po stronie obozu irredenty, tworzącego się w latach poprzedzających Wielką Wojnę wokół Józefa Piłsudskiego, a następnie wspierali na różne sposoby tworzenie organizacji paramilitarnych.

Starszy strzelec, lat 48

„Niepodobna utrzymać tezy, że socjalista polski może walczyć o wszystkie wolności polityczne, ale nie śmie walczyć o niepodległość swego narodu” – głosił Daszyński.

W sierpniu 1914 r. również on, choć liczył sobie wtedy już niemal 48 lat, założył na krótką chwilę mundur strzelecki: przez kilka dni, od 8 do 14 sierpnia, został zastępcą komisarza wojskowego w Miechowie; był też komisarzem Polskiej Organizacji Narodowej. W ten nieco symboliczny sposób oddał swoje zdolności i wpływy na usługi obozu niepodległościowej lewicy. Zresztą nie był wyjątkiem: w tamtym czasie do tego załóżka polskiego wojska poszło wielu socjalistycznych parlamentarzystów, na czele z późniejszym premierem Jędrzejem Moraczewskim (był saperem) i wybitnym prawnikiem Hermanem Liebermanem (za bitwę pod Kostiuchnowką na Wołyńniu latem 1916 r. został odznaczony Krzyżem Walecznych).

W pierwszym okresie wojny Daszyński pracował w strukturach Naczelnego Komitetu Narodowego: polityczno-wojskowej reprezentacji galicyjskich Polaków, nadzorującej Legiony. Odsunął wówczas na bok polityczne spory dzielące go z galicyjskimi konserwatystami i wspólnie z nimi prowadził zabiegi na rzecz Legionów u władz austriackich w Wiedniu.

W drugiej części wojny – podobnie jak cały obóz lewicy niepodległościowej – w sposób coraz bardziej stanowczy występował przeciwko polityce Niemiec i Austro-Węgier. W październiku 1918 r., w imieniu polskich posłów do parlamentu austriackiego oświadczył, że wszyscy Polacy zgodnie oczekują odbudowy własnego państwa, złożonego z ziem trzech zaborów.

Śmiertelny cios w komunizm

Miesiąc później – 7 listopada 1918 r. – Daszyński stanął na czele pierwszego polskiego rządu, który powstał bez wiedzy i zgody okupantów. Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, bo tak nazywał się kierowany przez Daszyńskiego gabinet, utworzono w Lublinie – przejęcie władzy w tym mieście od Austriaków było jednym z pierwszych sukcesów Wielkiego Powstania Listopadowego, jak wydarzenia z jesieni 1918 r. nazwał Tadeusz A. Olszański [patrz „TP” 46/2018 – red.] – ale rościł on sobie pretensje do rozciągnięcia władzy na całym terytorium ➔

→ zamieszkanym przez ludność polską. W tekście proklamacji gabinetu stwierdzano: „Państwo polskie, obejmujące sobą wszystkie ziemie, zamieszkałe przez lud polski, z własnym wybrzeżem morskim, stanowić ma po wszystkie czasy Polską Republikę Ludową”.

Historia tego rządu liczy sobie zaledwie kilka dni, jednak ogłoszony przez niego Manifest wyrzucił – jak się potem okazało – przemożny wpływ na kształt odradzającej się Polski.

To rząd Daszyńskiego jako pierwszy proklamował republikański charakter państwa; w Manifestie zapowiedziano nowoczesne ustawodawstwo socjalne, z ośmiogodzinnym dniem pracy na czele. Wreszcie, to kierowany przez niego „efemeryczny gabinet” (jak mawiali oponenci) zapowiedział, że Polska – jeśli ma przetrwać – musi się oprzeć na najszerzych masach społecznych, przede wszystkim więc na ludziach żyjących z własnej pracy. O jej kształcie zadecydować miał zaś Sejm, wybrany w powszechnych i równych wyborach.

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że to właśnie ten rząd był akuszerem młodej polskiej demokracji, a także ważnym ogniwem w postawieniu skutecznej tamy przeciw wszelkim tendencjom rewolucyjnym w ówczesnej Polsce. Późniejsze fiasko propagandy Włodzimierza Lenina podczas wojny polsko-bolszewickiej – a zaczynała się ona sto lat temu, wiosną 1919 r. – miało genezę właśnie w mądrej polityce „rządu lubelskiego”.

Wypada zgodzić się z późniejszymi słowami innego działacza PPS Mieczysława Niedziałkowskiego, który stwierdził, że to „w Lublinie 7 listopada 1918 roku zadano cios śmiertelny komunizmowi w Polsce”.

Jak Demostenes i Ciceron

W dziejach parlamentaryzmu II Rzeczypospolitej Daszyński odegrał rolę wybitną. Gdy odradzała się Polska, miał już za sobą ponad 20-letni staż pracy w wiedeńskiej Radzie Państwa – w 1897 r. został po raz pierwszy wybrany do austriackiego parlamentu, gdzie pełnił funkcję przewodniczącego klubu Związku Posłów Socjalno-Demokratycznych; zasiadał w nim aż do 1918 r. W Sejmie, wybranym po raz pierwszy w styczniu 1919 r., należał więc do najbardziej doświadczonych parlamentarzystów.

Imponował jednak nie tylko znajomością procedur i parlamentarnych zwyczajów,



Piłsudski z marszałkiem Sejmu Daszyńskim, Warszawa, kwiecień 1928 r. Półtora roku później, 31 października 1929 r., dwaj przyjaciele staną naprzeciw siebie w sali sejmowej.

jów, lecz przede wszystkim kunsztem, jaki prezentował przy okazji swych wystąpień. Jego przemówienia były małymi dziełami sztuki: pomiędzy racjonalne argumenty wplatał ironię i dowcip, a na rzucane przez politycznych przeciwników złośliwe komentarze zawsze miał błyskotliwą ripostę. „Na trybunę wszedł wysoki pan – wspominał pierwsze wystąpienie w Sej-

Znamienne, że w 1920 r. to Witos i Daszyński,
politycy reprezentujący
chłopów i robotników,
ponosili polityczną
odpowiedzialność i kierowali
obronnym wysiłkiem Polski.

mie publicysta Bernard Singer – ubrany na czarno, o siwych włosach, bystrym wzroku, długich rękach i rozpoczął swą mowę kilkoma zdaniem wypowiedzianymi cicho. Głos rósł i wibrował różnymi tonami. W kilku zdaniach był wzbudzony i rzucał gromy basem, który brzmiał jak uderzenie bębna, drwił z przeciwnika, a tony Mefista z »Fausta« było słychać w przemówieniu. Rytmicznie pracowali długie ręce. Demostenes, Cicerone, klasyczni polscy aktorzy, to wszystko jednoczył Daszyński w geście, w dźwięku i w słowie”.

Wicepremier roku 1920

Przez pierwszą dekadę niepodległości Daszyński był jednym z przywódców ruchu socjalistycznego – zwykle krytycznego wobec porządków, jakie zapanowały w odrodzonym państwie, niecofającego się jednak przed kompromisem, gdy stawką była jego stabilność.

Gdy Armia Czerwona zbliżała się pod Warszawę i Lwów, a zmęczone wojnami – trwającymi wszak nieprzerwanie już od sześciu lat – i dramatycznym odwrótem w tamtych letnich miesiącach 1920 r. społeczeństwo potrzebowało nowego impulsu, który wlałby w serca wiarę w zwycięstwo, Daszyński objął tekę wicepremiera w rządzie obrony narodowej ludowca Wincentego Witosa.

Symptomatycznym było, że to właśnie dwaj politycy reprezentujący chłopów oraz robotników mieli w kolejnych miesiącach ponosić polityczną odpowiedzialność i kierować obronnymi wysiłkami społeczeństwa. Okoliczności zwycięstwa 1920 r. utwierdziły Daszyńskiego w przekonaniu, że jedynie demokracja – jako ustroj umożliwiający silne związanie z państwem najszerzych warstw plebejskich – stanowi najlepszą gwarancję trwałości Rzeczypospolitej.

Marszałek przeciwko Marszałkowi

Po zamachu majowym w 1926 r. przyszło mu wybierać – między wiernością ideałom demokracji a lojalnością wobec Piłsudskiego, którego dotąd darzył nie tylko głębokim sentymentem z czasów konspiracyjnej PPS, ale też przyjaźnią (Piłsudski

z nielicznymi był po imieniu, a właśnie z Daszyńskim był na „ty”; z kolei żona Marszałka była matką chrzestną jednej z córek Daszyńskiego). Daszyński opowiedział się po stronie demokracji.

W 1928 r. objął fotel marszałka Sejmu i bronił – w sposób pełen taktu i moralnego dostojęstwa – godności poniewieranego przez piłsudczyków parlamentu. Choć nie miał szans w tej walce, to swoją postawą dał świadectwo wartościom, jakie niosą demokracja i parlamentarizm.

W okresie, gdy piastował ten urząd, miał miejsce epizod, który na kolejne lata uczynił z niego moralnego przywódcę i symbol dla obozu opozycji przeciw Piłsudskiemu. 31 października 1929 r. miała zostać otwarta budżetowa sesja Sejmu. Aby ją przeprowadzić bez protestów opozycji, a także pokazać swą siłę, na krótko przed rozpoczęciem obrad do gmachu parlamentu wkroczyło kilkudziesięciu uzbrojonych oficerów – mieli być „wsparciem” dla Piłsudskiego, przemawiającego w imieniu premiera Kazimierza Świątalskiego (formalnie Marszałek stał jedynie na czele resortu spraw wojskowych).

Mimo nacisków i nerwowej sytuacji, Daszyński odmówił otworzenia sesji sejmowej. Doszło do ostrej wymiany zdań z Piłsudskim. Daszyński kategorycznie stwierdził, że „pod bagnetami, karabinami i szablami Izby Ustawodawczej nie utworzy!”.

To kolejna filmowa scena z dziejów II RP, nieraz porównywana do innej dramatycznej sytuacji: słynnego *non possumus*, które prezydent Stanisław Wojciechowski postawił Piłsudskiemu w maju 1926 r. na moście Poniatowskiego. Historyk Janusz Osica napisał, że „Daszyński umiał przegrywać. Przegrywał stylowo i pięknie, co my, Polacy, kochamy najbardziej”.

Pamiętniki na cenzurowanym

Autorytet, który zdobył swoim sprzeciwem wobec Piłsudskiego sprawił, że zaczęto widzieć w nim polityka, który mógłby objąć urząd prezydenta po odnięciu od władzy obozu sanacyjnego. Ale ten scenariusz już się nie ziścił. Wkrótce po tzw. procesie brzeskim, w którym przed sądem stanęli opozycyjni politycy i który był ciosem dla ówczesnej polskiej demokracji, Daszyński podupadł na zdrowiu. Wycofał się z ży-

cia politycznego. Zmarł w 1936 r. – prawie półtora roku po odejściu Piłsudskiego, swego przyjaciela i przeciwnika.

Pozostawił, prócz spuścizny politycznej, także dwutomowe „Pamiętniki”. Ich dalsze dzieje pokazują jak ich autor był traktowany w komunistycznej PRL. Na fali popaździernikowej „odwilży”, władze zdecydowały się w 1957 r. na publikację „Pamiętników” (w skromnym nakładzie 5 tys. egzemplarzy). Ale już rok później zorientowały się, jaki popełniły błąd: decyzją KC PZPR (a więc podjętą na najwyższym szczeblu) postanowiono o ich ograniczonym rozpowszechnianiu, gdyż „autor w ordynarny sposób spotwarzał KPP [Komunistyczną Partię Polski; w istocie służącą sowieckiemu wywiadowi – red.] i Związek Radziecki”.

Realizując tę decyzję, szef wydawnictwa Książka i Wiedza Juliusz Burgin zalecił, by część nakładu rozprowadzić w sposób kontrolowany (wśród partyjnych aktywistów i zaufanych historyków ruchu robotniczego), a resztę „spisać na straty i zmagazynować”. Dopiero w 2017 r. nakładem Muzeum Historii Polski ukazało się pierwsze naukowo opracowane wydanie tych „Pamiętników”.

Pogrzeb jak manifestacja

Tamtej jesieni roku 1936, w dzień pogrzebu Daszyńskiego, wstrzymano pracę w wielu fabrykach w całej Polsce. Kondukt pogrzebowy zmienił się w jedną z najpotężniejszych manifestacji, jakie oglądał międzywojenny Kraków (polityk spoczął na krakowskich Rakowicach).

„Nie ma dziś w Polsce instancji – notowała wówczas Maria Dąbrowska – która by mogła powziąć uchwałę: »Ignacy Daszyński dobrze się swym życiem zasłużył narodowi«. Lecz uchwałę taką piszą niewiedzialnie a trwale serca wielkiej rzeszy polskiego ludu, który miał w nim zawsze niestrudzonego i najlepszej wiary obrońcę”.

© MIKOŁAJ MIROWSKI

Autor pracuje w Muzeum Historii Polski, a w Muzeum Powstania Warszawskiego prowadzi cykl „Warszawa dwóch Powstań”. Wydał książki: „Rewolucja permanentna Lwa Trockiego” oraz tom rozmów „Piłsudski (nie)znany. Historia i popkultura”.

Promienne kobiety

Sto lat temu w USA grupa kobiet upomniata się o swoje prawa i stanęła do walki z wielką firmą.

KSIĄŻKĘ „THE RADIUM GIRLS” AUTORKI Kate Moore czyta się z niedowierzaniem. Trudno przyjąć do wiadomości, że młodym kobietom, zatrudnionym do malowania cyferblatów zegarków świecą w ciemności farbą (zawierającą radioaktywny rad), kazano zwilżać pędzelki ustami. W ten sposób końcówka była „zaostrzona”, a cyferki precyzyjne. Dziewczeta z ubogich imigranckich rodzin (irlandzkich, niemieckich, polskich) cieszyły się, że mają pracę: dobrze płatną, w miłym miejscu, niezbyt ciężką. Po pracy pokryte pyłem świeciły jak duchy. Ale to wydawało się dodatkowym bonusem: zadawały szyku świecącymi sukienkami. Z wiarą w przyszłość, miały życie przed sobą.

Stany zachwyciły się radem, „płynnym słońcem”. Nie wiedziano, że farba jest zabójcza. A gdy szefowie firmy już wiedzieli, nie przzerwali malowania. Trwała I wojna światowa, przychodziły zamówienia z armii, rosły zyski. Dla dziewcząt praca wydawała się patriotycznym obowiązkiem. Gdy zaczęły chorować, lekarze nie umieli postawić diagnozy. Niektórym wypadły zęby, rany się nie goiły. Inne kulały, skracali się im kości. Ich los długo nikogo nie obchodził, to były tylko zwykłe robotnice...

Książka Moore to świetnie udokumentowany historyczny reportaż. Autorce zależało, by opowiedzieć nie tylko o przełomowej batalii sądowej o prawa pracownicze, ale przypomnieć o każdej z „promiennych dziewcząt”. Rozmawiała z ich krewnymi, odwiedziła cmentarze. Czytała zeznania sądowe, artykuły. Przywróciła im głos. Książka jest też świadectwem niezwyklej więzi, która łączyła te kobiety. „Zwyciężyły wspólnie. Dzięki przyjaźni, dzięki niezgodzie na to, by się poddać, dzięki czystej sile ducha”.

©© PATRYCJA BUKALSKA



Kate Moore
THE RADIUM GIRLS.
MROČNA HISTORIA
PROMIENNYCH KOBIEĆ
AMERYKI, przeł. Dorota
Konowrocka-Sawa.
Wydawnictwo Poradnia K



MOZAIKA, BAKTERIE I CHIMERY

Zapomnijcie o tym, czego uczono was w szkołach.
Jesteśmy niejednorodni genetycznie.
Każdy z nas jest konglomeratem komórek różniących się swoim DNA.

MARIUSZ GOGÓŁ

STARE JAK SEKS PRAWO BIOLOGICZNE mówi, że komórka jajowa i plemnik wyposażone są w dwie, komplementarne połówki materiału genetycznego. Ich połączenie sprawia, że powstaje nowe życie, które ma kompletny zestaw genów, w jednej połowie pochodzących od ojca, a w drugiej od matki. Podczas rozwoju, w którym dochodzi do dzielenia się zapłodnionej komórki na kolejne, DNA decyduje o powstawaniu kolejnych części ciała.

Kiedyś uważano, że materiał genetyczny jest w nich jednorodny. Dziś wiemy, że nie jest to prawda.

Tak naprawdę, w naszych organizmach roi się od komórek, które posiadają różne warianty DNA. Zmiany w sekwencji materiału genetycznego (czyli mutacje) mogą się zdarzyć podczas każdego podziału komórkowego i są przekazywane do komórek potomnych (w naszym własnym organizmie). A te mogą się dzielić i mutować dalej. Dzięki temu zjawisku rozwijamy się jako genetyczna mozaika.

Im wcześniej dojdzie do takiej modyfikacji, tym więcej naszych komórek będzie się różnić od pozostałych. Z jednej strony taka mozaikowatość jest naturalną cechą naszego organizmu.

W badaniu, z którego raport opublikowano w 2012 r. na łamach „Gastroenterology”, A.W. Duncan i współpracownicy wykazali, że nawet połowa komórek wątroby może nie mieć kopii pewnego chromosomu. Z drugiej strony, występowanie niektórych mutacji w niektórych komórkach pociąga za sobą wiele chorób, wliczając w to nowotwory.

Obce DNA

Ale to nie koniec źródeł naszej różnorodności. Oprócz różnych genetycznych wariantów komórek mamy również komórki zupełnie obce. Brzmi to trochę jak scenariusz filmu *science fiction*: przybyszący z kosmosu obce formy życia wchodzą w relacje z gospodarzem i pomagają mu lub działają na jego szkodę. Jednak w przyrodzie faktycznie istnieją podobne układy między organizmami.

Znamy m.in. symbiotyczne bakterie, które żyją w układzie pokarmowym przeżuwaczy, takich jak krowy, owce czy jelenie. Dzięki nim zwierzęta trawią celulozę, która jest składnikiem budującym rośliny. Bez tych drobnoustrojów nie byłoby to możliwe. Bakterie zaś korzystają z wygodnego do życia środowiska we-

wnątrz organizmu zwierzęcia. W naszym ciele również mieszkają różne mikroorganizmy. Niektóre z nich, jak np. bakterie kwasu mlekowego, potrzebne są do zachowania odpowiedniego stanu zdrowia. To właśnie one chronią kobiece drogi rodne przed infekcją, dzięki produkcji kwasu mlekowego, który utrzymuje odpowiednie pH pochwy.

Z kolei inne bakterie są potencjalnie niebezpieczne. Mogą nas zaatakować wtedy, kiedy z naszym organizmem dzieje się coś niepokojącego. Mowa tutaj m.in. o *Staphylococcus epidermis*, czyli bakterii, która stanowi naturalny składnik mikroflory człowieka. Z reguły żyje w nas bezproblemowo, ale może pokazać swoje złowrogi oblicze, np. u osób z osłabioną odpornością.

Do niedawna zakładano nawet, że liczba bakterii wchodzących w skład mikroflory człowieka jest 10 razy większa od liczby „naszych własnych” komórek. Obecnie szacuje się, że jednych i drugich jest mniej więcej tyle samo. Mężczyzna w wieku 20-30 lat o wzroście 1,7 m i wadze 70 kg ma ok. 39 bilionów komórek bakterii na 30 bilionów komórek własnych.

Często możemy się tymi bakteriami dzielić z innymi ludźmi. Ustalono, że osoby, które całują się ok. dziewięć razy dziennie, mają taki sam skład flory bakteryjnej ust. Taka wymiana nie jest bez znaczenia dla naszego zdrowia, bo dzięki zwiększonemu kontaktowi z obcymi bakteriami wzmacnia się nasz układ odpornościowy.

Ale nawet biliony komórek bakterii nie wyczerpują jeszcze źródeł naszej „wewnętrznej” różnorodności genetycznej. W naszych ciałach znajdziemy jeszcze bardziej niezwykłych lokatorów – takich, z którymi łączy nas jeszcze silniejsza relacja. Są oni do nas genetycznie podobni. I nie tylko w nas mieszkają, ale wręcz stają się nieodłączną częścią naszego ciała.

Wszystko zostaje w rodzinie

Ich obecność związana jest z pewnym procesem, który w świecie przyrody trwa mniej więcej od 93 mln lat. Wtedy pojawiły się ssaki wyższe, u których zaobserwowano to niezwykle zjawisko. Trudno jednak rozstrząsać, gdzie dokładnie leży jego początek, dlatego zacznijmy tę historię inaczej: od przedstawienia skutku, do którego on prowadzi. Mówiąc bez ogródek – jesteśmy chimerami. Zapożyczenie tego określenia przez język genetyki wzięło się

stąd, że ciało mitycznego stwora, który nosił to imię, składało się z kilku różnych części. Miał on głowę lwa, korpus kozy i ogon węża. Według genetyków z nami sprawa wygląda trochę podobnie – i nie chodzi tutaj o naszą wspomnianą mozaikową naturę. Wszyscy mamy także chimeryczny układ komórek, ale sprawa dotyczy przede wszystkim kobiet. To one zyskują „obcych” lokatorów w pewnych okolicznościach.

Przemieszczanie się dodatkowych komórek w organizmie kobiet dostrzeżono już w 1893 r., kiedy to niemiecki patolog Christian Georg Schmorl odnalazł je w płucach pań zmarłych z powodu nadciśnienia. Zaburzenie pojawiło się u denetek w przebiegu ciąży. Te nieszczęśliwe wypadki pomogły zrozumieć, że to właśnie rozwój nowego życia sprawia, iż mamy chimeryczną budowę ciała. W pierwszych tygodniach od poczęcia komórki płodu mogą migrować przez łożysko i stać się częścią ciała matki. Badania pokazały, że można je dostrzec w krwiobiegu, skórze, sercu oraz innych narządach wewnętrznych – osiadają w nich i stają się ich integralną częścią. Tak dzieje się nawet w przypadku niedotrzymania czy też przerwania ciąży. Dziecko zostawia komórkowy ślad w kobiecie – być może na całe życie. Świadczą o tym opublikowane w „PLOS One” w 2012 r. wyniki badania przeprowadzonego przez Williama F.N. Chana i współpracowników, podczas którego wykonano analizy mózgów kobiet zmarłych w różnym wieku. Najstarsza przebadana osoba, u której znaleziono DNA z męskiej komórki, miała aż 94 lata – oznacza to, że komórki jej dziecka musiały przetrwać przynajmniej kilkadziesiąt lat w jej ciele.

Wspomniany wynik badania nie oznacza wcale, że tylko komórki męskiego potomka mogą przenikać do ciała matki. Takie DNA jest po prostu łatwiej znaleźć wśród kobiecych genów, dlatego też naukowcy skupili się właśnie na nim. Komórki córek również mają taką zdolność i równie chętnie z niej korzystają.

Konflikt pokoleń

Transfer komórek musi pociągać za sobą jakieś konsekwencje. Przeglądając literaturę można wysunąć pewne hipotezy. Pierwsza z nich mówi, że komórki płodowe szkodzą. Z racji tego, że są częścią „obcego” organizmu, prawdopodobnie przyczyniają się do powstania odpowiedzi →

→ zapalnej, która może powodować uszkodzenia tkanek matki i w rezultacie pogorszenie kondycji zdrowotnej.

Faktycznie znane są jednostki chorobowe, w których w różnych narządach spotyka się większą liczbę komórek płodowych niż w przypadku osób zdrowych. Przykładem może być choroba Gravesa-Basedowa. Przypadłość ta, w której mamy do czynienia z nadczynnością tarczycy, charakteryzuje się nadreprezentacją wspomnianych komórek w tym właśnie narządzie (w porównaniu z ich liczbą u osób zdrowych).

Podobną sytuację obserwujemy w toczeniu rumieniowatym układowym – chorobie autoimmunologicznej prowadzącej do zapalenia wielu tkanek i narządów. W niej komórki płodowe również występują liczniej w uszkodzonych tkankach. Spotykamy też jednak badania, w których taka zależność stanu chorobowego i rozmieszczenia komórek płodowych się nie potwierdza.

Dlatego druga hipoteza zakłada, że komórki płodowe mają działanie prozdrowotne. W interesie dziecka leży to, aby matka była w jak najlepszej kondycji. Z tego względu przypuszcza się, że komórki rozwijającego się dziecka mogą być zaangażowane w proces leczenia uszkodzeń w tkankach, które spowodowane są procesem starzenia. Faktycznie, mogą one wbudować się w tkankę matki. Tam zmieniają się i upodabniają do komórek narządu, który prawdopodobnie wspomaga swoją obecnością.

Komórki płodowe znajdowane były także w bliznach po cesarskim cięciu. W tych miejscach produkowały one cytokeratynę – białko budujące szkielet komórek nabłonkowych – oraz kolagen, dzięki któremu nasza skóra jest jędrna i elastyczna. Sugeruje to, że komórki płodowe mogą brać udział również w gojeniu ran.

Która z hipotez jest prawdziwa? Niewykluczone, że obie. Odpowiedź ta nawiązuje do pewnej koncepcji, którą w 1974 r. zaproponował biolog ewolucyjny Robert Trivers. Bywa ona nazywana teorią konfliktu pokoleń. Zgodnie z nią interesy rodziców i potomstwa nie są całkowicie zbieżne.

Konflikt rozgrywa się na poziomie inwestowania zasobów albo podejmowania działań, które zwiększają szanse przeżycia rodziców lub któregoś z potomków, jednocześnie zmniejszając zdolność rodziców do inwestycji w kolejnego potomka. Teo-

Komórki płodowe
znajdowano w bliznach
po cesarskim cięciu.
Brały udział w gojeniu ran.

Liczba bakterii
wchodzących w skład
mikroflory człowieka jest
porównywalna z liczbą
naszych własnych komórek.

ria konfliktu rodzice-potomstwo przewodzi np., że pisklęta ptaków będą oszukiwać swoich rodziców – sugerować, że są bardziej głodne niż ich rodzeństwo, choć w rzeczywistości mogły zostać nakarmione lepiej (a jednaki będą się domagać bogatszych posiłków, nawet gdyby miało to oznaczać, że rodzice pójdą spać z pustym brzuchem).

Rozwinięcie tego zagadnienia zaproponował David Haig, który zaczął rozpatrywać konflikt w kontekście ciąży. Według tego badacza płód będzie się starał uzyskać od matki jak największą ilość substancji odżywczych nawet w przypadku, gdy przestanie to być korzystne dla rodzieli. Ta z kolei będzie się starała ograniczyć przekazywanie zasobów.

Delikatna równowaga

Możemy więc przyjąć, że nastawienie na szkodę lub profity będzie zależało od zdolności do utrzymania pewnej równowagi między potrzebami matki i dziecka. Trzeba przyznać, że osiągnięcie jej nie jest łatwe.

Komórki płodu to mali manipulatorzy. Zakłada się, że działają one tak, jakby były przedłużeniem łożyska, czyli narządu, dzięki któremu dziecko jest w stanie pobrać materiał pokarmowy od matki. Wydaje się, że migrując po jej ciele, są w stanie wspomagać przenoszenie zasobów na rozwijające się dziecko.

Ciekawym przypadkiem jest laktacja. Przypuszcza się, że komórki płodowe, które znajdowane są w piersiach, mogą wiązać się z wyższym poziomem produkcji mleka. Ale korzyści, które odnosi karmione odżywczym mlekiem dziecko, rów-

noważone są przez duże koszty jego produkcji, ponoszone przez matki.

Wiele wskazuje na to, że ciało kobiety dostosowało się do tej walki i potrafi ograniczyć liczbę komórek płodowych. Jest to ważne, ponieważ ich nadmierna migracja, podobnie jak w przypadku wcześniej opisanych chorób, wydaje się być problematyczna.

Nie chodzi tutaj nawet o wyeksploatowanie swojej karmicielki. Ich nadreprezentacja występuje u kobiet cierpiących na nowotwory piersi. Im większa złożoność nowotworu, tym komórek płodowych więcej. Dlatego też dla dobra i dziecka, i matki konieczne jest osiągnięcie pewnego balansu.

Równowaga może być osiągnięta dzięki eliminacji komórek płodu przez zdolne do ich usuwania maciczne komórki odpornościowe. Jednak komórki płodowe mogą przeciwdziałać atakowi, zwiększając szybkość dzielenia się... Taki przyrost liczby „obcych” może oczywiście zwiększać prawdopodobieństwo choroby autoimmunologicznej – co najwyraźniej uruchomi kolejne procesy kontroli ze strony matki. Zabawa w kotka i myszkę trwa nieustannie.

Ale nie tylko kobiety są niejednorodnie genetycznie. Matki z każdą kolejną ciążą mają coraz większą liczbę komórek pochodzących od swoich dzieci. Te komórki – obok własnych komórek matek – mogą zostać przekazane, również poprzez łożysko, na młodsze pokolenia synów i córek. Dzięki temu także mężczyźni, którzy z oczywistych względów nie mogą uzyskać ich od płodu, stają się chimerami.

Jakie taki rodzaj transferu komórek, z matki na dziecko, może mieć konsekwencje? Ten temat jest słabiej zbadany. Można jednak przypuszczać, że znów będą to konsekwencje zdrowotne. Być może komórki przekazywane dziecku przez matkę uczestniczą w kształtowaniu układu immunologicznego albo chronią młodsze rodzeństwo przed rozwojem różnych chorób.

Świadomość, że nasze ciało składa się z genetycznie odmiennych komórek, nieco zmienia perspektywę, z której na siebie patrzymy. Nie zapominajmy jednak, że zawsze tacy byliśmy. Zmienił się tylko stopień naszej wiedzy. Mimo że nie jesteśmy jednorodni genetycznie, to jednak nadal jesteśmy indywidualnością – zbudowaną z mozaiki komórek.

WOJCIECH

Bonowicz:

Mój fake news



Z NATURY NIE JESTEM PRZECIWNIKIEM. JA BYM się w polityce w ogóle nie sprawdził, ani w wojskowości, ani w prokuraturze. Ewentualnie może byłbym dobrym księdzem, chociaż od księdza też czasem oczekuje się potępień, a ja nie wiem, czy umiałbym spełnić te oczekiwania. Za bardzo lubię życie. Życie w ogóle mi się podoba, nawet od paskudnej strony. Zawsze sobie wyobrażam, że jak ktoś jest po paskudnej stronie, to mimo wszystko ma szansę przejść na tę mniej paskudną. Jak mówi lub robi paskudne rzeczy, to może w końcu się zmęczy albo coś go oświeci, albo po prostu jakaś inna część jego „ja” dojdzie do głosu. Widziałem takie przypadki i wiem, że to możliwe. Ludzie wcale nie podobają się sobie, kiedy są paskudni. To znaczy, owszem, niektórym sprawia przyjemność, że zatrują innym życie, sprawią ból albo chociaż zepsują humor. Ale wtedy wcale nie widzą siebie jako paskudnych. Uważają nawet, że wyrządzają innym przysługę. I że w ten sposób czynią świat lepszym.

Najwięcej fake newsów produkuje człowiek na własny temat. Może moje przekonanie, że z zasady nie jestem przeciwnikiem, także jest fake newsem. Może jako polityk prześcignąłbym wszystkich w obrażaniu inaczej myślących, a jako prokurator doczekałbym się opinii mściwego i bezwzględego. Może walka jakakolwiek, z kimkolwiek, w imię czegokolwiek okazałaby się moim żywiołem – gdybym spróbował. Może wmawiam sobie, że generalnie nie lubię konfliktów i potrafię żyć

bez wroga. Każdy człowiek musi mieć wroga, nawet jeśli nie przyjmuje tego do wiadomości. Może mam umysł zmacony fake newsami, które sam o sobie wymyślam i sam ich sobie dostarczam, a naprawdę jestem bezwzględny, nikomu dobrze nie życząc i gdyby tylko dać mi szansę, udowodniłbym, jak bardzo mogę się przydać na tym czy innym froncie. „Tyle o sobie wiemy, ile nas sprawdzono”. Dajcie mi karabin i powiedzcie, w którym kierunku wystrzelić. Dajcie winowajcę, a znajdę paragraf.

A może na odwrót: może jestem po prostu tchórzem? Może moja „dialogiczność” – niechęć do eskalowania konfliktów, próby przerzucania mostów i uchylanie się od konfrontacji – to nic innego jak deficyt odwagi. Gdybym był silniejszy, śmieiej dążyłbym do zwarcia. A tak – nawet z diabłem skłonny jestem paktować. Wedle dość powszechnego przekonania, świat zmieniają ludzie, którzy wiedzą, czego chcą. Którzy nakrzyczą, napiętnują, zawstydzą, zapalą pochodnię, powiedzą „stop”, staną w obronę, a nie „dialogicy”, „symetryści” i wszystkie te blade duchy, nieskore do rozlewu krwi. Może mój fake news kryje coś wstydliwego, do czego sam przed sobą nie chcę się przyznać: że jakby przyszło co do czego, to na barykadę nie pójde, butelką w nikogo nie rzuci, w wojsku zostanie bibliotekarzem, a w prokuraturze magazynierem.

Bez wymyślania fake newsów na własny temat niejeden mógłby się załamać. Ciekawe, czy tym da się jakoś zarządzać? Bo żyjemy w czasach, gdy człowieka zaczyna się opisywać nie czym małe przedsięwzięcie. Człowiek powinien patrzeć na siebie – swoje emocje, plany, doświadczenia – jak na wielki zbiór pracowników, którym trzeba zorganizować zajęcia. Miło i pożytecznie jest wprowadzić we własne życie nieco więcej racjonalności – ale to trochę coś innego. Niby człowiek wpuszcza do swego wnętrza więcej światła, ale pada ono pod określonym kątem i wydobywa tylko określone treści, reszta zaś tonie w ciemnościach jeszcze głębszych. Tak mi się widzi, choć może mi się widzieć niewyraźnie, bo wzrok ostatnio mam mętny. Z niewyspania chyba, bo z czego? Świat dookoła zrobił się tak klarowny, że nie sposób go winić. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy
na
„Lekcje
czytania”



ZGIERZ O POSTMODERNIZMIE

Kolejne spotkanie w zgierskim Parku Kulturowym Miasto Tkaczy odbyło się w **poniedziałek 18 marca**. Uczniowie zgierskich szkół przed dyskusją obejrzeli w Teatrze Studyjnym przy PWSFTviT w Łodzi spektakl „Pomysłowe mebelki z gąbki”. Lekcję czytania, będącą próbą zmierzenia się z postmodernizmem, poprowadziła RENATA JAGODZIŃSKA.

CHOJNICE I AUTOBUSY

„Autobusy kursują nieregularnie”. Poezja i sprawy prozaiczne – to temat lekcji, którą w II LO w Chojnicach w **piątek 22 marca** poprowadzi JAKUB KORNHAUSER. Spotkanie odbędzie się przy okazji happeningu „Wszystko jest poezją” organizowanego przez chojnickich licealistów z okazji Światowego Dnia Poezji.

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na [f](#) / LekcjeCzytania





Maria Janion w swoim gabinecie, Warszawa, 2007 r.

ARCHIWUM EGZYSTENCJI

Ludzie wierzą, że starcy mają coś ważnego do powiedzenia. Tymczasem na ogół jest to – jak sądzę – coś głęboko pesymistycznego, o czym lepiej milczeć, bo nie należy ludzi martwić.

MARIA JANION

UHONOROWANA SZCZEGÓLNĄ, ROCZNICOWĄ NAGRODĄ POLSKIEGO PEN Clubu, odczuwam radość i wdzięczność. Po chwili namysłu otrzymanie tej wspaniałej nagrody wywołało we mnie pewne zadziwienie. Wiąże się ono z postacią Jana Parandowskiego, jej patrona. Zetknęłam się z wczesną twórczością Parandowskiego w Wilnie, jako uczennica. Za sprawą ukocha-

nej nauczycielki łaciny pasjonowałam się wówczas antykiem. Parandowski stał się dla mnie imponującym przewodnikiem po epoce, którą poznawałam i uwielbiałam.

W ten sposób – i stąd bierze się moje zdziwienie – postać znana przed wieloma laty, we wczesnej epoce przebudzenia umysłu, pojawia się teraz, u schyłku drogi.

DZIŚ MÓJ UMYŚŁ ZAJĘTY JEST, TAK SAMO JAK ZAWSZE, bieżącymi sprawami, ale i prywatną starożytnością, tym właśnie okresem pierwszych poważnych lektur, myślenia i rozbuchania wyobraźni. Międzywojniu poświęcam teraz całą uwagę, czytam prawie tylko o tym. Objawiła mi się więc kolistosc czasu. Powrócił obraz przedwojennego pisarza, którego potem osobiście nie poznałam, ale w dorosłym życiu widywałam z daleka, gdy mieszkaliśmy po sąsiedzku na starej Ochocie w Warszawie.

Uradowana wyrazistym sygnałem ze świata – zawiadomieniem o nagrodzie – sięgnęłam po jeden ze zbiorów zapisków Jana Parandowskiego, po tzw. kartki. Niestrudzenie gromadził na nich okrucy istnienia, widok z okna, lektury, myśli i całą tę cechującą jego życie umysłowe zadziwiającą wielowymiarowość, przebywanie zarazem tu, wśród współczesnych, jak i tam, wśród starożytnych. Zdałam sobie sprawę, że odnotowana w tych „Refleksjach” z lat 60. rocznica pięćdziesięciolecia niepodległości to haniebnny rok wypędzenia Żydów z Polski.

U Parandowskiego uderza powracające doświadczenie wojny. Jedno z najstraszniejszych jego doświadczeń II wojna wywołała niejako mimochodem. Wówczas spłonęły w Krakowie jego biblioteka i jego archiwum.

OBRAZEM WOJNY JEST DLA MNIE GRUPA KOBIET Z DZIEĆMI biegnąca gdzieś drogą, same nie wiedzą dokąd, pewnie do lasu. Oglądają się co chwila, czy nie lecą samoloty, czy nie spadną bomby na nie i na dzieci. Mama też chciała tak uciekać ze mną do lasu, ale ja się przeciw temu buntowałam i raczej trzymałyśmy się domu, mimo wszystko – domu, czyli w końcu piwnicy. Ale znam aż nazbyt dobrze ten strach przed pożarem, widmo płonących rękopisów, książek, notatek, kopii. Niekiedy sędzę, że to właśnie obcowanie ze zgłiszczami wojennymi, z ruinami i szczątkami utrwaliło we mnie manię zbierania wszystkiego, co zapisane słowami.

U Parandowskiego często pojawia się słowo *pax*, pokój, i myśli wokół tego, czym on jest w Europie. Bez pamięci o wojnie nie da się tego pojąć. Pamięć nie jest możliwa bez archiwów i bibliotek. Bez nich, w moim odczuciu, nie jest możliwe życie. Czym byłaby nasza wiedza o sposobach istnienia podczas wojny i podczas pokoju, gdyby nie istniały biblioteki, zbiory źródeł, zapisy, notatniki, listy, dokumenty? Dzięki nim pojmujemy, co to znaczy być człowiekiem.

Dziś na temat własnego, obecnego istnienia staram się nie myśleć zbyt ściśle. Wiem, czym to – życie – się kończy. Ludzie wierzą, że starcy mają coś ważnego do powiedzenia, tymczasem na ogół jest to – jak sędzę – coś głęboko pesymistycznego, o czym lepiej milczeć, bo nie należy ludzi martwić.

Prowadziłam życie dosyć ograniczone. W ogóle tego nie żałuję, po prostu to wiem, przedtem nie wiedziałam. Żyłam w zakonie, w służbie instytucji naukowych, uniwersytetu, instytutu. Traktowałam to bardzo serio. Gdybym traktowała mniej serio, zajmowała się nie tylko najpoważniejszymi rzeczami, byłoby mi łatwiej.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ CZYTAM I ROZMYŚLAM TERAZ O ZWIERZĘTACH, o psie, którego nigdy nie miałam, o tym, co powiedział kot odwiedzający dom mojego brata. Dawniej zwierzęta należały do tych mało istotnych spraw. Teraz wiem, że zwierzęta są

piękne. Czytam Adama Wajraka. Jem zdecydowanie mniej mięsa niż dawniej. Dalej mam te same zainteresowania i sympatie polityczne. Dalej elektryzująco działają na mnie tytuły niektórych nowości wydawniczych, napotykanie w prasie. Dalej źle znoszę rozstania z zapisanymi stronami, wszystko jedno, czy kiedykolwiek były ważne, czy zawsze nieważne.

Pasjonowało mnie przez całe życie coś, co nazywałam archiwum egzystencji – próba zachowywania najdrobniejszych śladów, ocalanie wszystkiego. Bardzo często rozmyślałam o Archiwum Emanuela Ringelbluma, o zasobach z samego środka Zagłady. Myślę o nieodnalezionej ich części, spoczywającej gdzieś w ziemi.

Głęboko teraz odczuwam doniosłość działań Archiwum Kobiet Instytutu Badań Literackich PAN. Nie tylko dlatego, że dzięki życzliwości władz instytutu znacząca część moich naukowych papierów znalazła schronienie w jednym z pokojów Pałacu Staszica, co przyniosło mi spokój ducha, ale i, co nie bez znaczenia w mojej sytuacji, komfort codziennego życia.

Zespół pod kierownictwem Moniki Rudaś-Grodzkiej, gromadzący i prowadzący elektroniczne katalogi pism osobistych tworzonych przez kobiety na przestrzeni wieków, podjął się realizacji idei wyjątkowo mi bliskiej. Duchami opiekuńczymi przedsięwzięcia, jak czytałam w jego „Manifestie”, są moi ukochani autorzy – Jules Michelet i Walter Benjamin. Obaj, jak przypomina Monika, autorka „Manifestu”, uważali obcowanie z archiwaliami za rodzaj przeżycia metafizycznego. Wyjątkowa wrażliwość kazała im odbierać impulsy odległego czasu i wypełniających go istnień, domagających się od historyków zbawienia, dopełnienia niewypełnionego życia. Czytając „Manifest” Archiwum Kobiet IBL PAN, uświadomiłam sobie, że moja mania zbieractwa tekstów ma swoich wielkich, dawnych sprzymierzeńców i młode, współczesne sprzymierzeńczynie.

SAMA, JAK WALTER BENJAMIN, NIGDY NIE MOGŁAM wyzbyć się poczucia odpowiedzialności za drobiazgi, fragmenty, ślady. Zbiór dokumentów osobistych, intymnych pism, ale i nieraz śmieć z pozoru, szpargał, zapisane czyjaś ręką notatki, bilet tramwajowy z nagryzmołonym numerem czyjś domu albo telefonu, kartka na żywność – to wszystko, gdy przemienia się w archiwalny obiekt, zostaje ocalone, może zbawione właśnie. Cywilne, egzystencjalne Archiwum Kobiet IBL PAN to urzeczywistnienie marzenia, którego sama nie miałabym sił i możliwości zrealizować. Przyznaję, w znacznej mierze przyczynia się teraz do tego technologia cyfrowa.

Ktoś pewnie by zapytał, czy projekt świeckiego zbawienia przeszłych istnień przez pracę historyków traktuję poważnie, czy nie jest to jedynie piękna bajda dla ateistów i ateistek. Otóż tak, traktuję to z największą powagą. Formułowana przez Benjamina i niesiona przez feministyczne archiwistki idea przedstawia samą cierpiącą ludzkość jako Mesjasza. Tylko my sami, jako ludzkość, możemy się zbawić. Sami, poprzez pamięć przeszłości. ©

Słowa przesłane przez Laureatkę z okazji otrzymania nagrody Polskiego PEN Clubu w 100-lecie odrodzonej Polski oraz 40-lecie śmierci Jana Parandowskiego, odczytane podczas uroczystości pod jej nieobecność. Tytuł i lead pochodzą od redakcji.

PĘDŹMY!

IWONA BIELSKA, AKTORKA:

Trzeba pamiętać, ale nie wolno chować urazy.
Życie pędzi, nie da się go zatrzymać
i otulić zamierzchlą historią.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czemu Marlena Dietrich?

IWONA BIELSKA: Fascynuje mnie jako człowiek bardziej niż jako aktorka. Kobieta o niezwykłym, pogmatwanym życiorysie. Podobnie jak Leni Riefenstahl – ona też miała bogaty, ale jakże inny życiorys...

Riefenstahl sama zaoferowała Hitlerowi usługi jako reżyser. Najpierw nakręciła „Zwycięstwo wiary” – dokument o dochodzącej do władzy Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników. Potem był „Triumf woli” o zjeździe NSDAP, dalej „Olimpiada”, o igrzyskach w Berlinie w roku 1936. Wszystkie te tytuły to dziś klasyka filmu propagandowego.

Mój syn Michał studiował na wydziale operatorskim w Berlinie. Studenci zaczynają tam edukację od obejrzenia „Olimpiady”, jako prekursorskiego dzieła operatorskiego. Jej słynne wykopy przy skoczni w dal – sadowiła w nich kamery, by szkoczek zdawał się frunącym Ikarem. Na stadionie było 48 kamer – rewolucja w świecie filmowym. A potem, już po wojnie, przez politykę została pozbawiona głosu. Francuzi oskarżyli ją o bliską współpracę z nazistami, pogrążyły ją zeznania byłych jeńców z obozów koncentracyjnych – twierdzili, że zmuszała ich do udziału w swoich filmach.

Najpierw trafiła do aresztu, potem do zakładu psychiatrycznego. A gdy była już na wolności, przez resztę ponadstuletniego życia chciała udowodnić, że jest nieprze-

ciętna. Pojechała do Afryki, by fotografować plemię Nuba – albumy z jej zdjęciami to dzieła sztuki. W wieku 70 lat nauczyła się nurkować i kręciła podwodne filmy dokumentalne. I przez całe życie z determinacją próbowała oczyścić się z zarzutu fascynacji nazizmem i Hitlerem.

W sztuce pt. „Marleni”, wystawionej w Teatrze Starym w Lublinie, zagrała Pani Marlenę, która za okupacji opowiedziała się przeciwko Hitlerowi. Występowała dla amerykańskich żołnierzy. Za swoją postawę zapłaciła ogromną cenę – nie mogła już żyć w ojczyźnie. W Niemczech była *persona non grata*. W sztuce Dietrich i Riefenstahl spotykają się jako dziewięćdziesięciolatki. I rozliczają się ze swojej przeszłości.

Wyobraźnia autorki sztuki, Thei Dorn, każe spotkać się tym dwóm nieprzeciętnym kobietom w dniu śmierci Marleny, w jej paryskim mieszkaniu. Obie desperacko bronią swoich życiowych wyborów. O ile decyzje Leni wydają się racjonalne, o tyle wycofanie się Marleny z życia pozostaje tajemnicą. Była bardzo odważną kobietą i tak też myślę o jej zamknięciu się przed światem. Bo trzeba chyba wielkiej odwagi, żeby zdać sobie sprawę ze swojej słabości – w 1972 r., prawdopodobnie pod wpływem alkoholu, Marlena podczas występu spadła ze sceny i złamała kość udową. Wtedy na zawsze zerwała z dotychczasowym życiem, ze sceną, ale nie z piciem. Tego nie potrafiła albo nie chciała.





GRAZYNA MAKARA

IWONA BIELSKA (ur. w 1952 r. w Łodzi) ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Krakowie. Po studiach związana z Teatrem im. J. Słowackiego, Starym Teatrem, Teatru Stu w Krakowie oraz Rozmaitości i Imka w Warszawie. Grała w filmach i spektaklach Mikołaja Grabowskiego, Krystiana Lupy, Pawła Miśkiewicza, Wojciecha Smarzowskiego, Andrzeja Wajdy, Petra Zelenki i Andrzeja Żuławskiego. W styczniu w Teatrze Starym w Lublinie odbyła się z jej udziałem premiera „Marleni” – sztuki wyreżyserowanej przez Mikołaja Grabowskiego, prywatnie męża aktorki.

Wybór Marleny, jakże dla nas oczywisty – w czasie wojny śpiewała w cekinowej sukience piosenki podtrzymujące na duchu amerykańskich żołnierzy – nie przysporzył jej tylko chwały. Część Niemców uważała ją za zdrażczynię, podczas występu w Berlinie obrzucono ją pomidorami, a jej grób bywa do dzisiaj dewastowany. Tymi dwiema kobietami życie miało od ściany do ściany, a one mimo wszystko trwały.

Obie były też niewolnicami swojej legendy. Wkładały mnóstwo wysiłku, by ludzie zapamiętali je jako młode i atrakcyjne.

Każda w skrajnie różny sposób. Marlena przez ostatnie lata nie pokazywała się nikomu – nawet kucharz, który przynosił jej obiady, musiał zostawiać je pod drzwiami. A Leni ratowała się groteskowo dużą ilością botoksu.

**Pani rozumie ten ich strach przed przemijaniem?
Z każdym dniem coraz bardziej.**

Losy tych dwóch kobiet pokazują, jak artysta zależny jest od aktualnej polityki. Wielu europejskim reżyserom i aktorom historia zablokowała karierę lub doprowadziła do śmierci cywilnej. Pani też odczuła na własnej skórze, co mógł, a czego nie mógł artysta w PRL-u. Potem w stanie wojennym, kiedy odbywał się bojkot telewizji.

→ Pierwszy raz polityka zaingerowała w moje życie artystyczne, kiedy wice-minister kultury kazał przerwać produkcję filmu „Na srebrnym globie” Andrzeja Żuławskiego. Jeśli pyta pani o bojkot telewizji, to w stanie wojennym był dla nas czymś oczywistym. Tylko nieliczni zdecydowali się współpracować z instytucją, która była kłamliwą, partyjną tubą propagandową. Teraz niestety tylko nieliczni dokonują podobnego wyboru z podobnych przyczyn. Postanowiłam dołączyć do tego grona. A w ogóle myślę, że wszystko trochę spisało. Spisały stosunki międzyludzkie, życie spisało. Przepraszam wszystkie psy za wykorzystanie ich do tak negatywnej refleksji.

Aż tak: życie spisało?

Coraz więcej w nim strachu, lęku o bliskich, coraz więcej chorób, coraz mniej rozmawiamy naprawdę, coraz więcej kłamiemy, udajemy. I ta bolesna – nie tylko dla mojego pokolenia – próba niszczenia autorytetów.

A jak było, kiedy zaczynała Pani u schyłku lat 70. występować na scenie?

Bardziej klarowna była hierarchia wartości. Zresztą nawet przykre epizody, jak np. wyrzucenie mojego męża z funkcji dyrektora Teatru Słowackiego przez władzę ludową, w krótkim czasie zamieniały się w sukces. Zostaliśmy przygarnięci przez Krzysztofa Jasińskiego w Teatrze Stu i tam Mikołaj zrobił kilka spektakli, które graliśmy przez lata przy uwielbieniu publiczności w całej Polsce. Myślę tu np. o „Opisie obyczajów” ks. Jędrzeja Kitowicza czy „Scenariuszu dla trzech aktorów” Bogusława Schaeffera, które to przedstawienie jest swoistym fenomenem, bo panowie – Mikołaj i Andrzej Grabowscy oraz Jan Peszek – grają je po dziś dzień od ponad 30 lat. Byłam wtedy świeżo upieczoną matką i to było dla mnie najważniejsze, wszystko inne było mniej istotne.

Naprawdę?

Jasne. Która rola, nawet niesamowicie zagrana, ma jakikolwiek wpływ na cokolwiek?

Ma chyba wpływ na spełnienie zawodowe.

Tak, ma. Rzeczywiście znam parę osób, które pod wpływem naszych spektakli podjęły ważne decyzje życiowe, np. zo-

IWONA BIELSKA:

Z życiem dobrze jest
być pogodzonym.
Nie oczekiwać, nie mieć
wiecznych pretensji
do świata, nie domagać się
bezpodstawnego uznania.
Chciałabym taką postawę
widzieć jako
naszą narodową cechę.

stali aktorami. Pamiętam też kobietę, która zaczęła mnie na ulicy i dziękowała za „Opis obyczajów”, dzięki któremu, jak twierdziła, przetrwała trudne chwile na emigracji.

Zagrała Pani role nie do zapomnienia w „Królowej i Szekspirze”, „Niewinie”, „Factory 2”... Występowała Pani u Wajdy, Miśkiewicza, Lupy...

...Grabowskiego! To, że zagrałam kilka dobrych ról i dostałam trochę nagród, nie daje mi prawa do poczucia wyjątkowości. Czy to ma jakieś znaczenie? Przecież dzisiaj ludzie, którzy przychodzą zdawać egzaminy na reżyserię, nie wiedzą, kto to był Konrad Swinarski. Jak byłam bardzo młoda, chciałam być wyjątkowa, nietypowa i oryginalna. Studniówkę spędziłam nie na tańcach, lecz z koleżanką w klasie. Słuchaliśmy muzyki poważnej.

No rzeczywiście...

Koleżanka mieszka teraz w Nowym Jorku i jest nadzwyczajnym naukowcem w klinice onkologicznej – prowadzi badania nad lekiem na raka. Aktorstwo zaczęło się dla mnie w liceum. Pisałam scenariusze do okolicznościowych akademii, brałam w nich udział i pamiętam, że spodobał mi się ten rodzaj kontaktu: głos ze sceny – widownia. A później, już po studiach w krakowskiej PWST, wszystko potoczyło się jakoś tak normalnie. Grałam w filmach, dużo w teatrze, urodziłam syna i nastąpiła naturalna przerwa.

To był dobry czas?

Wspaniały! Bardzo lubiłam być mamą. Nie znam żadnych ciemnych stron macierzyństwa. Może dlatego, że nasz syn był pogodnym, niesprawiającym kłopotów dzieckiem. Jest taki zabawny epizod w jego dzieciństwie, który doskonale go charakteryzuje. Jako 6-latek Michał wziął udział w Zakopanem w wyścigu kolarskim dla dzieci. Startowało ich 74. On dotarł na metę dobrą chwilę po wszystkich. Rozglądał się wokół, wcale się nie spieszył, dostał wielkie brawa. Pytamy: „Misiu, dlaczego tak wolno jechałeś, zatrzymywałeś się, gadałeś z ludźmi?”. On na to: „Ja pędziłem!”. Żył w przeświadczeniu, że wyścig wygrał, bo dostał brawa. Ta jego odpowiedź weszła w nasze życie. Gdy pisał maturę, na esemesa z pytaniem „Jak poszło?” odpisał: „Pędziłem!”. Dyplom za zajęcie 74. miejsca w wyścigu kolarskim zdobi ścianę w naszym domu.

Pozazdrościć życiowej mądrości.

Wie, czego chce. Gdy dwa razy nie dostał się na studia w Polsce, zdecydował, że będzie próbować w Berlinie. Mówiliśmy: „Misiu, ale ty nie znasz niemieckiego”. „To się nauczę”. Zdał, skończył, pracuje w zawodzie. Widzę, że ludzie lubią z nim pracować. Widziałam go raz w akcji na planie: jest uroczy. Nie denerwuje się i nie wrzeszczy. To są prawdziwe sukcesy w życiu.

Są!

Z życiem dobrze jest być pogodzonym. Myślę, że nie oczekiwać, nie mieć wiecznych pretensji do świata, nie domagać się bezpodstawnego uznania – to wielka zaleta. Chciałabym taką postawę widzieć jako naszą narodową cechę, w opozycji do tej, która ciągle domaga się uznania naszej wyjątkowości, lansowania tezy, że jesteśmy wielcy i nieskazitelni, bohaterscy i niedocenieni przez zły, niesprawiedliwy świat. Nie rozumiem patriotyzmu wyrażającego się tylko w wielkich słowach.

A w małych?

W małych to jest dla mnie przestrzeganie na co dzień konstytucji, chodzenie na wybory, niepalenie plastiku i opon w piecach, niewyrzucanie śmieci w lesie, zbieranie psich gównien itp., itd. Słowem, dbanie o najbliższą ojczyznę. I trzeba myśleć. I nie dawać sobą manipulować... Ale to już chyba coraz trudniejsze, ponieważ poziom edukacji w szkołach jest coraz nędzniejszy... Te testy i testy.

W moim łódzkim liceum miałam dwie profesorki – polonistkę i historyczkę – które wywarły na mnie ogromny wpływ. Polonistka, wtedy wydawało nam się, że ma ze sto lat, nosiła dwa różne buty, do których zakładała dwie różne skarpetki. Była cudowną osobą, niektóre jej powiedzenia pamiętam do dziś. Koleżanka usprawiedliwiała się: „Pani profesor, ja wiem, tylko nie umiem tego powiedzieć”. Ona: „Jak nie umiesz powiedzieć, to znaczy, że nie wiesz. Tylko myśl wypowiedziana jest wiedzą”. Powtarzała: „Pamiętajcie, od wzniosłości jest tylko krok do śmieszności”. I przestrzegała nas przed nadużywaniem zaimków rzeczownych...

A historyczka mówiła: „Mogą mnie zamknąć, powiem wam prawdę o Katyniu”. Więc taką wiedzę czerpałam ze szkoły w latach 60.

Poza tym miałam mądry i różnorodny dom.

W jakim sensie różnorodny?

W takim, że o ile rodzina ze strony taty miała korzenie czysto polskie, o tyle od strony mamy była międzynarodową mieszanką. Prababcia była Niemką. Przyjechała do Łodzi ze swoim ojcem, który wybudował tam fabrykę włókienniczą. I w Łodzi prababcia poznała męża – Rosjanina, ponoć adiutanta cara. Pradziadek pochowany jest w Łodzi na cmentarzu prawosławnym.

Czyli Pani pradziadkowie to Niemka i Rosjanin.

Z tych rodziców urodziła się moja ukochana babunia Ania, która następnie wyszła za pół-Francuza. I o ile babcia Ania na co dzień mówiła po polsku, to zawsze liczyła po rosyjsku. Była przepiękną kobietą. Każdego wieczoru kręciła włosy na białku: na palcu robiła kręciołka, przypinała go spinką, na głowę zakładała siateczkę i rano miała gotową fryzurę. Babunia dbała o siebie, zawsze była elegancka – długie paznokcie były zawsze czerwone.

Pałiła papierosy przez szklaną, długą firkę... Dziadek nie znoślił dymu, więc gdy tylko wychodził do pracy, to babunia siadała przed piecem kaflowym, otwierała drzwiczki i wdmuchiwała tam dym z papierosa.

Sprytnie.

Dziadkowie tworzyli komiczne małżeństwo. Babunia miała gest rozdawnictwa, a dziadek był przesadnie oszczędny.

W ich domu było mnóstwo antyków. Babunia zaznajomiła się z panią, której syn zbierał starocie, i sprezentowała mu trzy tulskie samowary. Dziadek mnie męczył: „Powiedz, wiesz, komu babunia dała te samowary?”. Ja: „A jakbym wiedziała, to co?”. Dziadek: „To pójde, powiem, że ona jest chora na umyśle, i odbiorę”.

Trochę mu się nie dziwię.

Pewnie by tego nie zrobił... Ale dziadek potrafił do absurdu doprowadzić swoją oszczędność: gdy jechał autobusem w określone miejsce, to gdy wracał, tak długo czekał na przystanku, póki nie przyjechał ten sam numer boczny, wtedy nie musiał po raz drugi kasować biletu. Z Elą, moją siostrą, na Gwiazdkę kupowałyśmy mu ich cały bloczek. Ale sam się śmiał z tej swojej wady, wiedział, że to przesada. Jazdę na gapę – co też się mu zdarzało – traktował jako rodzaj hazardu.

Proszę opowiedzieć więcej o rodzinie taty.

Kuzynka dziadka była szpiegiem, w Berlinie została zdemaskowana i zgilotynowana. Natychmiast aresztowano całą rodzinę; to był rok 1942. I mój dziadek, który był kruczo czarny, z przesłuchania wyszedł kompletnie siwy. A jego córki zostały wywiezione na roboty do Niemiec. Babunia na starość, gdy słyszała coś po niemiecku, tak mocno zaciskała ręce, że robiły się sine. Ale nigdy nie wypowiadała złych słów. Czasem myślę, że związek Michała z Niemką byłby dla nich trudny do zniesienia.

Sądzę, że moja otwartość na świat wzięła się z tej rodzinnej mieszanki wielokulturowej.

Jeszcze opowiem o wujku, bracie oszczędnego dziadka Juliana. Wujek miał trzech synów. Jeden był studentem SGH i zmarł na gruźlicę, drugi zginął w kampanii wrześniowej, a o trzecim na początku wojny słuch zaginął. Proszę sobie wyobrazić, że wujostwo całe życie – tak ich zapamiętałam – spędzali na pisaniu do Czerwonego Krzyża, do ambasad, do byłych obozów, do więzień na całym świecie, by się dowiedzieć, co się stało z ich synem.

Dowiedzieli się?

Ciąg dalszy tej historii jest taki: w latach 80. pojechaliśmy do Hamburga, gdzie Mikołaj reżyserował „Emigrantów”. Gdy wracaliśmy do Polski, bagażnik naszego auta koledzy z opozycji załadowali bibułą

i książkami z drugiego obiegu – mieliśmy to wszystko rozkolportować. I tam była m.in. książka zatytułowana „Katyń”. Do dzisiaj trzęsę się na to wspomnienie: czytam listę pomordowanych i trafiam na nazwisko wuja. Jest na liście, został zamordowany w Ostaszkowie. To był właśnie ten trzeci syn. Wujostwo nie doczekali tego momentu. A za życia do głowy im nie przyszło, by szukać go w Rosji, szukali wyłącznie po obozach niemieckich. Moja mama była ogromnie wzruszona, kiedy wręczyłam jej tę książkę.

I jeszcze jedna historia. Siostra babuni Ani wyszła za mąż za Żyda. Mama mówiła, że to był jej ukochany wujek. Ktoregoś dnia sąsiad doniósł Niemcom i wujek trafił do łódzkiego getta. Jego córka Dusia, kuzynka mojej mamy, codziennie jeździła zamkniętym tramwajem przez getto. Stała przy oknie, jej ojciec czekał w umówionym miejscu i machali dyskretnie do siebie. Ale pewnego dnia go nie było. I ciocia Dusia też całe życie szukała po nim śladu. Bezskutecznie. Pamiętam, w Brzezince rozplakała się przy stojącym tam muzealnym wagonie: „Może tutaj tatusia przywieźli”...

Tyle polskich rodzin przeżyło podobne historie.

Ważne, żeby o tym pamiętać, ale ważniejsze, żeby nie chować urazy, nie przeżywać historii do tego stopnia traumatycznie, aby przesłaniała widzenie dzisiejszego dnia. Życie pędzi, nie da się go zatrzymać i otulić pewnie okrutną, ale zamierzchnią historią.

Co jeszcze jest ważne w życiu?

Ludzie: bliscy i przyjaciele. I zdrowie. I humor! Może on jest nawet najistotniejszy? Nie należy się sobą tak strasznie przejmować. Jak mówi Leni Riefenstahl: „Z każdym rokiem coraz bardziej oddalas się od faktów. Aż wreszcie stają się tylko czarna kropka na horyzoncie”. „Gównem mrówki” – odpowiada Marlena.

A przyjaźnie są istotne?

Bardzo. Mam wiele wspólnych koleżanek. Zanudziłabym panią wymieniając wszystkie. Córka jednej z nich robi teraz karierę jako perkusistka w Stanach Zjednoczonych, gra m.in. ze Stingiem. Pani pytała, co jest ważne. To jest właśnie ważne: gdy naszym dzieciom układa się w życiu.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Drugi pogrzeb idola

ANITA PIOTROWSKA

Zło przebrane za dobro jawi się bardziej demoniczne niż zło samo w sobie. A przypadek Michaela Jacksona odbiera jeszcze coś: frajdę ze słuchania jego starych przebojów.

PEWNEGO DNIA OKAZAŁO SIĘ, ŻE AUTOR naszej kultowej książki z dzieciństwa grubo przesadził w swojej fascynacji nim-fetkami z krainy czarów. Potem przyszła wiadomość, że sympatyczny komik telewizyjny to tak naprawdę obleśny wilk w owczej skórze, a guru amerykańskiego kina niezależnego od lat bezkarnie molestuje młode kobiety. Nawet ulubiony niegdyś nowojorski reżyser, słynący z błyskotliwej autoanalizy swoich kompleksów i fobii, nagle przestał być zabawny... W dobie wszechwiedzących mediów kolejni idole spadają nam z piedestałów.

Jak z tym żyć?

To pytanie zadają sobie dzisiaj wielbicieli Michaela Jacksona – na całym świecie i w różnym wieku, bo zdążył zawładnąć wyobraźnią kilku pokoleń. Obejrawszy wstrząsający dokument „Leaving Neverland”, współprodukowany przez Channel 4 i HBO, chciałoby się, wzorem bohaterów filmu, urządzić rytualne całopalenie pamiątek po nim. Zerwać, choćby tylko w wyobraźni, powieszony ongiś nad łóżkiem plakat. Wyszarpać z magnetofonu kasetowego marki Grundig kręcącą się ciągle taśmę z „Billie Jean”.

Dla tych, którzy dorastali w latach 80., kiedy gwiazda Jacksona świeciła najjaśniej, szczególnie z perspektywy przyszłego PRL-u, szokujące wyznania mężczyzny seksualnie wykorzystywanych w dzieciństwie przez „króla popu” są niczym wygnanie z Nibylandii. Dlatego film Dana Reeda zbiera na forach internetowych skrajne opinie.

Wielu oponentów czuje się, jakby sami zostali zgwałceni. Inni mówią, że zabrał im kawałek dzieciństwa. Ci najbardziej radykalni odrzucili film, zanim jeszcze zdążyli go obejrzeć. Co ciekawe, w dniu polskiej premiery, kiedy mało kto zdołał zobaczyć w całości czterogodzinny dokument, na najważniejszym polskim por-

talu filmowym miał już wystawioną lichą ocenę 4,3/10. Dwa dni później skoczyła powyżej 6 i dalej rośnie – dobitny znak, że nasze domniemania i zranione sentymenty czasem warto zweryfikować.

Z komentarzy wokół „Leaving Neverland” pobrzmiwa ton podwójnie żalobny. Za chwilę minie 10. rocznica przedwczesnej śmierci Jacksona, a tymczasem w oczach wielu fanów dokument Reeda dokonał czegoś na kształt bezprawnej ekshumacji i zbezczerstwienia naszej pamięci o Michaelu. Niczym w słynnym teledysku „Thriller” (1984), słodki młodzieniec na naszych oczach przeistoczył się w wilkołaka.

Ta zmiana nastąpiła zresztą już wcześniej, czego nowe pokolenia fanów zdawały się nie zauważać. Bajkowy Piotruś Pan w paradnym mundurze i cekinowych rękawiczkach, będący zawsze gdzieś „pomiędzy”: dorosłym i dzieckiem, czarnym i białym, mężczyzną i kobietą, lecz właśnie w tej wieloznaczności najbardziej pociągający, z roku na rok, pod wpływem kolejnych operacji plastycznych, zaczął przemieniać się w zombie, istotę z pogranicza życia i śmierci.

A jednak nawet wtedy, gdy na początku lat 90. przestawał przypominać samego siebie i pojawiły się pierwsze oskarżenia o molestowanie dzieci, fani stawali za nim murem, przekonani o jego niewinności. Nawet dla postronnych funkcjonował przez lata jako barwny i niegroźny dziwłag, w dodatku sam kiedyś skrzywdzony przez ojca, który dopuszczał się różnych nadużyć, zmuszał go do morderczej pracy w zespole The Jackson 5 i koniec końców pozbawił dzieciństwa.

Nie tylko Wade Robson, James Safechuck czy rzesze innych chłopców w wieku od lat siedmiu do czternastu, nie tylko ich rodzice i krewni uwierzyli kiedyś naiwnie, że dorosły mężczyzna śpiący w jednym łóżku z nieletnimi wielbi-

cielami robi to z czystej miłości do dzieci, z poczucia samotności, z tęsknoty za normalnym życiem. Reakcje widzów na film Reeda dowodzą, że w wielu przypadkach to uwiedzenie trwa nadal.

Ślepy blask

Jedno z najbardziej dręczących pytań, z jakimi pozostawia nas ów dokument, dotyczy trwającego prawie 30 lat milczenia Robsona i Safechucka na temat tego, co się zdarzyło w posiadłości Neverland. Bardziej szczegółowe odpowiedzi znajdziemy m.in. w dostępnym na YouTube programie Oprah Winfrey, gdzie wspomniani mężczyźni tłumaczą, jak w przypadku każdego z nich działał ów „zły dotyk”, a następnie jak uzewnętrzniała i uwewnętrzniała się spowodowana nim trauma.

Z ich słów wylania się cały jej podręcznikowy mechanizm, powtarzające się akty zaprzeczenia i wyparcia. Łatwo zauważyć, że odtwarzają się one nie tylko w bardzo licznych przypadkach pedofilii, ale powracają też w dzisiejszych postawach fanów Michaela. Wielu z nich natychmiast po obejrzeniu filmu Reeda, albo nawet jeszcze przed, wchodzi w rolę adwokatów diabła. Staje się domorosłymi psychologami i psychiatrami, znawcami kina dokumentalnego i amerykańskiego sądownictwa. Jakby z całych sił nie pozwalali sobie odebrać pięknych wspomnień.

Tak właśnie działa ów miłosny „syndrom stokholmski”, który czasem rozpoznaje się u molestowanych. Można odnieść wrażenie, że dotyczy on również niektórych widzów, którzy gorliwie zaprzeczają temu, co usłyszeli z ekranu, i za pomocą pozornie racjonalnych argumentów usiłują zdyskredytować cały film. Zarzuca się więc, że Reed oddaje w nim głos wyłącznie domniemanym ofiarom i ich bliskim, choć przecież „Leaving Neverland” już z samego założenia nie jest dokumentem śledczym, ważącym racje i rozpatrującym twarde dowody.

Mówi się też, że wyznania zostały sfabrykowane na etapie scenariusza, a bohaterowie są aktorami, dla jednych bardzo kiepskimi, zmanipulowanymi przez reżysera, to znów zasługującymi na Oscary w swoim perfekcyjnym kłamstwie. Słyszemy, że dokument Reeda jest rozwlekły, nazbyt obsceniczny i na dokładkę podsztybił rasizmem. Wreszcie – że Safechuck i Robson zdecydowali się wystąpić przed kamerą wyłącznie dla pieniędzy i sławy, jakkolwiek to pierwsze przy produkcji



Kadr z filmu „Leaving Neverland”

filmu w ogóle nie wchodziło w grę, a drugie wydaje się wątpliwe w sytuacji, gdy dorośli mężczyźni, dziś mężowie i ojcowie, na dodatek będący w procesie psychoterapeutycznym, powinni nade wszystko cenić sobie wewnętrzny spokój, nie zaś brukowy rozgłos.

Pozostawmy ostateczne rozstrzygnięcie sądom i wpływającemu czasowi. Tylko patrzeć, jak zaczną objawiać się kolejni poszkodowani bądź podszywający się pod nich, a za nimi kolejni zaprzeczający wszystkiemu niegdyśiejsi „przyjaciele” Michaela. Być może pojawią się także naczni świadkowie inkryminowanych czynów, ale to nie wpłynie znacząco na wartość dokumentu Reeda. Nie odbierze mu emocjonalnej siły i nie umniejszy tego, co zdążył już wywołać.

Uporczywa racjonalizacja bywa, jak wiadomo, jednym z wielu mechanizmów obronnych. Szok i niedowierzanie przybrały w internecie postać albo medialnego linczu, albo właśnie – *nomen omen* – wybielania muzycznego idola. Oślepiający blask Jacksona jako ikony i żywotność tego, co po sobie zostawił na gruncie kultury popularnej, bywają bowiem w dalszym ciągu tak silne, że nasze rozczarowanie czy gniew mimowolnie przenosimy na tych, którzy ośmielili się zeskro-

bać warstwę pozłotka. Utożsamienie człowieka z jego dziełem nie pozwala dostrzec, że chociaż Michael Jackson bez wątpienia był scenicznym fenomenem i autorem nieśmiertelnych piosenek, a wielu z nas po prostu „zrobił dzieciństwo”, to coraz trudniej będzie nazwać go przyjacielem dzieci. Przynajmniej w sensie ścisłym.

Upadek czy konwencja

Problem w tym, że upadku idoli doświadczamy zwykle boleśniej i znacznie bardziej osobiście niż upadku klasycznych autorytetów. Bałwochwalczy kult gwiazd jest najczęściej cechą wieku formacyjnego i bardziej dotyczy emocji (i hormonów) niż intelektu. Łatwiej przejść do porządku dziennego nad informacją o flircie wybitnego filozofa z nazizmem niż pogodzić się z moralną degradacją kogoś, kto wyzwał w nas erotyczne porywy. Zwłaszcza gdy sam zdawał się wówczas istotą nieskalaną, półboską, wiecznym dzieckiem uwięzionym w dorosłym ciele i jeszcze do tego był filantropem przekazującym miliony dolarów na zbożne cele.

Dlatego śledząc społeczny odbiór tego filmu zauważyć w nim można tak wiele głęboko poukrywanych treści. Wstyd i poczucie winy, o których wspominali Safechuck i Robson w studiu Oprah Winfrey,

dotykając przy okazji tabu dziecięcej seksualności, mogą stać się podczas seansu udziałem tych spośród nas, którzy kiedyś bez reszty uwierzyli w Nibylandię i dalej chcieliby w niej żyć.

Kiedy dziś archiwalia przypominają wyłansowany przez Michaela słynny taniec *moonwalking*, hit podstawówkowych dyskotek lat 80., to widok kilkuletnich dzieciaków łapiących się za krocze i wykonujących kopulacyjne ruchy musi budzić załopotanie i niepokój. Jak mogliśmy wcześniej tego nie zauważać? Ale pewnie nie u wszystkich tak to działa – wielu zobaczy w tym zaledwie niegroźną sceniczną konwencję.

Lepiej nie wiedzieć, że nasz król jest nagi. Lepiej rozpamiętywać, że w videoklipie „Man in the Mirror” wystąpił ongiś Lech Wałęsa, a na warszawskim Bemowie miał powstać z inicjatywy Jacksona wielki park rozrywki – o mały włos nie doczekaliśmy się rodzimej Nibylandii. Lektura porównawcza polskich i anglojęzycznych forów internetowych wykazuje bowiem, że polscy fani chętniej trzymają stronę potencjalnych sprawców przemocy niż ich ofiar. Potrafią też być dużo bardziej waleczni w obronie dobrego imienia niezłego idola z USA.

„Leaving Neverland” może boleć na innych jeszcze poziomach odbioru: jako skompromitowana do szczytu amerykańska *success story* (rodzice tracący instynkt samozachowawczy w kontakcie z bożyszczem tłumów), jako krytyka rozdymającej się w czasach Jacksona kultury celebrytów, a zarazem film o deprawującej sile władzy. Wielka gwiazda, podobnie jak charyzmatyczny ksiądz, haniebnie nadużywając swoich wpływów zatruwa nie tylko tego, którego bezpośrednio krzywdzi. Trwoni i niszczy cały skupiony wokół siebie symboliczny kapitał, depcze nadzieje i marzenia.

Zło przebrane za dobro jawi się znacznie bardziej perfidne i demoniczne niż zło samo w sobie. Przypadek Jacksona odebrał nam też coś bardzo prostego i oczywistego: zwyczajną frajdę ze słuchania jego starych przebojów. Teraz nic już nie będzie brzmieć tak samo, niezależnie od tego, czy media zdecydują się po skandalu wokół filmu promować dorobek Jacksona.

Baśń o Szczurołapie

Chciałoby się, żeby brytyjski dokument choć trochę odmienił dzisiejszy przemysł rozrywkowy, jego wielkie udawanie ➔

→ i nasze w nim uczestnictwo. Bo nie chodzi przecież tylko o dobrą zabawę i miłe wspomnienia, lecz także o wielkie pieniądze.

Kustosze pamięci Jacksona dbają również o jego pośmiertne interesy. Chciałoby się, żeby film uświadomił i uwrażliwił swoich odbiorców, tych broniących i tych potępiających Michaela, na seksualne przestępstwa wobec najsłabszych. Można dziś na to liczyć, odkąd na fali #MeToo zapanowała wreszcie większa otwartość w mówieniu o krzywdach zadawanych przez różnego rodzaju „święte krowy”, o stosowanych przez nie ułudzielskich socjotechnikach i strategiach maskujących. Oby zrodziło się z tego coś więcej niż nasz polski „efekt »Kleru«”: najpierw mieliśmy pospolite ruszenie i wielkie moralne poruszenie, ale na poważne zmiany mentalne czy systemowe trzeba będzie poczekać. W podobny zresztą sposób „Leaving Neverland” polaryzuje dzisiaj swoją widownię i obnaża podobne mechanizmy zaprzeczenia.

Podczas gdy my, sieroty po Michaelu, próbujemy jakoś uporać się ze swą po-

wtórną żałobą, internetowe teorie spiskowe nieodmiennie przekonują, że twórca „Bad”... nadal żyje. Potraktujmy to jak metaforę. Dorosły James przyznaje w wywiadach, że mimo tego, co Jackson zrobił mu przed laty, czasami ma poczucie, jakby to on sprawiał teraz Michaelowi zawód – uchylając przed obcymi drzwiami do ich sekretnej sypialni w Neverland.

Z obecnością tego mrocznego cienia muszą sobie poradzić nie tylko wykonywani przez Jacksona chłopcy. Bo nie tylko w „brudnym” ze swej natury show biznesie może się ziszczyć taki scenariusz. Baśń o Szczurołapie, który swoją zwodniczą muzyką wywabił dzieci z miasta i poprowadził na zatracenie, lubi się odradzać w rozmaitych kostiumach i dekoracjach, również bardzo swojskich. Choćby dlatego tej smutnej opowieści o wypędzeniu z Nibylandii nie da się sprowadzić do wymiaru tabloidowej afery. © ANITA PIOTROWSKA

LEAVING NEVERLAND – reż. Dan Reed.
Prod. Wielka Brytania 2019.
Film dostępny na platformie HBO GO.

Czekamy na wiosnę

DOROTA KOZIŃSKA

Mamy wreszcie w Operze Narodowej inscenizację w miarę spójną, urodziwą plastycznie i nieurągającą inteligencji odbiorcy. Na razie w dość przeciętnej obsadzie, ale za to poskładaną w całość przez dyrygenta operowego z prawdziwego zdarzenia.

NIEWTAJEMNICZENI – ANALIZUJĄC bieżący repertuar Teatru Wielkiego-Opery Narodowej – mogą odnieść mylne wrażenie, że to teatr dla koneserów formy. Tytułów niewiele, w ofercie przeważają opery mniej znane, rzadko lub nigdy niewystawiane w Polsce. Bywalcy zdają sobie sprawę, że na program stołecznej sceny wpływa przede wszystkim polityka dykcji – nastawionej na teatr spektakularny, wykorzystujący do cna możliwości techniczne gmachu, oraz na współpracę z celebrytami operowego establishmentu. Solistów i chór traktuje się w tym układzie jak coś pośredniego między śpiewającym aktorem dramatycznym a rekwizytem uzupełniającym koncepcję inscenizatorów; orkiestrę – jak żywą ścieżkę dźwiękową do rozgrywającego się na scenie spektaklu.

Przedstawienia na niezłym poziomie muzycznym stanowią w Operze Narodowej coraz częściej wyjątek niż regułę: m.in. dlatego operomani czekają, aż spektakl okrzepnie i przyciągnie „zwykłą” publiczność. Bywa, że nie zdążą się doczekać, bo kosztowne widowisko znika ze sceny. Cóż począć: miłośnicy dzieł z tzw. żelaznego kanonu, ale też wielbicieli naprawdę dobrego śpiewu i naprawdę wybitnej reżyserii coraz częściej wsiadają w pociąg lub samolot i jadą na swoje

POZEGNANIA

W niedzielę, 10 marca, zmarł w Berlinie w wieku 92 lat

Andrzej Wirth

Założyciel Instytutu Teatralnego w Giessen.
Przyjaciół wielu pokoleń studentów na dwóch kontynentach.
Legendarna, niezwykła postać światowego teatru.

AGATA WIRTH, ANDREW ROTHSTEIN, KONSTANTY PRZYBORA

Maria z Błeszyńskich Paczowska

pisarka i znawczyni literatury
mądra, wrażliwa i piękna
zmarła 2 marca 2019 r. w Luksemburgu w wieku 87 lat

Ona i jej mąż, architekt, eseista i fotograf Bohdan Paczowski
(1930–2017), byli wiernymi przyjaciółmi naszego pisma.
Zostaną z nami.

TYGODNIK POWSZECHNY



KRZYSZTOF BIELIŃSKI / TWON

Świetlana Kasjan jako Tosca i José Fardilha jako Zakrystian, Teatr Wielki – Opera Narodowa, 21 lutego 2019 r.

ulubione opery do innych przybytków sztuki.

Mam dla nich dobrą wiadomość – na scenie TW-ON pojawiła się niewidziana i niesłyszana od kilkunastu lat „Tosca” Giacomo Pucciniego. W inscenizacji dalekiej od doskonałości, ale w miarę spójnej, urodziwej plastycznie i co najważniejsze, nieurągającej inteligencji odbiorcy. Na razie w dość przeciętnej obsadzie, ale za to poskładana w całość przez dyrygenta operowego z prawdziwego zdarzenia: co dobrze rokuje na przyszłość, bo ktoś przynajmniej wyznaczył muzykom kierunek. Proszę trzymać kciuki, żeby ten spektakl nie spadł z afisza, bo jeśli marzy nam się w TW-ON zmiana na lepsze, to trzeba zacząć od małych kroczków. A teraz po kolei.

Nadal uważam, że Barbara Wysocka, urodzone przecież zwierzę teatralne, gubi się na dużej scenie i skupia wyłącznie na prowadzeniu protagonistów. Resztę wykonawców znów zostawiła samopas. W przepięknych i zimnych jak lód dekoracjach Barbary Hanickiej tym bardziej rzucało się to w oczy: dwa potężne, półkoliste kształty, nawiązujące do Zamku św. Anioła i kolumnady z placu św. Piotra, z drugiej zaś strony – do wnętrza kościoła św. Andrzeja i lochów w pałacu Scarpaii, zdominowały

w efekcie całą przestrzeń, niedostatecznie zagospodarowaną wyrazistym gestem aktorskim. Z ciekawego skądinąd pomysłu, żeby rzecz przenieść w lata 70., czas najintensywniejszej działalności Czerwonych Brygad i ogólnego zamętu politycznego we Włoszech, zostało kilka sugestywnych obrazów (m.in. scena zabójstwa Scarpaii – dokonanego z chłodnym wyrachowaniem zamiast w przystępie szału) i znacznie więcej pociesznych niekonsekwencji (Cavaradossi wymachujący czerwonym sztandarem na wieść o zwycięstwie Napoleona pod Marengo). Wysocka znów nie oparła się pokusie „dopowiadania” libretta rzutowanymi na scenę fragmentami tekstu. Wprowadziła tajemniczą, niemą postać Anioła – towarzyszącego śmierci kolejnych bohaterów – po czym przestała się nim interesować, przemieniając potencjalnie nośny symbol w pustą, nic nieznaczącą ozdobnik.

Ale ja tu narzekam, tymczasem przedstawienie Wysockiej naprawdę ma potencjał. Wystarczy jeszcze trochę nad nim popracować, rozprasować fałdy, usunąć fastrygę. Zerwać z typowo polskim modelem reżyserii operowej (wrzucamy ładnych ludzi w ładną scenografię i na tym poprzestajemy) – zwłaszcza że scenografia

jest tym razem wybitna, a reżyseria wcale niegłupia. Po premierze część widzów kręciła nosem, nikt jednak nie poczuł, że pada ofiarą arogancji wszechwładnych inscenizatorów. W pierwszej obsadzie nie było kreacji wybitnych, wykonawczynie partii tytułowej dała wręcz skandaliczny popis niekompetencji, ale przecież wszyscy ci śpiewacy, dobierani jak w castingu do telenoweli, kiedyś stąd sobie pojadą. I będzie można spokojnie pomuzykować. Bo na wieczorze otwarcia były tylko dwa muzyczne olśnienia: Tadeusz Kozłowski, który przejął batutę w ostatniej chwili i poprowadził całość bez jednej próby z orkiestrą, za to pewnie i stylowo, oraz fenomenalny Antoni Karaś z Chóru Dziecięcego Artos w epizodycznej roli Pastuszka.

Mało? Od czegoś trzeba zacząć. Trawestując słowa arii Cavaradossiego: gwiazdy już świecą, ziemia jeszcze nie pachnie. Na tle poprzednich premier sezonu polowiczny sukces „Toski” jawi się jako tryumf. Proszę nam tego przedstawienia nie zabierać. Tu się spruje, tam się zrobi za szewkę, i będzie przepięknie. ©

*Giacomo Puccini, **TOSCA** – reż. Barbara Wysocka, dyr. Tadeusz Kozłowski, TW-ON, premiera 23 lutego 2019 r.*



Na ekspozycji w Toruniu: Marina Abramović, Portret artystki ze świecą, 2013 r.

REPR. WOJCIECH WOŹNIAK / CSW TORUŃ

PRZY WEJŚCIU NA WYSTAWĘ W TORUŃskim Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu stoi używana pralka. Wydaje się zwyczajnym, niepotrzebnym dziś przedmiotem. Coś ją jednak wyróżnia: wałki wyżymaczki zostały pokryte złotymi płatkami. Z tą pralką związane są wspomnienia z dzieciństwa. Podobna była w rodzinnym domu Mariny Abramović w Belgradzie. Lubiała się nią bawić. Włączała urządzenie, wkładała palec do wyżymaczki, a następnie szybko go cofała. Pewnego dnia nie zdążyła. Wałki zaczęły wciągać jej dłoń. W domu była jedynie babka przyszłej artystki. Nie potrafiła pomóc. Gdy wreszcie udało się uwolnić rękę, kości były pogruchotane.

„W tym momencie – wspomina Abramović – do łazienki weszła matka. Rozejrzała się i jak zwykle wiedziała, co się stało. Wymierzyła mi policzek, zanim zabrała mnie do szpitala”. Swą pracę, przypomnienie wydarzenia sprzed wielu lat, artystka zatytułowała „Do czysta”. Ten sam tytuł nosi cała wystawa, zaś ból doświadczany przez nią przez całe życie nieustannie jest na niej obecny.

Granice siebie

Jej rodzice, Danica i Vojo Abramović, podczas II wojny walczyli w komunistycznej partyzantce Tity. Po wojnie należeli do establishmentu nowej Jugosławii. Żyli w dobrobycie. Mieli kontakty wśród komunistycznej władzy, ale też matka artystki m.in. kierowała belgradzkim Muzeum Sztuki i Rewolucji. Jednocześnie jej babka – która małą Mariną się opiekowała – była osobą głęboko wierzącą i od dzieciństwa Marina weszła w świat religijnych rytuałów. Z jednej strony dostatnie życie, z drugiej przemoc, konflikty domowe, brak miłości, poczucie braku wartości. Po latach otwarcie mówi: „Uważałam się za najbrzydszego dzieciaka w szkole”.

Postanawia zostać artystką. W 1965 r. zaczyna studia w belgradzkiej Akademii Sztuk Pięknych. Zaczyna malować. Jugosławia jest ciekawym przykładem: to kraj zdecentralizowany, z wieloma odrębnymi ośrodkami artystycznymi, z dość dużym – w porównaniu z innymi państwami bloku wschodniego – marginesem swobody pozostawianej twórcom i licznymi kontaktami z Zachodem.

Początki twórczości Abramović przypadają na przełom lat 60. i 70., czas rewolty artystów przeciwko promowanej przez władze sztuce abstrakcyjnej, twórczości wy-

Opowiem wam o bólu

PIOTR KOSIEWSKI

Wystawę „Do czysta” w Toruniu okrzyknięto wydarzeniem jeszcze przed otwarciem. Medialny szum i protesty mogą odstraszać, ale twórczość Mariny Abramović – mimo celebryckiej otoczki – świetnie się broni.

godnej i bezpiecznej. Członkowie grupy Gorgona, Tomislav Gotovac czy Sanja Iveković proponowali sztukę zaprzeczającą dotychczasowej, działania efemeryczne, happening i performance. Wyszli poza przestrzeń galerii i zaczęli interweniować w przestrzeni publicznej. Wśród poszukujących znalazła się Abramović.

Może podróżować po Europie Zachodniej. Spotyka m.in. Josepha Beuysa. Materia jej działań staje się jej własne ciało. W cyklu „Rytm” z lat 1973-74 zadawała sobie ból, traktowała je płomieniem, dokonywała samookaleczeń. W „Rytmie 10” z 1973 r. wzięła 23 noże. Jak w znanej grze, szybko wbijała ostrze między rozstawione palce. Aż do skaleczenia – wtedy brała kolejny nóż. Wreszcie użyła wszystkich – na jej rękach pozostały liczne rany. Cały performance zapisywała na dyktafonie. Swe działania starannie planowała, ale jednocześnie wpisany był w nie element przypadkowości, a nawet ryzyka. „Rzeczy po prostu się zdarzają” – podkreśla.

W jej performance'ach stale pojawiają się pytania o granice własnej fizyczności, bycia kobietą i artystką. W jednej z akcji czesała swoje długie włosy. Atrakcyjna, powabna kobieta powtarzała gesty znane dobrze z filmu i telewizji. Za każdym razem widać jednak ból, udręczenie. Czynność czesania zamienia się w torturę. Z tytułowała to działanie: „Sztuka musi być piękna, artysta musi być piękny” (1975). Z kolei w „Zamianie ról” z 1975 r. znajduje kobietę pracującą jako prostytutka i proponuje jej układ. Zastępuje ona artystkę na otwarciu w amsterdamskim De Appel Art Centre, Abramović zaś w tym samym czasie siedzi w oknie w tamtejszej dzielnicy „czerwonych latarni”.

Bycie razem

Wyjazd do Holandii w 1975 r. okazał się przełomowy. Na lotnisku w Amsterdamie poznaje Ulaya, niemieckiego artystę. Ma być jej przewodnikiem po mieście. Momentalnie znajdują wspólny język. „Od początku oddychaliśmy tym samym powietrzem, a nasze serca były jednym rytmem” – wspominała po latach. „Jedno z nas kończyło zdanie rozpoczęte przez drugie, bo dokładnie wiedzieliśmy, co mamy na myśli”. Abramović wraca do Belgradu, ale szybko decyduje się wyjechać na stałe. Do Ulaya. Przez ponad dekadę będą ze sobą związani życiowo i artystycznie



MARCO ANELLI / CSW TORUŃ

Performance „Artysta jest obecny”, Museum of Modern Art, Nowy Jork, 2010 r.

Jest to wyjątkowy okres w życiu obojga artystów. Są bardzo blisko. Nie mają wiele, ale podróżują po całym świecie. Wspólnie tworzą serie performance'ów o dwoistości i symbiozie, bliskości i bólu. W czerwcu 1977 r. stają nadzy w głównym wejściu do bolońskiej Galleria Comunale d'Arte Moderna. Przodem do siebie. Przejście było ciasne, między nimi pozostało niewiele miejsca. Osoby wchodzące do muzeum muszą się przeciskać, ocierając o nagie ciała. Za każdym razem podejmując decyzję: do kogo staną przodem. Performance „Imponderabilia” miał trwać 6 godzin. Po 90 minutach został przerwany przez policję. I stał się legendą sztuki II połowy XX wieku.

Powstają kolejne wspólne działania, oparte na grze ryzyka i wzajemnego zaufania. Proste, czasami wręcz minimalistyczne. Podczas jednego – „Energia społecznkowa” (1980) – Ulay trzymał łuk z zatrutą strzałą skierowaną wprost w jej serce. Jedna chwila słabości i mogło dojść do tragedii.

Postanawiają pojechać do Chin. 30 marca 1988 r. Marina Abramović wyrusza z Shanhaiguan na zachód, Ulay zaś z pustyni Gobi na wschód. Po 90 dniach spotykają się pośrodku Wielkiego Muru. Każde z nich przeszło 2,5 tys. kilometrów. Tak wyglądało ich ostatnie wspólne działanie.

W 1999 r. oboje podpisują kontrakt o prawach i podziale zysków ze wspólnego dorobku. A jednak po latach Ulay

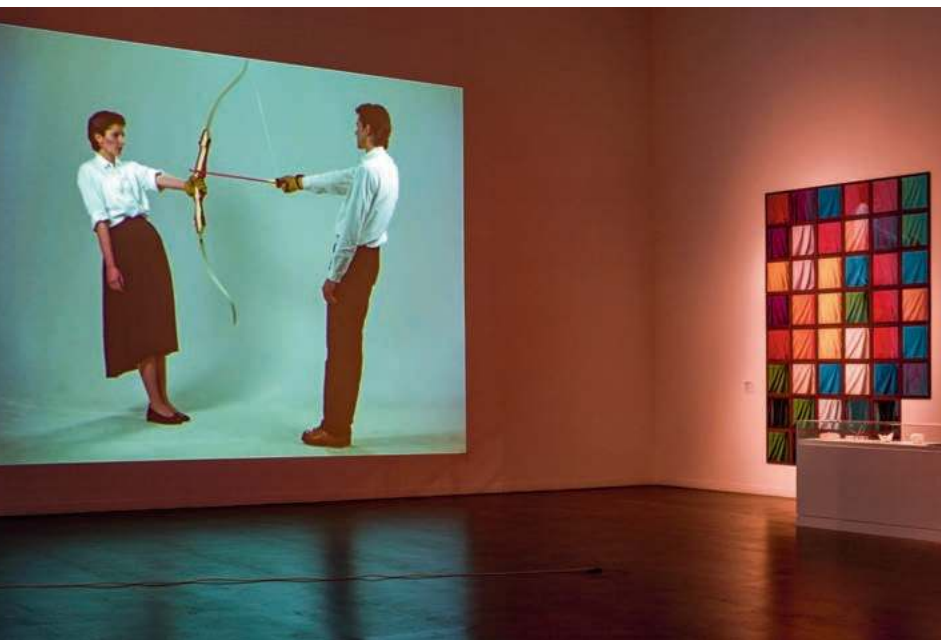
wytacza artystce proces. W 2016 r. sąd ogłasza, że Abramović ma nie tylko zapłacić zaległe tantiemy, ale też ich wspólne dzieła powstałe w latach 1976-80 muszą być podpisane „Ulay/Abramović”, a z lat 1981-88 „Abramović/Ulay”. Na wystawach są wciąż obecni oboje.

Powrót na Bałkany

Abramović jest świadkiem rozpadu jej Jugosławii. „Zawsze mówię, że pochodzę z kraju, który już nie istnieje” – podkreśla. Podczas Biennale Sztuki w Wenecji w 1997 r. w piwnicy włoskiego pawilonu 6 godzin dziennie, przez 4 dni siedzi na stercie kości i obiera je z resztek. Mięso się psuje. Śmierdzi, pojawiają się larwy. „Staje się narodową alegorią Jugosławii: matką, która oplakuje »swoich« zmarłych i »swoją« zmarłą kraj” – pisze o tej akcji historyczka sztuki Bojana Pejić.

Za „Bałkański barok” Marina Abramović otrzymuje na Biennale Złotego Lwa dla Najlepszego Artysty. Tworzy kolejne prace poświęcone rodzimym ziemiom. „Bohater” (2001) to witryna z przedmiotami należącymi do jej ojca Voja Abramovicia, m.in. fotografie, karty pocztowe i oznaczenia wojskowe. Towarzyszy jej nagranie wideo. Artystka – niczym żołnierz – siedzi na białym koniu, trzymając białą flagę. W tle słuchać pieśń „Hej, Słowianie”, która za czasów Tity była jugosłowiańskim hymnem narodowym. Po dawnej przeszłości zostają jedynie resztki, wyblakłe wspomnienia.





WOJCIECH WOŹNIAK / CSW TORUŃ



Po lewej: zdjęcie z akcji „Energia spoczynkowa” (Ulay/Abramović, 1980); po prawej: sala „Artysta jest obecny”, CSW, Toruń, marzec 2019 r.

Artystka medialna

→ Jeden z punktów ogłoszonego przez nią „Manifestu życia artysty” stanowi: „Artysta nie powinien robić z siebie bożka”. A jednak sama Abramović staje się jedną z największych celebrytek świata sztuki współczesnej. Świetnie odnajduje się w tej roli. Współpracuje m.in. z Jayem-Z i Lady Gą. W jednym z odcinków „Seksu w wielkim mieście” Carrie i Charlotte oglądają jej akcję „Dom z widokiem na ocean”.

W 2011 r. na Międzynarodowym Festiwalu w Manchesterze ma premierę „Życie i śmierć Mariny Abramović” – spektakl autorstwa wybitnego reżysera teatralnego Roberta Wilsona. Wystąpili w nim m.in. Willem Dafoe, niezwykle muzyk Antony oraz sama Marina Abramović w dwóch rolach: własnej oraz matki. W następnym roku widzowie mogą oglądać dokument w reżyserii Matthew Akersa „Marina Abramović: artystka obecna”. W 2016 r. ukazują się jej wspomnienia „Pokonać mur” (w polskim przekładzie wyszły dwa lata później). Zgodziła się nawet w 2014 r. na potrzebę reklamy odtworzyć stworzony z Ulayem w 1978 r. performance „Stosunek pracy”, w którym grupy osób przenoszą kamienie z jednego końca sali na drugi. W nowej wersji uczestnicy występują... w butach Adidasa.

Jej wystawy stają się medialnymi wydarzeniami. Podobnie jest w przypadku wystawy w CSW Znaki Czasu. Toruńska galeria za rządów obecnej dyrekcji chę-

nie sięga po głośne nazwiska. W ostatnich latach pokazywano tu m.in. fotografie gwiazdy muzyki pop Bryana Adamsa oraz malarstwo Davida Lyncha. Obecny pokaz Mariny Abramović budził liczne kontrowersje. Spierano się o warunki pracy performerów mających odtwarzać na wystawie działania artystki. Sensację wzbudziły wysokie koszty ekspozycji. Przed samym jej otwarciem zaczęły padać kuriozalne oskarżenia o satanizm. Tymczasem wystawa, chociaż zupełnie niewpisana w polski kontekst, została niezwykle starannie przygotowana i przemyślana (to całkiem innej klasy wydarzenie niż wcześniejsze celebryckie pokazy w Toruniu). Po raz pierwszy zaprezentowana w 2017 r. w sztokholmskim Moderna Museet, potem trafiła do duńskiego Humlebæk, Henie Onstad Kunstsenter w norweskim Høvikodden, do Bonn i Florencji. Co więcej, chociaż przygotowało ją aż czterech kuratorów, to sama artystka stała za wyborem prac. Ona też jest narratorem na wystawie.

Abramović nie lubi określenia „retrospektywa”, można odnieść wrażenie, że ma się do czynienia z (auto)kanonicznym pokazem, który ma stworzyć obowiązujący jej wizerunek. Znaczące jest zresztą to, co zostało na niej pominięte: od działań na styku z kulturą masową po coraz częściej pojawiające się związki z teatrem. A przecież pracuje teraz nad operą, w której ma wystąpić. W jej produkcję jest zaangażowanych aż 12 teatrów.

Odegrać raz jeszcze

„Do czysta” w Toruniu zobaczyło w weekend otwarcia aż 4 tys. widzów. Wystawa jest bardzo obszerna. Pokazuje ponad 120 prac, poczynając od prób malarskich z lat 60., poprzez najważniejsze performance’y z lat 70. i 80., po kluczowe działania z ostatnich 30 lat. Mimo wielkiej różnorodności, siłą tej ekspozycji są jej performance’y. Są tu ich nagrania wideo, fotografie, szkice wstępne, przedmioty w nich używane.

Performance opiera się na działaniu na żywo, na bezpośrednim kontakcie artysty z publicznością. I na niepowtarzalności. Oczywiście, najczęściej pozostawiała po nich dokumentacja. W przypadku Mariny Abramović wykonana świetnie. Można nawet odnieść wrażenie, jakby poszczególne akcje specjalnie były wykonywane do kamery. Wystawa pokazuje, że artystka ma świetne wycucie obrazu i bardzo świadomie nim operuje.

Jednak długo performance z racji swej efemeryczności znajdował się trochę na marginesie i to m.in. Abramović sprawiła, że trafił do mainstreamu sztuki. Co więcej, zaproponowała nową formułę jego istnienia, czyli reperformance: powtórzenie dawnych działań. Nie tylko swoich. W 2005 r. w cyklu „Siedmiu łatwych prac” w nowojorskim Guggenheim Museum odtworzyła działania z lat 70., kluczowe dla sztuki z tamtego czasu: Vita Acconciego, Josepha Beuysa, Valie Export, Bruce’a Naumana i Giny Pane, a także dwa własne,



DAVID PAWEŁ LEWANDOWSKI / CSW TORUŃ

w tym słynne „Usta Tomasza”, w którym m.in. zjadała kilogram miodu i wypijała litr czerwonego wina, wycinała sobie na brzuchu pięcioramienną gwiazdę i biczowała się. Pięć lat później na wystawie „Artystka obecna” w nowojorskim Museum of Modern Art Abramović pokazała wyłącznie rekonstrukcje swych najbardziej znanych performance’ów. W nią oraz Ulaya wcielili się młodzi performerzy (niektóre z tych rekonstrukcji, w tym „Imponderabilia”, są odtwarzane także w Toruniu). Nie tylko można, ale trzeba powtarzać – przekonuje w wywiadzie opublikowanym niedawno w polskim wydaniu „Vogue’a” – „bo istotą performance’u jest to, że żyje, a nie to, że opisano go w książkach”.

To, co pozostanie

„To, co fizyczne, jest chwilowe i nieważne. Ostatecznie liczy się to, co duchowe. To pozostaje” – to jedna z uwag Mariny Abramović przywołana na wystawie. Wielokrotnie przewijają się na niej wątek zainteresowań artystki mitami, wierzeniami, medycyną naturalną. Dla wielu staje się wręcz guru, duchową przewodniczką. Chwilami trudno traktować te zainteresowania bardzo poważnie. Jednak czy ten dystans nie jest podyktowany częstą dziś nieufnością do obecności tego, co nieuchwytnie, osadzone w przeżyciu duchowym? Zresztą, czy jednym ze źródeł popularności Mariny Abramović nie są poszukiwania?

Na wystawie można zobaczyć jej „Archeologię prywatną” (1997/2015). To cztery

drewniane szafki, podobne do tych, które można zobaczyć w dawnych muzeach historii naturalnej. W szklanych szufladach artystka umieściła to, co było dla niej ważne. Są tu ślady miodu, krwi i soli, fragmenty kryształu, kwarcu czy ametystu, zdjęcia z performance’ów m.in. Beuysa, Antonia Diasa, Valie Export, Bruce’a Naumana, ale też fragment XII-wiecznej rosyjskiej ikony i aborygeńskiego malowidła naskalnego. Wszystko to zdaniem Abramović ukształtowało ją i jej sztukę.

Obok, na ścianie zamieszczono wspomniany już „Manifest”. Jeden z jego punktów głosi: „Artysta przed pogrzebem powinien zostawić instrukcję, żeby wszystko odbyło się zgodnie z jego wolą”. I kolejny: „Pogrzeb to ostatnie dzieło artysty przed odejściem”. Jej własny pogrzeb został już zaplanowany. Trumny mają być trzy, ale żałobnicy nie dowiedzą się, w której jest ciało. Czerń jest zakazana. Wszyscy mają ubrać się jaskrawo. Jedna z trumien zostanie pochowana w Belgradzie, kolejne w Amsterdamie i Nowym Jorku. Pomysł z potrójnym pogrzebem wydaje się kolejnym żartem artystki, która nadal jest ogromnie aktywna. Jednak sama wystawa chwilami wydaje się próbą podsumowania, a nawet pożegnania.

Ekspozycję zamyka dokumentacja z jej słynnego performance’u „Artystka obecna” w Metropolitan Museum of Art w 2010 r. Widzowie przez 736 godzin (7 godzin dziennie) mogli siadać pojedynczo przy ustawionym w jednej z sal stole i patrzeć na artystkę tak długo, jak tego chcieli. Jak sama obliczyła, spotkała się z 1675 osobami. Wspominała potem: „byłam fizycznie i psychicznie wykończona, jak nigdy przedtem. Co więcej, wszystkie moje poglądy, wszystko, co wcześniej dawało mi się mieć znaczenie, moje całe życie codzienne, rzeczy, które lubiałam, i te, których nie lubiałam, to wszystko zostało nagle wywrócone do góry nogami”. Działanie artystyczne ostatecznie okazuje się nieustanną konfrontacją artystki ze sobą, z własnymi poglądami, upodobaniami, ocenami. Z bólem z tym związanym. I za prośbą widzów, by z tym doświadczeniem sami się zmierzili.

© PIOTR KOSIEWSKI

Marina Abramović **DO CZYSTA**, Toruń, Centrum Sztuki Współczesnej Znak Czesu, wystawa czynna do 11 sierpnia br. Kuratorzy: Tine Colstrup, Lena Essling, Susanne Kleine, Wacław Kuczma.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [23 – 29 III]

1. Salman Rushdie



Dokumentalny, reż. William Karel, Francja 2019, Planete, 23 III, 22.00

Podtytuł filmu „Ścigany przez śmierć” odnosi

się oczywiście do fatwy rzuconej 30 lat temu przez ajatollaha Chomeiniego na indyjsko-brytyjskiego pisarza. Ale sprawa „Szatańskich wersetów” to tylko część jego biografii. Rushdie opowiada także o dzieciństwie w Bombaju i studiowaniu w Cambridge, o swoich późniejszych książkach i poglądach politycznych.

2. Norma



Opera, reż. Àlex Ollé, Wielka Brytania 2016, TVP Kultura, 26 III, 20.20

Na deskach londyńskiej Royal Opera House

kataloński reżyser, związany z innowacyjną grupą teatralną La Fura dels Baus, wystawił dwuaktowy utwór skomponowany przez Vincenza Belliniego. W roli głównej, która zawiera najtrudniejsze kobiece partie sopranowe, wystąpiła bułgarska śpiewaczka Sonia Junczewa.

3. Wynalazczyni: Dolina Krzemowa w kropli krwi



Dokumentalny, reż. Alex Gibney, USA 2019, HBO, 28 III, 22.25, HBO2, 29 III, 22.55

Po aferze w Enronie, historii Huntera S. Thompsona czy fenomenie scjentologii nagrodzony Oscarem dokumentalista zajmuje się postacią Elizabeth Holmes. Jej wynalazek miał zrewolucjonizować branżę medyczną, okazał się jednak spektakularnym przekreśleniem, który wstrząsnął jednym z najbardziej wpływowych miejsc na świecie.

4. Winni



Dramat, reż. Gustav Möller, Dania 2018, Cineman VOD

Jedno pomieszczenie, jeden bohater i telefon komórkowy połączony

z internetem – tyle wystarczy, pomijawszy precyzyjny scenariusz, by stworzyć mocny thriller psychologiczny. Dyżurny pogotowia alarmowego, po otrzymaniu zgłoszenia od porwanej kobiety, próbuje zdalnie zarządzić kryzysem. Nic jednak nie jest tym, czym się wydaje.

JAN

Klata: Radio Kraków



BYŁO RADIO. W KRÓLEWSKIM MIEŚCIE, NIBY lokalne, ale jakby nad królewską nieckę wy-rastało, wzbijało się eterycznie, ponadpro-wincjonalnie, finezyjnie, choć z szacun-kiem dla tradycji. W tym miejscu powinien nastąpić *confiteor* – moja oda do radia

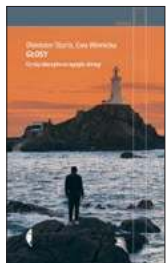
w ogóle, na przestrzeni tysięcy, do radia jako środka wyrazu, jako spędzania czasu, jako pobudzacza wyobraźni. Wspomnie-nia wsłuchiwanie się w odbiornik nadający nagrania, co to o nich można było pomarzyć, legendarne głosy Trójki, klub pły-towy Dwójki, audycje popołudniowe, wieczorne i nocne, doj-rzewanie do kultury – i w ogóle wszystkiego – w przytomności radiowych audycji. Najciężej się było z radiem budzić, ale bez radia byłoby jeszcze ciężiej, więc jestem wdzięczny i za to, nawet „Stara i nowa muzyka wojskowa” pozostanie w mojej pamięci jako przeżycie niezapomniane.

Jako się rzekło, powinien nastąpić *confiteor*, ale nie nastąpi, gdyż mi ręce opadły w związku z poczynaniami prezesa dobrej

zmiany, niejakiego Przemysława B. Jest, a raczej był, a może jeszcze jest – z prezesami dobrej zmiany nigdy nic nie wia-domo. W każdym razie został skierowany przez partię na od-cinek uzdrawiania Radia Kraków, przybył z uzdrowiska Za-kopane, więc zanosilo się, że ma kompetencje. Przemysław B. chwacko wziął się do roboty, od razu po wyborach, i etap do-kumentnego rozpirzenia dokonał poprzednika poszedł jak z płotka. Fachowo zrównał z ziemią, nawiązał rewelacyjne, iście partnerskie relacje z zespołem i począł budować nową, rewelacyjną ramówkę Radia Kraków-Kraków. Leszek Dłu-gosz, Klub Gazety Polskiej oraz... on sam, osobiście, radiowa osobowość na miarę dobrej, bardzo dobrej zmiany. Aspekt menedżerski jest nie do pominięcia, gdyż prezes Przemysław B. niewątpliwie sprawdził się w menedżmencie, za drobną opłatą przechodząc z etatu na kontrakt... menedżerski oczy-wiście, co samo w sobie uczyniło z niego znakomitego, na-prawdę suto opłacanego menedżera (milionowe straty, nad-użycia, konflikt interesów, lewe powiązania). Mały biznes, wielka sprawa, po prostu.

Efekt działalności menedżera dobrej zmiany? Ślusarz wy-mienił zamki w gabinecie. Szkoda, że nie było przy tym nikogo z mikrofonem, byłaby to najlepsza *ever* audycja Przemysława Bolechowskiego. Nie wiadomo, czy prokurator zdecyduje się coś wszcząć, może coś podziąła, aby następnie umorzyć, ale przynajmniej zamki wymienione. Bardzo to wszystko smutne. Na szczęście zaraz partia namaści nowego prezesa. Na miejscu ślusarza nie martwiłbym się o pracę. ©

Lektor: Zbrodnia i tajemnica



■ **Dionisios Sturis,**
Ewa Winnicka,
GŁOSY. CO SIĘ ZDARZYŁO
NA WYSPIE JERSEY
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2019, ss. 222.

JERSEY, NAJDALEJ NA POŁUDNIE wysunięta z Wysp Normandz-kich, terytorium zależne Wielkiej Brytanii. Bajecznie piękna, stanowi raj podat-kowy i zagłębienie ziemniaczane, jest też miejscem, gdzie Gerald Durrell stworzył słynny ogród zoologiczny ratujący rzadkie gatunki zwierząt. Oś tej książki tworzy jednak co innego – makabryczna i niepojęta zbrodnia, którą 14 sierpnia 2011 r. popełnił

polski imigrant Damian Rzeszowski, zabijając nożem żonę, dwoje dzieci, teścią, przyjaciółkę żony i jej có-reczkę. Sam też się poranił, ale przeżył. Tego dnia Rzeszowscy z dziećmi wrócili z Polski, to miał być powitalny grill. Dwoje dziennikarzy o sporym dorobku (Ewa Winnicka wydała wcześniej m.in. „Angoli”, Dionisios Sturis książkę o wyspie Man) opisało tę historię szczegółowo

i wnikliwie. Znaczną część książki zajął zapis procesu, który toczył się przed sądem w stolicy wyspy, Saint Helier: pasjonujący, choć cokolwiek teatralny pojedynek nie tylko między prokuratorem a obrońcą, ale też między psy-chiatrami reprezentującymi przeciwstawne poglądy na stan psychiczny oskarżonego i jego odpowiedzialność za swój czyn. „Głosy” to także portret wcale niejednolitej polskiej społeczności na Jersey – a Polacy to obok Por-tugalczyków z Madery jedna z najliczniejszych tam grup imigrantów zarobkowych. Opowieść o trudnościach adaptacyjnych, tych psycholo-gicznych i tych systemowych, w zamkniętym świecie małej, bogatej wyspy. I – na przykła-dzie Rzeszowskich – studium destrukcyjnego niekiedy wpływu, jaki emigracja może mieć na relacje rodzinne. A opisując tę historię bez

precedensu, autorzy przypo-minają, że w najnowszych dziejach idyllicznej z pozoru wyspy są też czarne karty, jak wykorzystywanie dzieci z miejscowych zakładów opie-kuńczych przez angielskich pedofilów.

Co się więc właściwie zdarzyło na Jersey? Czy Damian Rze-szowski rzeczywiście cierpiał na silną depresję, słyszał głosy i miał w chwili zabójstwa ograniczoną poczytalność, jak uważała część biegłych, czy też była to zaplanowana wcze-sniej absurdalna zemsta na żonie, mająca pozbawić życia nie tylko ją, ale i wszystkich, których kochała? Nigdy się tego nie dowiemy, bo zabójca zabrał odpowiedź do grobu. Odsiadując już wyrok w bry-tyjskim więzieniu popełnił samobójstwo, a wcześniej odmówił rozmowy z dzienni-karzami. Zbrodnia pozostanie tajemnicą, choć poznaliśmy teraz jej tło. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Sam nad talerzem



OSIEMDZIESIĄT PROCENT. O TYLE PODSKOCZYŁA w ciągu pięciu lat liczba rezerwacji na stolik dla jednej osoby w nowojorskich restauracjach. Jedna czwarta gospodarstw domowych w Stanach to ludzie żyjący sami ze sobą, gastronomia zaczyna się więc przymierzać do zaspokajania ich potrzeb. Puste krzesło nie tylko martwi właściciela, bo nie zarabia, ale stanowi dla pojedynczego gościa rodzaj wyrzutu: przypomina mu, że europejska kultura gastronomiczna bazuje na tym, że do stołu w miejscu publicznym zasiada się w towarzystwie. Niekoniecznie rodziny, niekoniecznie przyjaciel, konieczne z innymi. Brak kompanii wykluczał do niedawna człowieka z gastroobiegu (nie licząc barów dla nocnych ptaków z obrazów Hoppera) skuteczniej niż brak pieniędzy.

Coś się zmienia, na pewno, ale pamiętajmy, że jest też osobiwa samotność na pół gwizdka. W warszawskiej knajpie, w której przepracowałem sporo czasu, zdarzali się nam goście solo. Owszem, przychodzili w pojedynkę, ale nie samotni bynajmniej. Od progu przyklejeni do telefonu, pochłonięci interakcjami z całym światem, nieraz ledwo zwracający uwagę na to, co im dymi pod nosem z miski. Taka rozrzedzona wszechobecność świata na każdym kroku zmienia na pewno przeżywanie samotności, która przestaje pachnieć osamotnieniem.

Niech antropolodzy to cierpliwie badają, to wszak dopiero początek zjawiska. Przybytki zbiorowego żywienia tymczasem uznają ten dokonujący się fakt przez zmianę aranżacji przestrzeni. Najbardziej oczywiste jest zwiększenie liczby miejsc przy barze i wszelkich podobnych kontuarach, z widokiem na kuchnię czy ulicę – tak, żeby nie siedzieć naprzeciw pustego miejsca. Dalej wydzielenie sali, w których dominuje taki sposób usadzania gości, żeby samotnik nie czuł się jak głupi kołek pośród wesołych biesiadników. Albo inna moda, widoczna zwłaszcza we Francji – siedzi się przy wielkich długich stołach, przy których zmieści się po tuzin osób z każdej strony w różnych konfiguracjach liczbowych i przestrzennych, wtedy pojedynczy gość aż tak bardzo nie wyróżnia się z tłumu.

Ale to i tak wszystko półśrodki. Jeśli zmęczony europejską niekonsekwencją szukam miejsc, gdzie zjawiska zostają docisnięte do ściany, to sprawdzam, czy tego, co mnie zadziwia, nie przećwiczyli już na Dalekim Wschodzie. W Japonii jednoosobowych gospodarstw domowych i ludzi nienawiających stałych relacji jest jeszcze więcej niż na Zachodzie. To tam powstał np. termin „mężczyzna roślinożerny” – na określenie takiego, który nie podejmuje wysiłku w celu zbudowania związku partnerskiego, o rodzinie nie wspominając (kryjące się za tym terminem założenie, że pełna relacja międzyludzka to zadanie dla drapieżników, warte jest osobnej dyskusji).

Ohitorisama – japoński termin z grubsza określający aktywności, które człowiek podejmuje na własną rękę – to dziś słowo klucz dla rozmaitych mód i trendów na rynku. Np. dla restauracji oferujących „posiłki o niskim stopniu interakcji”, czyli mówiąc brutalnie: takich, gdzie nie uświadczysz żywej duszy. Zwłaszcza miejsca serwujące rosołek z dodatkami typu ramen nadają się do tego znakomicie. Gość zajmuje miejsce przy blacie, ogrodzone po bokach ściankami, z przodu ma zasuniętą bambusową roletę. Po chwili para rąk podnosi roletę, wstawia bezszelestnie miskę z zamówionym zestawem, roleta się zasuwa, gość zjada w spokoju, nie niepokojony przez widok bliźnich. „Jak w konfesjonale albo w peep-show”, oceniał recenzent „New York Timesa”, kiedy placówka sieci Ichiran zawitała z czymś takim do Ameryki.

Ktoś mógłby zauważyć, że w tak klaustrofobicznych i nasyconych nieustannym naciskiem bliźnich krajach jak Japonia kapsuła kolacyjnej wsobności może działać jak wentyl bezpieczeństwa, żeby nie zwariować. Tak, zgoda, pogodne obcowanie z sobą jest pożądaną formą równowagi życiowej i podstawą zdrowego związku z drugą jednostką. Właściciele takich przybytków dodają, że „kabiny koncentrujące aromat” pozwalają lepiej kontemplować zmysłowe radości, jakie wywołać powinien prawidłowo skomponowany ramen. No może... na ramen nie chodzę, w Krakowie wciąż mi wystarcza rosół z makaronem w gwarnej jadalni u Stasi przy Mikołajskiej, gdzie trudno nie trącać się łokciami: ma on taką moc, że choć jadam go zawsze samemu, to jest mi dobrze wśród ludzi. © P

W tym miejscu powinien się pojawić azjatycki przepis, ale jest mi to kuchnia zupełnie obca, ze skarbów Orientu miewam w domu jedynie ryż jaśminowy, zjadany bez niczego, oraz liczy z puszki. Chcę się za to podzielić czymś, co nadało blasku czasowi wielkopostnemu. Fundacja Wolna Republika Ochotnicka wspólnie z wydawnictwem Wysoki Zamek wydała genialną książkę „Kuchnia górali gorczańskich”. Kuchnia biedna, mnóstwo w niej potraw złożonych tylko z mąki i wody (raz jako zupa, raz kluski, raz placki) oraz odrobiny słoniny i sera, ale pasująca do szarej końcówki zimy i naszych szerokości. Napisana fachowo – z wieloma wariantami, bo wszak w każdej wsi robi się to samo trochę inaczej. To cudo jest poza obiegiem księgarskim, nie da się kupić, może jeśli będziemy zbiorowo naciskać na wydawcę, to zechce wypuścić parę egzemplarzy na rynek... tymczasem zaś przepisę dla was zupny przepis, który mnie rozłożył na łopatki – ziemniaki z wodą, bryndzą



MATERIAŁY PRASOWE

i miętą. Gotujemy ziemniaki, wykładamy je na głęboki talerz. Na każdy kładziemy po 1 łyżce bryndzy, tak żeby się roztopiła. Zalewamy wrzątkiem, w którym gotowaliśmy parę minut liście mięty (w marcu tylko suszonej), w takiej ilości, by ze skrobi i sera zrobiła się nam gęsta zupa.

BĘDZIEMY GRAĆ W GRĘ

Zbigniew Boniek napisał na Twitterze,
że e-sport to duża kasa, ale też
„świadectwo pewnej patologii”.

Tylko kim jest ten Boniek?
W piekle nikt o nim nie słyszał.

TYMON POLESEK (14 LAT), MAREK RABIJ (45 LAT)

DO PIEKŁA NAJLEPIEJ ZSTĄPIĆ Z DOBRYM PRZEWODNIKIEM. Takim, co podpowie, gdzie zaparkować samochód, i skróci drogę przez mękę kilkusetmetrowej kolejki, a po drodze objaśni mechanikę poszczególnych kręgów, które ustawiał przez ostatnie tygodnie wraz z tysiącem podwładnych i współpracowników. W hierarchii diabłów odpowiedzialnych za piekło katowickich zawodów Intel Extreme Masters Aleksander Szlachetko jest odpowiednikiem Lucyfera: jako dyrektor zarządzający polskim oddziałem firmy Electronic Sports League, kieruje przygotowaniem i przebiegiem imprezy, którą najłatwiej opisać jako e-sportowy odpowiednik finału piłkarskich mistrzostw świata. Choć służby prasowe Lucyfera zapewne protestowałyby przeciwko takiemu porównaniu, bo finały IEM od sześciu lat odbywają się w Katowicach, mundial to tymczasem impreza obwoźna, którą FIFA co cztery lata sprzedaje temu, kto da więcej.

No i frekwencja. Finał mundialu od lat gromadzi przed telewizorami mniej więcej 620-650 mln widzów. Widownia e-sportowa rośnie tymczasem w tempie, jakie rachmistrzom FIFA może się tylko marzyć. Reklamodawcy wprost wylażą ponoć ze skóry, żeby tylko ich logo pojawiło się na e-sportowej arenie.

Słowem: jest pięknie. Diabelnie głośno. Piekielnie tłoczno. Do finałowego meczu zostały minuty i każde z ponad 11 tys. miejsc siedzących katowickiego Spodka jest dawno zajęte; chętni znaleźli się nawet na te za sceną, nad zapleczem technicznym, gdzie rozgrywkę można oglądać jedynie na telebimach. Jeśli doliczyć ponad milion fanów e-sportu, którzy od Seulu po Seattle siedzą teraz w domach przed komputerami czekając na transmisję na żywo, i tych, którzy mecz obejrzą po jego zakończeniu, widownia finału sięgnąć może kilkudziesięciu milionów osób.

Na podium pośrodku areny lśni puchar rozgrywek. Lasery i reflektory punktowe szatkują przestrzeń nad głowami wi-





Final rozgrywek „Starcrafta”; poniżej cosplayerka „Poozioomka” w stroju Kruczyca z gry „Fortnite”, obok jej koleżanka. Katowice, 3 marca 2019 r.



MAREK RABIJ X3

dzów. Podłoga dudni od muzyki, a kibice krzyczą jeden przez drugiego, skandując nazwy drużyn faworytów. Bohaterowie dzisiejszego wieczoru to pięciu młodych Duńczyków tworzących zespół Astralis i piątka Finów z ENCE, wśród których jest zaledwie 17-letni Jare Salo, pseudonim Sergej, nazywany przez branżowe serwisy „największym talentem »Counter Strike’a« ostatnich lat”.

Publiczność w Spodku zna go doskonale, pozostałych zawodników również. Nikomu nie trzeba też tłumaczyć zasad gry. Dwie drużyny, kierujące odpowiednio awatarami terrorystów i antyterrorystów, polują na siebie na wirtualnym poligonie, dopóki jedna strona nie wybije drugiej do nogi lub terroryści nie zdetonują bomby. Każda taka wygrana to jeden punkt. Szesnaście, przy dwupunktowej przewadze nad rywalem, daje zwycięstwo na mapie. Cały mecz wygrywa zespół, który zdobędzie więcej map.

– A gra się maksymalnie do pięciu – krzyczy Szlachetko znad smartfona, który wyświetla mu kolejne wiadomości od współpracowników. – Dziś rywalizujemy tylko do trzech map, ale i tak może być ciekawie. Astralis zdobyli już chyba wszystko, co na e-sportowej scenie było do wygrania, są faworytami, ale ENCE to młode wilczki złaknione sukcesu. Raczej nie wyjdą przerażeni stawką zawodów i renomą rywali.

Muzyka staje się jeszcze głośniejsza. Lasery szaleją, a scenę zalewają dodatkowo płomienie, którymi plują w górę gazowe miotacze przy podłodze. Wielki ekran, na tle którego ustawiono komputery dla finalistów, niespodziewanie rozsuwa się niczym wrota, przez które na scenę wchodzi obie drużyny.

– Katowice! Zróbcie hałas – ryczy po angielsku do mikrofonu schrypięty konferansjer.

Podłoga Spodka znów drży.

Osiem godzin wcześniej: Stream sniping

Wśród streamerów „Fortnite’a” najpopularniejszy był Ninja, ale ponoć sam pogrzebał szanse na dalszą karierę, obrażając w internecie swoich stream sniperów. Dziecinada – zgadzają się pasażerowie na tylnej kanapie. Jeśli zaczynasz publikować streamy, musisz się liczyć z tym, że wraz ze wzrostem popularności kanału pojawiają się na nim pierwsi stream sniperzy, czyli widzowie marzący o tym, by w bezpośredniej rozgrywce z gospodarzem upokorzyć go na oczach reszty publiki. Zwłaszcza jeśli streamujesz jedną z ulubionych gier nastolatków, jaką jest „Fortnite”.

W samochodzie, którym jedziemy do Katowic, jest nas czterech i przez pierwsze dwa kwadranse podróży synchronizujemy słownictwo. Razem mamy przecież prawie 90 lat, z czego połowa przypada na najstarszego. Pasażerowie – Iwo, Maks i współautor tego tekstu Tymon – przyszli tymczasem na świat mniej więcej wraz z serwisem YouTube, na którym wspomniany Ninja i inni fani gier udostępniają nagrania swoich rozgrywek, okraszając je dodatkowo autorskimi komentarzami. W e-sporcie – tłumaczą chłopcy – nie musisz być jedynie kibicem. Możesz stać się także Szpakowskim lub Lewandowskim, a nawet jednym i drugim jednocześnie, czyli znanym streamerem, formą przejściową pomiędzy miłośnikami gier a zawodowym graczem, który pewnego dnia zagra być może w Spodku o wielki finał IEM.

W lusterku wstecznym wylapuję uśmiechy politowania, gdy mimowolnie wspominam o „grach komputerowych”. Mniejsza →

→ o to, że grać można także na konsoli czy smartfonie. Koledzy z tylnej kanapy mówią po prostu: „gry”. Gdy mowa o innych grach, np. planszowych czy tych na świeżym powietrzu, wystarczy dodać stosowny przymiotnik.

W kontekście samego e-sportu dobór epitetów często przypomina natomiast spacer po polu minowym. Fani tej rozrywki nerwowo reagują na krytykę, zrażeni komentarzami tych, którzy jej nigdy nie posmakowali, z góry zakładających, że nie może ona nieść ze sobą żadnych walorów sportowych.

W tym branżowym gabinecie osobliwości prym wiedzie aktualnie komentarz Zbigniewa Bońka o e-sporcie jako „świadectwie pewnej patologii”, polegającej – jak napisał na Twitterze – na wielogodzinnym „waleniu w joystick”. Mniejsza o to, że joysticki w świecie gier są dziś taką samą rzadkością, co na boiskach piłkarze bez tatuażu. Lekceważący stosunek do nowego, nie do końca oswojonego fenomenu to coś o wiele poważniejszego, co w zasadzie wyklucza dialog. Niestety, im bardziej e-sport zyskuje na popularności, tym więcej osób spoza świata gamingu garnie się do komentowania i wystawiania ocen.

Kolejnym eksponatem gabinetu osobliwości został Piotr Kraśko, który w programie śniadaniowym wystąpił niedawno z frontalną krytyką sposobu spędzania wolnego czasu przed komputerem, wyrażoną z wyżyn podwórkowego trzepaka, na którym jego generacja spędzała rzekomo każdą wolną chwilę.

Czyżby więc to e-sport miał na nowo wyznaczyć front wojny pokoleniowej? Według słownika PWN sport to „ćwiczenia i gry mające na celu rozwijanie sprawności fizycznej i dążenie we współzawodnictwie do uzyskania jak najlepszych wyników”. Gdyby ową sprawność fizyczną utożsamiać, jak czyni wielu krytyków e-sportu, wyłącznie z komponentem wytrzymałościowym, rywalizacja przed monitorami rzeczywiście skurczy się do rozmiarów „walenia w joystick”. Sęk w tym, że pokolenie współczesnych czterdziestolatków, którzy w dzieciństwie za sportowych idoli mieli głównie Maradonę, Schwarzeneggera i być może Jerzego Kukuczkę, łatwo ulega pokusie, by w sporcie doceniać przede wszystkim krew, pot i łzy. Plus samą rywalizację, nierzadko doprawioną sosem ksenofobii lub nacjonalizmu.

Tymczasem dla tylnego rzędu siedzeń sport to przede wszystkim widowisko, czysty popis umiejętności. W transparentnym świecie wirtualu, gdzie próby cheatowania, czyli oszukiwania, wykrywa się za pomocą stosownego oprogramowania, to właśnie one wysuwają się na pierwszy plan.

Tymon: – Czy e-sportu nie można nazwać sportem tylko dlatego, że nie jest to wysiłek fizyczny? W takim razie, czy sportowcami powinniśmy nazwać szachistów, skoro podczas meczu nie wysilają się fizycznie, tak samo jak w trakcie meczu „Counter Strike’a”? W e-sporcie obie strony mają dokładnie po 50 procent szans na zwycięstwo. Wyniku nie zniekształca warunki pogodowe ani stronnictwo sędziego. W wielu dyscyplinach zdarzają się bezbramkowe remisy lub po prostu nudne mecze. W e-sporcie rozgrywka zawsze trzyma tempo i dlatego zawsze jest bardzo angażująca. Według mnie w sporcie chodzi właśnie o emocje. I te, które towarzyszą graczom, i te, które przeżywają kibice. Wynik meczu ma dla mnie drugorzędne znaczenie, bo czy wygra ENCE, czy Astralis, istotą ich pojedynku będą umiejętności zawodników i zgranie zespołu, a najważniejsze będą reakcje kibiców.

O podobieństwach i różnicach między e-sportem a jego klasycznym wydaniem tylna kanapa mogłaby dyskutować go dzinami, bo interesuje ją nie tylko „walenie w joystick”. Piotr

Kraśko być może spadłby nawet ze swojego trzepaka na wieść o tym, że Iwo dzieli czas na sport między rozgrywkę przed komputerem a treningi w młodzieżowym klubie piłkarskim, na których wylewa prawdziwe, nie wirtualne siódme poty.

Zjeżdżamy jednak z autostrady A4 i lądujemy pod Spodkiem. Tyle teorii. Czas na praktykę.

Dwie godziny później: Nołlajf

Niełatwo odebrać telefon dłonią odzianą w rękawicę rycerską, zwłaszcza gdy trzeba go najpierw wydobyć zza cholewy kozaków sięgających połowy uda. – Potrzyma mi pan broń? Przepraszam. Cholera jasna – zełościła się, bo aparat wciąż wygrywał natrętą melodyjkę.

Trudno również nawiązać kontakt z kimś, kto w oczach ma soczewki imitujące bielma, a w rękę trzyma wielki młoto-siekierokilof wykonany z drewna, folii aluminiowej i plastiku. – Robiłam go całą noc, oka nie zmrużyłam, ale chyba było warto, bo robi wrażenie, prawda? Jestem Poozioomka. Dwa razy przez podwójne „o”, tak samo jak w internecie – przedstawiła się, wyciągając na powitanie dłoni w rycerskiej rękawicy.

Poozioomka dziś nazwałaby się inaczej, ale już za późno. Na YouTube, gdzie pod tym nickiem prowadzi kanał o „Fortnite”, ma kilkanaście tysięcy followersów i w świecie fanów tej gry stała się już rozpoznawalna. – Oczywiście nie aż tak jak mój chłopak, znany gracz, który przyjechał do Katowic prowadzić jeden z paneli o tej grze – zastrzega. – Dlatego postanowiłam spróbować cosplaya. Z natury jestem nieśmiała, a w przebraniu Kruczyca z „Fortnite’a” łatwiej mi wchodzić w relacje z żywymi ludźmi.

Cosplay to zjawisko starsze od samego e-sportu, bo już w 1939 r. Forrest J Ackerman, twórca terminu „sci-fi”, pojawił się na pierwszym nowojorskim konwencie miłośników fantastyki w stroju, który nazwał „futuristocostume”, będącym jego wyobrażeniem o ubraniach noszonych przez przyszłych superbohaterów.

Przebranie się za postaci z kreskówek i komiksów po II wojnie światowej pokochali Japończycy i Koreańczycy, a w epoce globalnego rynku, który elektronikę sprowadza z Azji, fenomen rozlał się na cały świat. Dziś żadna impreza e-sportowa nie może się bez tego obyć. Poozioomce marzy się sława na miarę najbardziej znanych cosplayerek, które organizatorzy i sponsorzy za ciężkie pieniądze zapraszają ponoć na rozgrywki.

– Ej, nie ten level – kręca głową chłopaki, kiedy opowiadam o spotkaniu. – Kojarzmy ją, ale to tylko jedna z wielu dziewczyn, które streamują „Fortnite’a”.

– Jej chłopak – dorzuca Tymon – to Nolif. Nolif, a właściwie nolife. Sens niektórych wyrażen zmienia się w zależności od kontekstu. Nolife oznacza kogoś całkowicie oddanego graniu, o czym można mówić z podziwem, kiedy za tym wysiłkiem idą efekty, lub z politowaniem, gdy jedynym efektem jest utrata kontaktu z rzeczywistością. O zagrożeniach płynących z nadużywania gier psychologowie napisali już tomy, ale zdaniem moich towarzyszy trucizną nie jest w tym przypadku substancja, lecz po prostu dawka, jak u starego dobrego Paracelsusa.

Thum w korytarzach oplatających pustą jeszcze widownię Spodka składa się w olbrzymiej większości z tych, dla których świat wirtualny jest pełnowartościowym rozszerzeniem tego realnego, a nie podejrzanym ersatzem. Czas spędzony na graniu czy nawet cosplayu nie jest więc czasem straconym dla innych

aktywności – jak narzekają czasem ci „spod trzepaka”. To efekt wyboru.

Na ile suwerennego, to już inne pytanie, bo nie ulega wątpliwości, że wielki kapitał zwiększył właśnie zwierzynę i nęci ją podczas imprez pokroju katowickich IEM. Rozgrywki e-sportowe to kolejny kulturowy samorodek, tak jak rap, a wcześniej jazz i piłka nożna. Narodziły się bez sponsorów i profesjonalnych lig; wystarczyło kilku zapaleńców, komputery połączone z siecią i ta sama gra w trybie multiplayer. Widzów przybywało on-line z roku na rok, aż w połowie tej dekady producenci sprzętu i szefowie marketingu wielkich koncernów uświadomili sobie, że do sportowego bloku wprowadził się nowy utalentowany dzieciak, którym trzeba się jak najszybciej zainteresować. Klasyczny sport w modelu biznesowym nie istnieje przecież bez telewizji, która dla pokolenia urodzonych w XXI wieku jest medium toksycznym. Tymczasem e-sport, bliźniak mediów społecznościowych i streamingu, to fenomen czysto internetowy. Trwa więc właśnie zacięta walka o to, kto w tym świecie stanie się wkrótce organizatorem i zarządcą emocji na globalną skalę.

Electronic Sport League, który w Katowicach organizuje IEM z pulą nagród 10 mln zł, to tylko jeden z kandydatów. FIFA, starzy wyjadacze od futbolu, szykują cyfrową wersję mundialu opartą na popularnej grze o tej samej nazwie, która obecnie odzorowuje boiskowe realia niemal 700 klubów z całego świata. E-sportowe zespoły organizacyjnie coraz bardziej przypominają natomiast zawodowe drużyny futbolowe. Zawodnicy mają swoich trenerów, statystyków, którzy zbierają dane o stylu gry przeciwników, a nawet psychologów pomagających rozładować stres. W hotelach, gdzie zatrzymali się na czas zawodów, do ich dyspozycji oddano warm-up roomy, w których gracze o dowolnej porze mogą poćwiczyć taktykę i technikę.

Na tym poziomie o wygranej decydują przecież niuanse.

Pięć godzin później: Frag za fragiem

– Co to znaczy gra sportowa? – korzystając z przerwy między mapami Aleksander Szlachetko wraca do pytania sprzed kilkunastu minut. – Przede wszystkim musi zapewniać grającym dokładnie takie same szanse na zwycięstwo. Po drugie, musi mieć oddzielny tryb obserwatora, w którym widzowie zobaczą np. lokalizację wszystkich graczy, dla nich niewidoczną. Po trzecie, musi mieć dynamikę, która wciągnie widzów.

W Spodku pierwsza mapa zakończyła się wygraną Astralis, choć ENCE, jak przewidywał Szlachetko, ruszyli do starcia bez respektu dla utytułowanych rywali i nawet objęli prowadzenie. Druga runda zaczyna się jednak jak u Hitchcocka; zgrany zespół Astralis zdobywa fraga za fragiem i już po kwadransie jest siedem do zera.

Żeby był ace, czyli as, aimy muszą być na najwyższym poziomie. Jeśli spudłujesz, przeciwnik z lepszym aitem, czyli celem, wyeliminuje cię z gry, zdobywając fraga. A gdy zaliczysz jeszcze cztery (czytaj: wykończy pozostałych członków twojej drużyny), zdobędziesz ace'a. Taki odpowiednik piłkarskiego hat-tricka.

Publiczność tylko czeka na podobne smaczki i wybucha entuzjazmem, kiedy jeden z graczy zdobywa jednym strzałem

W e-sporcie nie musisz być jedynie kibicem.

Możesz stać się także
Szpakowskim
lub Lewandowskim,
a nawet jednym i drugim
jednocześnie.

aż dwa fragi, eliminując jednocześnie dwóch przeciwników. Prawie jak w antycznym amfiteatrze. W dzieciństwie sam biegałem po podwórku z karabinem, odtwarzając sceny z „Czterech pancernych”, tu jednak czuję dyskomfort na widok zakrwawionego noża w wirtualnej dłoni jednego z graczy. Atawizm? A może hipokryzja? W filmach też trup ściele się gęsto.

Z drugiej strony nawet część sponsorów IEM zastrzega w umowach, by ich logotyp nie pojawił się na scenie podczas finałowej rywalizacji w „Counter Strike’a”.

Tymon: – Śmierć, nawet wirtualna, nie powinna być traktowana jako rozrywka. Z drugiej strony boks, uznawany przez wielu za sport szlachetny, polega na zadawaniu bólu rywalowi, a zawodnicy często doznają poważnych uszczerbków na zdrowiu. Patrząc na to z takiej perspektywy, można na zabijanie jako formę rywalizacji w e-sporcie przymknąć oko. Nikomu przecież nie dzieje się krzywda, a profesjonalni gracze mają dostęp do psychologa, który pomaga im radzić sobie z często widzianymi brutalnymi obrazami.

Może rzeczywiście potrzebujemy e-sportu jako nowego wentylu społecznego bezpieczeństwa? Może jego nagła popularność u progu epoki cyfrowej ma dziś taką samą funkcję cywilizacyjną, jaką w XIX-wiecznych miastach Wielkiej Brytanii, przeżywającej apogeum rewolucji przemysłowej, miała piłka nożna?

W Spodku dobiega końca 30. minuta meczu na drugiej mapie. ENCE odzyskali nieco wigoru, lecz kilkunastopunktowa przewaga Astralis jest już nie do nadrobienia. Zawodnicy duńskiego zespołu z chirurgiczną precyzją eliminują kolejnych przeciwników.

– To już nie potrwa długo – uśmiecha się Szlachetko. – Szkoda. Miałem nadzieję, że drugą mapę wygrają ENCE i będzie jeszcze trzecia.

Nie będzie. Ostatni punkt dla Astralis. Scena Spodka eksploduje światłami, ogniem i laserami. Z sufitu sypie się złote confetti. Widownia szaleje.

Chłopcy wyglądają na zachwyconych. Mnie piszczy w uszach i mam wrażenie, że krzyczę zamiast mówić. Na koncertach bywa jeszcze głośniejsze i tłoczniejsze, a tu zmysły spięte w dyszel synestezji wyczerpują się chyba szybciej. Ustawiamy się w długim ogonku do wyjścia z sali. Potem jeszcze kolejka do szatni i korek na parking.

W domu jesteśmy po 22. Chłopcy wciąż wymieniają się na komunikatorze wrażeniami z imprezy. W pewnym momencie dochodzą do wniosku, że dobrze zrobiliby im nazajutrz wolny dzień od szkoły.

Dzień spędzony na sportowo może wykończyć.

©© TYMON POLESEK, MAREK RABIJ



Autorzy będą gośćmi Grzegorza Chlasy w śróde
20 marca o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję
można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie

– www.rdc.pl

STANISŁAW

Mancewicz:

Bobo



ZNALEŻLIŚMY W SZAFIE SMOCZEK Z CZASÓW, jakieś byli dzidziusiemi, i to dlatego mówimy dziś bardzo niewyraźnie. Niestety, w mundurek harcerski podobny prezydencjkiemu już się nie wciskamy, ale się wcisniemy. Fotkę w mundurku i ze smoczkiem

w buzi oczywiście udostępniemy rzeszom. Oto, jak widać ze zdań powyższych, jesteście gotowi do startu w wyborach. W kampanii mamy zamiar postawić na sentymenty. Będziemy się forsować jako cacane i rozkoszne bobo, wierzące w bociany i nieumiejące dodawać w słupku. Oczywiście niezaszczepione, nawet na koklusz. Niektórzy już grają taką kartą, ale my zagramy mocniej i postaramy się ubiec konkurencję.

Spróbujemy i chyba wygramy, czasy nam bowiem sprzyjają, a i posepny suweren także. Tyle. Niestety, jak widać, żartowanie w kraju, w którym najważniejsi politycy bądź to przebiegają się w śpioszki, bądź wprowadzają do wyborczej agendy sprawę dotykania własnych organów płciowych, jest skazane na porażkę. Tego się nie da przebić. Bez żartów zatem, ale wspomnień czar nas jednak zniewala, więc do dzieła.

Też oczywiście lubimy przebieganki, ale jednak nie paramilitarne. To nas nie kręci. Nasz mundur był używany mało. Usunięto nas z szeregow zuchowych za przeklinanie, palenie tytoniu i picie piwa, co było – przyznajemy bez bicia – karczemnym naruszeniem surowych regulaminów tej formacji. Poza tym kompulsywnie przekreślaliśmy słowa świętych pieśni komunistycznego harcerstwa, szczerbiliśmy finkę grając w pikuty na forse, wyśmiewaliśmy żalną estetykę harcówki, a zamiast

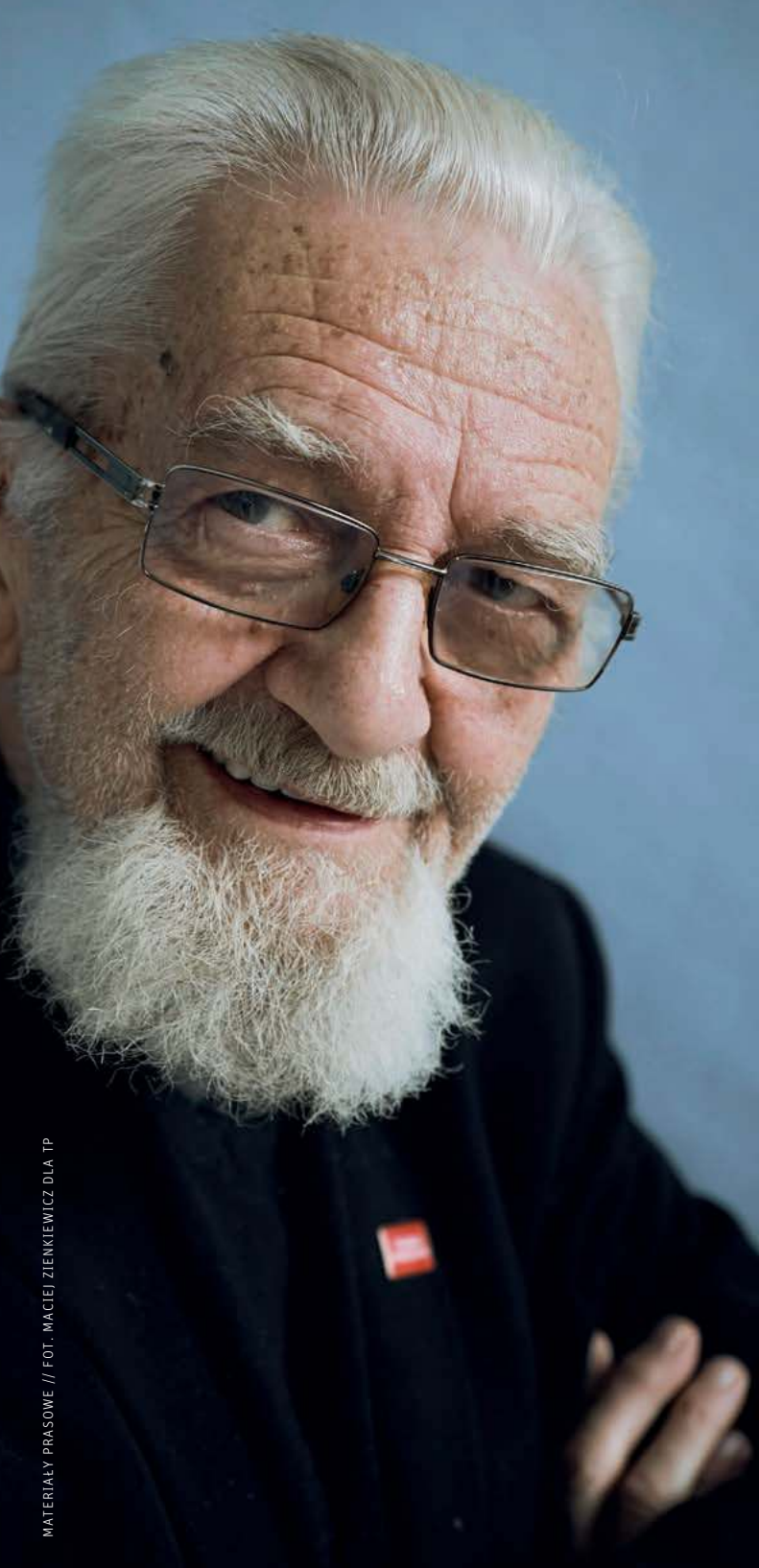
szlachetnie pomagać w sianokosach czy w kopaniu ziemniaków, woleliśmy leżeć w krzakach, gwarzyć tamże z marginesem społecznym, zawzięcie ćmić i zabawiać się flaszką czy też talią znaczonych kart do pokera. To było zawsze ciekawsze od owych głądzeń o „starodawnych dziejach” i „szumiących kniejach” podawanych bez boskiego daru narracji przez drużynowych. Ogniska – to chyba jasne – rozpalaliśmy zawsze za pomocą benzyny, a do ich czynienia nie używaliśmy żalnego krzesiwka ni hubki, ani chrustu, tylko starych opon, bo tak było praktyczniej, cieplej i mniej męcząco. W okolicach, w których spędziliśmy ten czas, więcej było gumy niż drewna. Nie zdobyliśmy nigdy żadnej sprawności, bowiem nam się nie chciało. Słowem, byliśmy przez dowództwo widziani jako osobnik demoralizujący przepocziwe i rozmodlone otoczenie, a w każdym wymiarze byliśmy żywym zaprzeczeniem koncepcji wychowawczych starowinki Baden-Powella, wspomóżonego przez tutejsze spleśniałe rozumy, XIX-wieczną pedagogikę opartą na lękach, zbiórki i salutowanie.

Jeżeli ktoś zrozumie z tego wszystkiego tyle, że atakujemy tu bezpardonowo i wulgarnie harcerstwo, ten się tragicznie myli. Nie atakujemy. Bolejemy nad własnymi kulawiznami, nad niezdolnością do naprężeń i jakże w Polsce niezbędnych, kolektywnych nadynień wobec tzw. zagrożeń. Ten przytłaczający nadbagaż uniemożliwia nam jednak wczucie się w powszechne emocjonowanie się i poważne traktowanie serwowanych – choćby przez Gospodarza – strachów. Bolejemy po prostu, że się boimy, co niejako nas wyklucza z przerażonego i owym przerażeniem zachwyconego społeczeństwa. W poczuciu bycia poza modą i trendem, zauważamy, że masy tutejsze gustują w banii się. Mniemamy zatem, że polityk dziś niestraszający nie ma szans na sukces. Upředziliśmy, że smoczek w buzi utrudnia nam wyśławianie się, ale zaiste zrobiliśmy wiele, by wyłożyć tu to i owo.

Na koniec zaś wypada wytłumaczyć, cóż miał wedle naszego zwyrodniałego pomysłu na myśli Gospodarz, mówiąc: „Wara od naszych dzieci”. Otóż na nasz rozum jest to wstęp do kampanii wyborczej Andrzeja Dudy, któremu niniejszym hasłem partia rządząca zapewniła parasol ochronny. ©P

BARTOSZ MINKIEWICZ





MATERIAŁY PRASOWE // FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA TP

Dziękuję, Przyjaciele!

Bo to dzięki Wam „Tygodnik Powszechny”
jest niezależny. Bo to dzięki Wam na pytanie
„kto was finansuje?” z dumą odpowiadamy:

WY – nasze Czytelniczki i nasi Czytelnicy.

Bo każda złotówka z Waszych wpłat
przyczynia się do rozwoju „Tygodnika”.

To dzięki Wam nasze pismo z roku
na rok zwiększa swój zasięg.
Jesteśmy SUWERENNI DZIĘKI WAM!

Z wdzięcznością,

Adam Boniecki

Ks. Adam Boniecki
Przewodniczący Rady Fundacji Tygodnika Powszechnego,
Redaktor Senior



Przeznacz 1% podatku na działalność Fundacji
Tygodnika Powszechnego – która dba o dziedzictwo
i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

Wpisz w zeznaniu podatkowym
nr KRS 0000125605

Więcej informacji: powszech.net/jedenprocent
Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz
Fundacji: Santander Bank Polska S.A. numer konta
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN):
powszech.net/dar

TO TAKŻE DZIĘKI WAM:



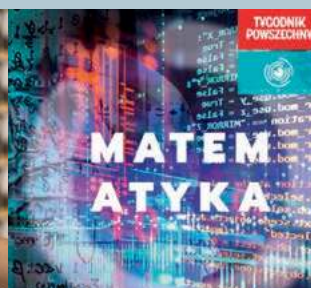
Conrad Festival



magazyn literacki
„Książki w Tygodniku”



Lekcje Czytania



cykl Wielkie Pytania
na Nowo



Copernicus Festival



S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

**INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING**

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA.

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl